

Alec Maclellan

„Tajemnica pustej ziemi”

Spis treści

Wstęp	9
Podziemny świat	11
Starożytne legendy o pustych przestrzeniach	20
Teoria koncentrycznych sfer	30
Dziwna podróż Olafa Jansena	39
Prorok kosmogonii komórkowej	51
Hitler i „widmowy wszechświat”	58
Tajny dziennik pokładowy admirała Byrda	68
Dziury w szczycie świata	76
UFO z Pustej Ziemi: Antarktyda	83
UFO z Pustej Ziemi: Arktyka	95
Śródziemcy	105
Wszechświat pustych światów?	116
Epilog	125
Bibliografia	126

Zgodność między arogancją naukowców i nowymi trendami społecznymi odzwierciedla pewien ważny fakt w naszym społeczeństwie: podczas gdy nauka konsekwentnie nie chce zauważać zjawisk, które znajdują się poza bezpiecznymi granicami jej obecnego rozumienia świata, opinia publiczna chętnie sięga po wyjaśnienia pasujące do jej doświadczeń.

Jacques Vallée
Dimensions (1988)

Wstęp

Starożytna południowoamerykańska legenda opowiada, że 2000 lat temu cztery bracia i cztery siostry wyszli z olbrzymiej jaskini sięgającej środka Ziemi. Najstarszy z braci wspiął się na szczyt góry w kraju zwanym dzisiaj Peru, podniósł cztery kamienie i rzucił je w cztery strony świata. W ten sposób objął w posiadanie ziemie, które znalazły się w zasięgu tych kamieni i wszystkich ludzi, którzy je zamieszkiwali. Założył miasto Cuzco, późniejszą stolicę potężnego państwa Inków.

Według miejscowej tradycji ci mężczyźni i kobiety przybyli z jakiegoś podziemnego świata i nauczyło ludzi budownictwa, uprawy ziemi, wszelkich sztuk i rzemiosł oraz organizacji gospodarki i społeczeństwa. Wszystko to uczyniło z państwa Inków prawdziwy cud Ameryki prekolumbijskiej, lecz zostało zniszczone przez hiszpańskich najeźdźców. Tajemniczy dobroczyńcy pozostawili też wykute na kamiennej tabliczce przesłanie, które ma dla nas szczególne znaczenie u początków nowego tysiąclecia.

*Kiedy miną dwa tysiące lat,
Pod zamarzniętymi wodami
Odkryty zostanie nowy świat.*

Naukowcy, którzy badali ten trójwiersz, sugerują, iż wzmianka o zamarzniętych wodach prawdopodobnie odnosi się do bieguna południowego; zaś sformułowanie „nowy świat” – do bardzo starego wierzenia, że właśnie tam znajduje się wejście do baśniowej Pustej Ziemi. Jeśli to prawda, proroctwo to daje wreszcie nadzieję wyjaśnienia jednej z największych zagadek w historii świata zamieszkanego przez ludzi.

Podziemny świat

Teoria o Pustej Ziemi była jedną z pierwszych kontrowersyjnych kwestii naukowych, którą zainteresował się Amerykanin Charles Fort. Jego książki o niewytłumaczalnych zjawiskach i wydarzeniach doprowadziły do stworzenia Fortean Society i, pośrednio, do powstania cieszących się wielkim powodzeniem takich filmów jak *Bliskie spotkania trzeciego stopnia* oraz serialu telewizyjnego *Z Archiwum X*. Tego niezmordowanego dziennikarza przez całe życie zbierającego niesamowite i dziwaczne historie, których nauka nie potrafiła wyjaśnić, w pewnych kręgach uważano za dziwaka, bo popierał najbardziej absurdalne teorie; dla innych, jak dla angielskiego pisarza Erica Franka Russela, był on „jedynym prawdziwym geniuszem w dziedzinie fantastyki naukowej”.

Fort (1874-1932), przez całe życie starał się przekonać ludzi, że świat w którym żyjemy jest znacznie dziwniejszym miejscem, niż się nam wydaje. Wprawdzie nie miał formalnego wykształcenia i czerpał większość materiałów z książek, gazet i czasopism, wierzył jednak, że należy zaznajomić ludzi z nawet najbardziej nieprawdopodobnymi informacjami o świecie, w którym mieszkają. Ten inteligentny, lecz często złośliwy człowiek regularnie atakował środowisko naukowe za dogmatyczne odrzucanie niekonwencjonalnych opinii i spierał się o uznawane za alarmistyczne teorie, według których wszyscy moglibyśmy być „własnością” wszechwiedzących kosmitów. Kiedy w wieku 43 lat Fort nieoczekiwanie odziedziczył spory spadek i już nie musiał zarabiać na życie, bez reszty poświęcił się swoim poszukiwaniom. W rezultacie napisał szereg obrazoburczych prac, łącznie z *Book of the Damned* (Księga przeklętych, 1919), *New Lands* (Nowe lądy, 1923) i *Wild Talents* (Dziki talenty, 1932), które wyrobiły mu odpowiednią reputację.

Dość wcześnie, podczas wypraw poza granice oficjalnej nauki, Fort po raz pierwszy zetknął się z zagadką pustej, czy też wydrążonej Ziemi. Natychmiast wzbudziła ona jego zainteresowanie jako temat wart badań. Zaczął więc snuć plany pracy pod tytułem *Y*, by zbadać tę historię. Niestety, nigdy nie ukończył ani nie opublikował rękopisu, w którym połączył główne wątki niezwyklej legendy – a przekonał się, że

pisano o niej w czasach biblijnych i nawet jeszcze wcześniej. Dowiedział się zatem, że wewnątrz naszej planety jest puste i przypuszczalnie zamieszkane od niepamiętnych czasów. Pewne opisy, na które się natknął, sugerowały, że mieszkańcy podziemi mogą być ludźmi ucalałymi z zaginionych kontynentów Atlantydy lub Mu. Uciekli oni do podziemnego świata po zatonięciu ich ojczystych lądów.

Podobnie jak inni, których pociągała ta godna uwagi opowieść, Fort wyczytał, że zdaniem wcześniejszych badaczy Ziemia ma kształt pączka podobnego do otaczających ją pasów Van Allena i że istnieje wiele teorii wyjaśniających, dlaczego nie jest tak jednolita, jak twierdzi oficjalna nauka, lecz pusta, z centralnym słońcem w środku oraz własną, przyjazną życiu atmosferą i klimatem. Oba bieguny Ziemi miały być olbrzymimi „dziurami” prowadzącymi do podziemnego świata, otworami o średnicy od 1287 do 2252 kilometrów, o szerokości mniej więcej 482 kilometrów w największym miejscu, przebijającymi się przez skorupę ziemską o przeciętnej grubości 1448 kilometrów. Przez nie właśnie – morzem lub powietrzem – mogli tam dotrzeć badacze nieznanych lądów. We wnętrzu znajdował się podziemny „raj”, złożony z oceanów i lądów oraz z żyznej i bogatej gleby mogącej wykarcić rośliny, zwierzęta i ludzi – niemal zwierciadlane odbicie naszego świata.

Natomiast podręczniki naukowe, które przeczytał Fort, poinformowały go, iż Ziemia jest jednolitą, spłaszczoną kulą o promieniu równikowym wynoszącym 6378 kilometrów, a biegunowym 6356 kilometrów. Uważano, że składa się ona z jądra wewnętrznego odległego od jej środka o jakieś 1287 kilometrów, z jądra zewnętrznego oddalonego o mniej więcej 1526 kilometrów (prawdopodobnie złożonego z płynnego żelaza i niklu) oraz z płaszczą z twardych skał o grubości około 2896 kilometrów, oddzielonego od zewnętrznej skorupy warstwą grubą na 4 do 8 kilometrów. Powierzchnia lądów na Ziemi wynosi około 91 milionów kilometrów kwadratowych, a dna mórz i oceanów – 223 miliony kilometrów kwadratowych. Wagę naszej planety oceniano na 6 sekstylionów ton.

Im więcej Fort czytał, tym bardziej rosło w nim przekonanie – jak u innych badaczy Pustej Ziemi przed nim i po nim – że olbrzymi obszar pod powierzchnią Ziemi nadal pozostaje całkowicie nieznanymi. Rzucił więc wyzwanie „zarozumiałości i kompetencji uczonych”, zgadzając się z innym przypuszczeniem, że jeśli Ziemia jest jednolitą kulą, musiałyby ważyć ponad 6 sekstylionów ton. Wydawało się prawdopodobne, że wewnętrzne jądro, którego składu nauka nie potrafiła całkowicie określić, mogło mieć promień liczący około 3539 kilometrów – a więc pomieścić, powiedzmy, Księżyc, którego średnica wynosi 3475 kilometrów. W takim razie co mogło się tam znajdować?

Charles Fort zapisał wszystkie legendy i teorie, na które natrafił, powtarzając je w swoim charakterystycznym stylu: mieszanice wywołujących głębokie wrażenie danych i, wtrąconych od czasu do czasu, własnych opinii. Chociaż zawsze gotów był przyznać, że część wykorzystanego materiału mogła być niewiele warta w świetle nauki, nigdy jednak nie zmienił swego głębokiego przekonania, iż we wszystkim istnieje jakaś jedność – nawet w pozornie nie związanych ze sobą faktach. Niektórzy ludzie zapewne uznają za szaloną teorię, że ich świat jest jednak pusty w środku, ale

badacze problemu nadal dysponują dużą ilością dowodów na jego poparcie. A jeśli tak się rzeczy mają, wyjaśnia to większość zjawisk, które Fort opisał w swojej pracy.

Książki Charlesa Forta, które doprowadziły do założenia Fortean Society mającej kontynuować jego pracę, a później do powstania miesięcznika „Fortean Times”, zachęciły również późniejsze pokolenia pisarzy do traktowania nieprawdopodobnych wydarzeń bez uprzedzeń. Ludzie tacy jak Graham Hancock, niedawno nazwany w „Sunday Timesie” „Indianą Jonesem archeologii alternatywnej”, to autor bestsellerów, a wśród nich książki *Ślady palców bogów*, sprzedanej w ponad czterech milionach egzemplarzy, i serialu telewizyjnego *Quest for the Lost Civilisation* (W poszukiwaniu zaginionej cywilizacji), stał się powszechnie znany na świecie.

Hancock wysunął teorię, że nieznaną, wysoko rozwiniętą cywilizacja, która uległa zniszczeniu w ogólnoswiatowym kataklizmie pod koniec epoki lodowcowej, około 10500 lat p.n.e., mogła dać początek tak oddalonym od siebie kulturom jak Egipt, Peru, Meksyk i Kambodża. Ten były korespondent prasowy z Afryki Wschodniej na pewno rzucił nowe światło na tak godne uwagi cuda świata starożytnego, jak megality z Wielkiej Brytanii i Francji oraz wielkie budowle z Ameryki Południowej. Odkrył też w pobliżu japońskiej wyspy Yonaguni niezwykłą, zatopioną w morzu piramidę, która, jak się uważa, znajdowała się ponad powierzchnią wody więcej niż 10 000 lat temu. A przecież, choć jego odkrycia i wnioski są tak niezwykle, dziwią się, dlaczego nie zauważył – lub pominął milczeniem – możliwość, że opisywane przez niego wpływy kulturalne, mogły równie dobrze być dziełem ludzi, którzy uciekli do Pustej Ziemi – lub nawet stamtąd się wywodzili.

Książki Hancocka należą do tej samej tradycji co dzieła „ojców założycieli” ostatniej fazy nauki alternatywnej, a więc szwajcarskiego pisarza Ericha von Dänikena i Amerykanina Charlesa Berlitzta. Berlitz zdobył międzynarodową sławę opowieścią o niewyjaśnionych zniknięciach w monografii *Trójkąt bermudzki*, a ostatnio poruszył temat Pustej Ziemi w książce *World of Strange Phenomena* (Świat fenomenów, 1990): „Wiara w pustą ziemię pojawia się w wielu kulturach na całym świecie i zwolennicy tej teorii wskazują, że wiele rzeczy w przyrodzie – na przykład kości, żołądek, owoce i zwierzęta – zbudowane są wokół wewnętrznej próżni. Logika nakazuje więc przyjąć założenie, iż podobnie rzecz ma się z Ziemią”.

Erich von Däniken również pojawił się na tej scenie ze światowym bestsellerem *Chariots of the Gods?* (Rydwany bogów, 1969). Starał się udowodnić, że przybysze z Kosmosu odwiedzali Ziemię zarówno w prehistorii, jak i w czasach historycznych. Ostatnio jednak zmienił temat badań z nieba na samą Ziemię i uważa, że odpowiedź na to, co znajduje się w podziemnym świecie, można znaleźć w łatwiejszy sposób niż poprzez poszukiwania otworów na biegunach. W kwietniu 1998 roku, w wywiadzie udzielonym czasopismu „Encounters”, wysunął przypuszczenie, że wejście do Pustej Ziemi może znajdować się w wielkich piramidach w Gizie w Egipcie:

W piramidach w Gizie kryje się jeszcze wiele tajemnic. Na przykład tajemniczy szyb, który wraz z moim przyjacielem Rudolfem Gatenbrinkiem zbadaliśmy w roku 1993 z pomocą specjalnie zbudowanej, długiej na 37 centymetrów kamery-robota. Ukazała

nam ona wewnątrz szybu, którego ludzkie oczy nie oglądały od co najmniej 4 500 lat. Na jego końcu znajdują się starożytne drzwi. Z pomocą lasera Gatenbrink zdołał wykazać, że korytarz ten prowadzi do dalszej, nie zbadanej części piramidy. Czy może to być wejście do podziemnego świata, o którym mówiono od tysięcy lat?

Von Däniken uważa, że odpowiedź na to pytanie otrzymamy tylko wtedy, gdy otworzymy te starożytne podwoje. Teraz, kiedy to piszę, wydaje się to niemożliwe z powodu sceptycyzmu zarówno władz Egiptu, jak i wielu wybitnych egiptologów, którzy nie podzielają poglądów von Dänikena na niekonwencjonalną naukę – podobnie traktując Charlesa Forta, Charlesa Berlitzta i ich kolegów. Naukowcy twierdzą, że nic tam nie ma. Jednakże wszyscy ci pisarze dokonali ważnej rzeczy: przyczynili się do zwiększenia zainteresowania tajemnicą Pustej Ziemi. Mam nadzieję, że teraz czytelnik gotów jest wyruszyć w podróż w poszukiwaniu wiedzy, która zaprowadzi nas do czasu narodzin naszej planety.

Prawie 5 000 000 000 lat temu Ziemia była tylko olbrzymią kulą złożoną z gorących, wirujących gazów, które powoli się ochładzały. Zgodnie z prawami fizyki, stygnące gazy kondensują się, pozwalając „kuli” – naszej planecie – zgęszczać się w miarę, jak gorąco się rozprasało. Fizycy uważają, iż proces ten miał postać wirującej spirali, tak że siła grawitacji stopniowo zagęszczała gazy, aż mniej więcej 2 800 000 000 lat temu zamieniły się one w twardą kulę.

Tak przedstawia się teoria „jednolitej Ziemi” i rzeczywiście, próbki pobrane z jądra naszej planety dzięki wierceniom głębinowym zdają się ją potwierdzać, choć odwierty te dotarły jedynie na pewną głębokość. Doświadczenia wykazały, że temperatura wnętrza Ziemi rośnie wraz z głębokością, chociaż znowu jest to prawdziwe tylko do tych głębi, do których dotarły odwierty. Wobec tego, jak twierdzi tradycyjna nauka, można założyć, że nasz świat jest jednolity od powierzchni do jądra. Ale czy rzeczywiście?

Chociaż teoria ta została powszechnie zaakceptowana, jeśli chodzi o ewolucję wielkich ciał niebieskich, takich jak gwiazdy, wydaje się, iż nie jest ostatnim słowem w odniesieniu do narodzin planet typu Ziemi. I rzeczywiście, zbadanie działania siły odśrodkowej pozwala dojrzeć całkowicie odmienną możliwość. Grawitacja, jak wiemy, próbuje przyciągać wszystkie ciała materialne do środka, natomiast siła odśrodkowa zachowuje się wręcz przeciwnie. Pamiętając o tym Cate Malone, amerykańska badaczka Pustej Ziemi, przytoczyła powszechnie znany przykład, aby wyjaśnić, co jej zdaniem wydarzyło się wtedy, gdy powstawał nasz świat. W artykule zamieszczonym w periodyku „Exposure”, tom 3, nr 2, pisze:

Nauka akceptuje fakt, że Ziemia obraca się wokół swojej osi. Siła odśrodkowa sprawia, iż planeta wybrzusza się lekko na równiku i spłaszcza na biegunach. Żeby wyobrazić sobie, jak mogła powstać nasza planetarna ojczyzna, proszę pomyśleć o pralce podczas prania. Osłona (gazy, płyny i cząsteczki materii) są odrzucane na zewnątrz ku ściankom pralki (grawitacja). Natomiast we wnętrzu nic nie pozostaje

i tak tworzy się pusty środek. Podobnie jak Ziemia nigdy nie przestanie się obracać, tak ta pralka nigdy nie znieruchomieje. Jeżeli pralka nadal będzie działać, czy woda i ubrania zaczną skupiać się w centrum bębna, czy też będą wirować bez końca wokół pustego środka?

Malone wyjaśnia, że to właśnie prawa ruchu – a konkretnie siła odśrodkowa – usiłująca odrzucić wszelkie drobiny materii od osi wirującej, wciąż powiększającej się Ziemi, stworzyły w końcu równowagę między tymi dwiema potężnymi naturalnymi siłami. I w rezultacie tego kompromisu powstała pusta w środku, wirująca kula o średnicy około 12872 kilometrów. Według Marka Harpa (*A Case for the Hollow Earth Theory*, Przyczynek do teorii Pustej Ziemi, „Nexus” z grudnia 1994 roku):

Istnieje pewna ważna cecha charakterystyczna siły odśrodkowej, której nie możemy pominąć. Siła ta znacznie słabnie, kiedy zbliża się pod kątem prostym do kierunku obrotu. Najprostszym wyjaśnieniem tego zachowania jest woda w basenie. Jeżeli wyciągnie się zatyczkę i pozwoli wodzie wypływać z basenu, co w końcu zobaczymy? Wir, czyli pustą przestrzeń otoczoną szybko obracającymi się cząstkami wody.

A teraz wyobraźmy sobie tę samą zasadę w odniesieniu do podlegającego przeciwnym wpływom ciała, które w przyszłości miało się stać naszą Ziemią. Działając pod kątem prostym w odniesieniu do osi, wokół której wirowała powstająca planeta – innymi słowy, do biegunów – siła odśrodkowa była tam znacznie słabsza niż gdzie indziej, zwłaszcza zaś na równiku. Dlatego choć na równiku Ziemi siła odśrodkowa mogła zatrzymać podążającą w stronę środka ciężkości materię w odległości około 12872 kilometrów, miała znacznie mniej powodzenia w okolicy biegunów, powstrzymując kurczenie się na dystansie około 2252 kilometrów. W wyniku tego naturalnego kompromisu nasza planeta zakończyła ewolucję jako pusta w środku kula o średnicy 12872 kilometrów i otworach na biegunach o średnicy 2252 kilometrów”.

W wyniku badań zapisów obserwacji astronomicznych oraz fotografii mgławic i komet, Harp i inni badacze ustalili, że w samym środku każdego z tych przezroczystych ciał niebieskich znajduje się odpowiednio mała, rozżarzona kula. Zdjęcia mgławic wskazują, że i one są puste, z jasną sferą w środku. Badacze ci uważają, iż takie zjawisko zaszło również w Pustej Ziemi. Jeśli bowiem kiedyś Ziemia była kulą z ognia i roztopionego metalu, jakaś cząstka tego ognia pozostałaby w jej wnętrzu, natomiast siła odśrodkowa ukształtowałaby z reszty materii twardą skorupę. W ten sposób Pusta Ziemia zyskałaby „ognistą kulę”, czyli słońce w swym środku.

I znów można to wszystko wyjaśnić w bardzo prosty sposób. Wiemy, że poza biegunami siła odśrodkowa Ziemi jest najslabsza w samym jej centrum. Można to unaocznic posypując jakimś białym proszkiem powierzchnię płyty długograjacej. Kiedy płyta obraca się, proszek odrzucany jest ku jej krawędziom – oprócz niewielkiej ilości pozostajacej w środku. Widzimy więc, że w ten sam sposób mogło powstać niewielkie słońce, które darzy podziemny świat światłem, ciepłem i energią podtrzymującymi wszelkie formy życia.

Inna teoria o Pustej Ziemi sugeruje, że swoją energię to wewnętrzne słońce zawdzięcza rozszczepianiu atomów, a nie ich fuzji, jak to ma miejsce w gwiazdach. Wystarczy, iż będzie miało średnicę paruset kilometrów, by ważyć miliony ton i dawać dostatecznie dużo światła wewnętrznemu światu. A ponieważ ten mały glob istnieje dzięki energii nuklearnej, powinien mieć pole magnetyczne tak jak Słońce.

Sejsmolodzy oczywiście wolą wyjaśnienie, że wewnętrzne jądro Ziemi jest płynne, ponieważ niektóre rodzaje fal mogą wędrować tylko przez ciała stałe, a nie przez płyny, gazy lub próżnię. W środowisku naukowym istnieje wiele różnorodnych opinii, zwłaszcza zaś na temat przypuszczenia, że nawet jeśli wewnętrzne jądro Ziemi jest rozpaloną kulą, to nakładający się na nie płaszcz skalny musi mieć dwie odrębne strefy, jedną bliższą jądra, gdzie gorąco i ciśnienie sprawiają, że dochodzi do „płynięcia” skał i dalszą, gdzie może wystąpić „przełom”. Głównym punktem spornym jest głębokość tej zewnętrznej strefy.

Profesor Frank D. Adams z Montreal University wykazał niedawno doświadczalnie, że puste przestrzenie mogą istnieć w granicie na głębokości 17,6 kilometra. Jego wnioski poparł matematyk Louis V. King, który obliczył, że przy normalnej temperaturze takie „pustki” mogłyby istnieć na głębokości od 27,6 do 33,6 kilometra. Niedawno odkryte szesnaście „Pasów Rousa”, które ukazują płaszczyzny przełamania całkowicie przenikające glob ziemski, dostarczają dodatkowych argumentów na rzecz takiej możliwości.

Inny badacz Pustej Ziemi, Jan Lamprecht, gotów jest posunąć się jeszcze dalej w tej dyskusji, jak wyjaśnił niedawno w liście do autora:

Naukowcy po prostu „zakładają”, że jądro wewnętrzne jest płynne i nawet nie badają alternatywy, że albo może wypełniać je gaz, albo może być puste. Odkryłem, że w odległości około 11263 kilometrów od epicentrum trzęsienia ziemi znajduje się „strefa cienia”, gdzie pewne rodzaje fal nigdy nie występują. Czy puste jądro mogłoby blokować te fale? A potem w odległości około 16090 kilometrów lub coś koło tego, fale te znów się pojawiają. Uzmysłowiłem też sobie złożoność tych fal i sposób w jaki się odbijają, dlatego wiem, że łatwo można błędnie je zinterpretować.

W istocie nasze metody obserwacji fal sejsmicznych pozostawiają wiele do życzenia. Kiedy docierają one na powierzchnię, nie mamy pojęcia, skąd się wzięły – i tak naprawdę niewiele możemy o nich powiedzieć. Wystarczy jednak zbadać je uważniej i zauważyć, że wiele fal odskakuje od „płaszczka” – mówi się nam, iż dzieje się tak z powodu zmiany gęstości środowiska. A kiedy przypomnimy sobie, że obiekt pusty w środku wywołuje znacznie bardziej skomplikowane ruchy fal, ponieważ odskakują one tam i z powrotem od jego cienkich ścianek, wszystko to piekielnie się skomplikuje... Ziemia czasami wibruje przez godzinę lub dwie po wielkich wstrząsach.

Badacze zagadki Pustej Ziemi przytoczyli też pewną liczbę innych anomalii, które tylko pogłębiają tę tajemnicę. Na przykład polarnicy od pokoleń mówili o nieoczekiwaniu wysokich temperaturach panujących w najbardziej wysuniętych na północ i południe strefach podbiegunowych. Obliczono, że w niektórych przypadkach temperatury te były aż do 30 stopni wyższe niż wtedy, gdyby tylko słońce ogrzewało te

rejony. Badacze ci uznali też za trudne do zaakceptowania naukowe wyjaśnienie, iż to ciepłe powietrze zwrotnikowe ogrzewa bieguny – ze względu na wysokość tych temperatur i odległość, jaką powietrze to musiałoby przebyć. Wolą oni hipotezę, że robi to powietrze ogrzane ciepłem słońca Pustej Ziemi.

Ogromne ilości ryb w strefach polarnych, znacznie większe niż w cieplejszych rejonach Ziemi, są innym elementem tej zagadki; trudno jest też wytłumaczyć, dlaczego ptaki i zwierzęta wędrują w zimie na północ, chyba że szukają ciepła wewnętrznego świata. Wystarczy tylko dodać do tego niemożliwe do przewidzenia zachowanie się fal radiowych na obu biegunach; wzrost siły ciężenia, który można zmierzyć na polarnym zakrzywieniu skorupy ziemskiej, dostatecznie duży, aby wyraźnie rozdzielił wodę słoną od słodkiej; a także kamienie, kawałki drewna, kurz, pyłki kwiatowe i błoto często obserwowane na górach lodowych, oczywiście składających się ze słodkiej wody i które, pomimo braku corocznego „uzupełniającego” deszczu, każdego roku dryfują tysiącami, by roztopić się w morzach polarnych.

Istnieją jeszcze dwie inne anomalie dotyczące obu biegunów oraz związanych z nimi pięknych zórz. Faktem jest, że w istocie nie istnieje żaden biegun północny ani południowy – nie ma pojedynczego punktu na mapie, jak każe nam wierzyć tradycja. Oba po prostu mają szerokość geograficzną 90 stopni, a ponieważ zakłada się, że Ziemia jest kulą, przyjmuje się również, iż tylko w jednym punkcie na każdej półkuli można z pomocą Słońca (lub innego ciała niebieskiego) ustalić 90 stopni szerokości geograficznej. Niezwykle zachowanie się kompasów w strefach podbiegunowych (poza 80 równoleżnikiem) i stojąca pionowo igła w chwili, gdy walczące ze sobą siły ciężenia i magnetyczne dają o sobie znać, to dobrze znane zjawiska. Zgodnie z tradycją Pustej Ziemi można przypadkiem trafić na jeden z polarnych otworów z ukosa, pozostać w „pozycji pionowej” i przebyć kilkaset kilometrów tam i z powrotem, nie mając o niczym pojęcia. Fakt, że siła ciężenia działa jak zawsze, pozwala podróżnemu pozostać „w pionie” nawet wtedy, gdy w stosunku do świata zewnętrznego znajduje się w odwrotnym położeniu. Wszystko inne, łącznie z atmosferą – przypuszczalnie mającą około 48 kilometrów wysokości, tak jak na zewnątrz – woda i wiatry pozostaną całkowicie normalne, chociaż uważa się, iż w samym środku obu otworów może znajdować się „próżnia”.

Aurora borealis (Zorza Północna) i *aurora australis* (Zorza Południowa) są zjawiskami, które od wieków fascynowały i intrygowały ludzkość. Te piękne światła, występujące jedynie w strefach polarnych, przyjmują różne kształty, poczynając od łuków do koron, i pojawiają się głównie w różnych odcieniach zieleni i czerwieni. Nauka twierdzi, że wywołują je cząstki elektryczne wysłane przez Słońce (tzw. „wiatr słoneczny”), które zderzają się z atomami górnych części atmosfery. Istnieje wszakże całkowicie odmienne wyjaśnienie, nawiązujące do teorii Pustej Ziemi. Według Alberta McDonalda, angielskiego badacza, który przeprowadził gruntowne badania tego zjawiska, w rzeczywistości wywołuje je słońce wewnętrznego świata. W eseju *The Hollow Earth* (Pusta Ziemia), opublikowanym w „New Worlds” w 1977 roku, napisał:

Nauka nigdy nie znalazła wyczerpującego wyjaśnienia zórz polarnych. Uczeni przypuszczają, że te wspaniałe światła na niebie wywołują burze elektryczne lub

magnetyczne na biegunach. Problem w tym, że naładowane cząstki elektryczne lub magnetyczne nie poruszają się bezładnie, a miejscowe warunki pogodowe wywierają wpływ na zorze polarne. W dodatku te ostatnie, w przeciwieństwie do większości zjawisk elektrycznych takich jak błyskawice, które są wyjątkowo hałaśliwe, pozostają bezdźwięczne. Co się zaś tyczy wysłanych przez Słońce cząstek, do górnych warstw atmosfery nie dociera ich dostatecznie dużo, by wywołać zorze. Co więcej, wiemy, iż owe cząstki to w przeważającej części wodór, a w spektrograficznej analizie zórz polarnych zarejestrowano ich bardzo mało. Faktem jest również, że bez względu na to, czy ogląda się je z bieguna północnego czy południowego, nie wywierają one wcale wpływu na igłę kompasu!

Część ludzi, którzy zbadali ten problem, a wśród nich i ja sam, uważa, iż zorze polarne w rzeczywistości są odbiciem słońca ukrytego we wnętrzu Ziemi. Po prostu w atmosferze nad biegunami jest zbyt wiele „słońcopodobnych” cząstek, by pochodziły wyłącznie z naszej gwiazdy dziennej. Chodzi o to, że światło wewnętrznego słońca dociera na powierzchnię Ziemi z otworów na biegunach. Najpierw odbija się od atmosfery ziemskiej, a potem jeszcze raz w dole, w lodach stref polarnych, i stąd pojawiają się tam te niezwykle światła.

Jan Lamprecht wierzy, że zorze polarne związane są też z geomagnetycznym polem Ziemi, które, jego zdaniem, wcale nie jest stabilne. Pole to często chwieje się i w krótkim czasie może przebyć spore odległości. Wszystko to według niego można wytłumaczyć obecnością słońca we wnętrzu Ziemi, które krąży wokół jej centralnego punktu:

Pole magnetyczne tego słońca wypływałoby z Ziemi przez dziury na biegunach. Kiedy to małe słońce krąży, kołysząc się bez przerwy, to samo dzieje się z jego polem magnetycznym. Ten prąd magnetyczny wypływałby, powiedzmy, na biegunie południowym z głębi Ziemi i tak samo na biegunie północnym. Kompas na znajdującym się na zewnątrz okręcie wskazywałby na północ. W wypadku, gdyby okręt ten zbliżył się do dziury, na biegunie, igła kompasu wskazywałaby w dół. Wtedy należałoby ręcznie ustawić kompas, gdyż inaczej igła zaczęłaby kręcić się w kółko. Kiedy zaś okręt pogrążyłby się w tym otworze, kompas znowu by zaczął działać normalnie. Nadal wskazywałby „północ”, ale w istocie byłoby to „południe”. Należy też pamiętać, że szybkość Ziemi mknącej w przestrzeni kosmicznej nie jest absolutnie stała. W rzeczywistości bowiem nasza planeta przyśpiesza i zwalnia bieg. Dlatego nasze wewnętrzne słońce kolebałoby się jak pasażer w autobusie.

Na poparcie swojej hipotezy Lamprecht przytacza relację norweskiego badacza Fridtjofa Nansena. W roku 1895, kiedy próbował on dotrzeć na statku „Fram” do bieguna północnego, stracił orientację i doniósł, że widział czerwone słońce, choć dobrze wiedział, że prawdziwe słońce znajdowało się za horyzontem. Część innych polarników również dostrzegła przelotnie to „fałszywe słońce” w miejscach, gdzie nie mogła się znajdować nasza gwiazda dzienna. Jedyne wyjaśnienie, według Lamprechta, to blask wewnętrznego słońca docierający poprzez otwór na biegunie.

Najbardziej oczywiste pytanie, które można zadać w tym miejscu, brzmi: jeżeli Pusta Ziemia istnieje, dlaczego trudno dostrzec otwory na biegunach? Odpowiedź jest taka sama, jak na pytanie, dlaczego ludzkie oko nie widzi, że Ziemia jest okrągła: ponieważ zakrzywia się ona stopniowo. Podobnie nie da się dostrzec krzywizny wielkich otworów na biegunach; zresztą obszary te zazwyczaj przesłaniają gęste chmury, co utrudnia zadanie nawet sztucznym satelitom okrążającym Ziemię. Świadomie użyłem słowa „utrudnia”, a nie „uniemożliwia”. Później wyjaśnię dlaczego.

Na podstawie tych faktów nie można odrzucić hipotezy Pustej Ziemi jako zwykłej pogłoski czy fantastycznego przypuszczenia. Istnieją przecież dowody potwierdzające istnienie podziemnego świata, opowieści tych, którzy wyruszyli na jego poszukiwanie – zarówno wykształconych ludzi i naukowców, jak i ekscentryków i mających chwalebne zamiary dziwaków – oraz domysły, kto może tam żyć. Wszystko to razem podbudowuje tę niezwykłą tezę i umożliwia ciągle zaskakującą wędrówkę po historii naszego świata.

Starożytne legendy o pustych przestrzeniach

Wyspa Tory znajduje się w pobliżu północno-zachodniego krańca Donegalu, około 11 kilometrów od Irlandii. Na pierwszy rzut oka wydaje się raczej niegościnnym miejscem, składającym się z twardych, poszarpanych skał przykrytych cienką warstwą gleby, większość której usunęły szalejące żywioły. A przecież z powodu tego odosobnienia i jałowości wydaje się, iż czas się na niej zatrzymał. I rzeczywiście tak było przez wiele, wiele lat.

Kął, pod jakim wyspa stawia czoło ciemnym, wzburzonemu wodom Atlantyku, sprawia, że wiatry i fale zawsze są silne i zdarzają się dni, kiedy małe łodzie nie mogą przepłynąć z Sheep Haven do Irlandii. Jednakże ci przybysze, którzy odbywają tę podróż, często po powrocie twierdzą, że Tory jest znacznie bardziej intrygująca niż jej słynna sąsiadka, Aran, i bardziej związana z historią starożytnej Irlandii niż jakiegokolwiek inne miejsce tej celtyckiej krainy.

Podobnie jak na większości zachodnich wysp, na Tory nie rosną drzewa, a jej zwróconą ku Atlantykowskiemu stronom tworzą wysokie, nagie, podobne do filarów klify o fantastycznych kształtach zwane *tors*. To właśnie od nich wywodzi się nazwa wyspy, od irlandzkiego słowa *torraigh*, oznaczającego łąd pełen wysokich skał. Niektóre z tych filarów strzelają ku górze niczym wielkie monolity z minionych wieków, natomiast inne sprawiają wrażenie, jakby starożytni rzemieślnicy chcieli nadać im kształt drogowskazów zwróconych w stronę północnego horyzontu. Wschodni kraniec wyspy oddziela od jej szerszej części wąski przesmyk znany jako *dun*. Nadal widać tam pozostałości fortyfikacji ziemnych i uważa się, że niegdyś w tym miejscu znajdowała się prehistoryczna twierdza. Na pewno forteca była tam w XVII wieku, kiedy grupa wyspiarzy stanęła do ostatniej walki z siłami Korony angielskiej. Ponieważ wyspa Tory leży na północnoatlantyckich szlakach handlowych, często dochodziło tam do katastrof morskich, o czym świadczą kawałki stali, żelazne sztaby i różne przedmioty z zatopionych statków wykorzystywane w gospodarstwach domowych wyspiarzy.

Wyspa Tory to miejsce, w którym przetrwały do naszych czasów starożytne legendy, i gdzie nadal opowiada się mnóstwo historii o dawno minionych wiekach.

Mieszkańcy Tory dożywają późnej starości; istnieją opowieści o mężczyznach i kobietach szukających nowych partnerów po ukończeniu stu lat. W dawnych czasach nawet wybierano „króla” wyspy i do dziś zachowało się ozdobne krzesło, które należało do ostatniego władcy. Wielu wyspiarzy nadal mówi w *Gaelic* i właśnie samo przetrwanie tego języka przyczyniło się do zachowania starożytnych tradycji przekazywanych ustnie z pokolenia na pokolenie od niepamiętnych czasów.

Pisząc o tym apeckie życia na Tory, profesor Thomas Westropp, członek Royal Irish Academy i ekspert w dziedzinie mitycznych krain położonych na Atlantyku, napisał w periodyku tego stowarzyszenia w październiku 1953 roku:

Łatwo można zrozumieć trwałość tradycji i słowa mówionego w prymitywnej, odizolowanej od świata społeczności, której członkowie odznaczają się długowiecznością. Nigdzie nie widziałem tego tak wyraźnie jak na wyspie Tory. Prehistoryczne mity i legendy mieszą się tam ze średniowiecznymi faktami historycznymi i niedawnymi wydarzeniami. Opowiada się to wszystko tak, jakby była to jedna opowieść o tym, co działo się przed kilku laty. Dominującą postacią tej mitologii jest Balor, wódz Fomorów, legendarnych wędrowców, którzy niegdyś zamieszkiwali tę wyspę i stamtąd nękali resztę Irlandii napadami i grabieżami.

Właśnie konfrontacja między złymi Fomorami a tajemniczym ludem Tuatha De Danann, który przybył do Irlandii z „krainy poza Oceanem”, według Roberta Charroux, dostarczyła nam jednej z najwcześniejszych opowieści związanych z legendą o Pustej Ziemi.

W legendach Fomorowie byli „niekształtnymi i porywczymi ludźmi” i mieli tak fatalną reputację, że uznano ich za złe bóstwa mitologii irlandzkiej. Najbardziej wiarygodnym źródłem informacji o nich jest *Księga Burej Krowy**, manuskrypt spisany około 1090 roku, który opowiada, że pierwszym ich przyczółkiem w Irlandii była wyspa Tory zamieniona później w główną twierdzę. Pozostałości tego nadal widać w postaci umocnień ziemnych, okrągłej wieży z nieregularnych kamiennych bloków, starożytnego dolmenu i kilku pokrytych napisami kamieni.

Kiedy Fomorowie ufortyfikowali swoją bazę, zaczęli napadać i brać do niewoli innych mieszkańców Irlandii. Byli wśród nich Partholonowie, Nemedianie i sławni Tuatha Dé Danann, którzy mieli ich w końcu pokonać. Partholón, przywódca pierwszej grupy, był potomkiem Magoga i wraz ze swoim ludem osiedlił się w Munster. Tam dzielnie odpierali ataki Fomorów, póki nie wyginęli od zarazy. Nemedianom, którzy przybyli do Irlandii ze Scytii, nie wiodło się lepiej. Po wielu latach niewoli u Fomorów, kiedy udało im się pokonać w bitwie ich władcę Conana – zostali dosłownie wycięci w pień podczas ataku odwetowego. Przy życiu pozostało wtedy mniej niż trzydziestu Nemedian, którzy na zawsze uciekli z Irlandii.

Jednakże Tuatha Dé Danann mieli się okazać zupełnie innymi przeciwnikami. Od dawna snuto rozważania o prawdziwym pochodzeniu tych wysokich, jasnoskó-

* *Tain, czyli wprowadzenie stad z Cuailgne*, Warszawa 1983.

rych, przystojnych mężczyzn i kobiet, którzy, według irlandzkiej legendy, byli ludem bogini Dany i przybyli do Irlandii z „pięknej krainy” na północy. Rzymski filozof Lukrecjusz, który w swoim dziele zastanawiał się nad pochodzeniem wszechświata, napisał o nich: „Przez wiele lat wiedli życie w głębinach Ziemi”, zaś Robert Charroux dodał jeszcze bardziej znacząco: „Tuatha Dé Danann przywieźli ze swojej ojczyzny magiczne przedmioty: Miecz Nuady, Włócznię Luga, Kocioł Dagdy i Kamień zwany Fal, czyli Głaz Przeznaczenia, który krzyczał, gdy wstąpił nań prawowity król”.

Księga Burej Krowy powiada, że w przeciwieństwie do gwałtownych Fomorów, Tuatha Dé Danann uważano za bogów światła i dobroci. Choć w razie potrzeby byli dzielnymi i mężnymi wojownikami, starali się wprowadzić w Irlandii taki sam pokój i harmonię, jakie panowały w ich zamorskiej ojczyźnie. Najwidoczniej byli wyjątkowym ludem i, jak zauważył Peter Berresford Elias w *Dictionary of Irish Mythology* (Słownik mitologii irlandzkiej, 1987) „kiedy mnisi chrześcijańscy zaczęli spisywać [irlandzkie] sagi, zdegradowali bogów i boginie do bohaterów i bohaterek, choć w wielu przypadkach pozostawili im podobne boskim zdolności”.

Powiedziawszy to, muszę dodać, że Tuatha Dé Danann nie byli całkowicie supermężczyznami i superkobietami. Tak jak zwykli ludzie szukali szczęścia, przyjemności oraz miłości – i najwidoczniej przedstawicielom obu płci nieobce były pewne wady i nałogi. Jasne jest też, że przewyższali inteligencją wszystkie inne ówczesne ludy oraz władali tajemniczymi mocami, których nikt inny nie rozumiał, jak wspomina Lady Wilde w *Ancient Legends od Ireland* (Starożytnie legendy Irlandii, 1888):

Owi Tuatha byli wielkimi czarnoksiężnikami, biegłymi we wszelkich rodzajach magii i wyróżniali się w sztukach jako budowniczowie, poeci i muzycy.

Byli równie zaawansowani w medycynie i nauce. Wyraźnie na to wskazuje historia Nuady, który został ich pierwszym przywódcą po przybyciu do Irlandii. W jednej z pierwszych potyczek z Fomorami nieprzyjacielski miecz odrąbał mu rękę. Dian Ceht, opisany w starożytnych tekstach jako „bóg medycyny”, zoperował ramię Nuady i dostarczył mu całkowicie funkcjonalny metalowy odpowiednik. To od tej sztucznej kończyny wódz Tuatha Dé Danann zyskał przydomek „Nuada o Srebrnej Ręce”.

Jeżeli ktoś mógł położyć kres napaściom Fomorów prowadzonym z twierdzy na wyspie Tory, to właśnie plemię bogini Dany, które, według Lady Wilde, dysponowało przerażającą siłą: „Kawalkada rycerzy Tuatha była wspaniałym widokiem. Sto czterdzieści rumaków, każdy z klejnotem błyszczącym na czole jak gwiazda, i stu czterdziestu jeźdźców, a wszyscy byli królewskimi synami, w swoich obramionych złotem zielonych opończach, w złotych hełmach na głowach oraz w złotych zbrojach i każdy rycerz dzierżył w dłoni złotą włócznię”.

Hordami Fomorów rządził wówczas Balor o Złym Oku. Jego kompani uważali się teraz za niezwyciężonych. Zwłaszcza Balor chełpił się swoim przewiskiem – otrzymał je, jak mówiono, gdyż miał tak złe oczy, iż mogły uśmiercić każdego, na kogo spojrzał. Był jednak również bardzo przesądny i kiedy przepowiedziano mu, że

zabije go jego własny wnuk, polecił zbudować na wyspie Tory kryształową wieżę i uwięził w niej swoją jedyną córkę Ethlinn, by nigdy nie miała dziecka.

Kiedy wieści o tej pięknej więźniarce dotarły do uszu Ciana, syna Diana Cechta, lekarza ludu bogini Dany – jak twierdzi legenda – przysiągł on uwolnić dziewczynę. W kobiecym przebraniu zdołał oszukać strażników i dotarł do Ethlinn. Szybko jednak zorientował się, że nigdy nie wydobędzie jej z wieży. Odbył więc z nią stosunek miłosny i wymknął się przed świtem. Kiedy później Balor usłyszał o ciąży Ethlinn, musiał zdać sobie sprawę, że jego najgorsze obawy się sprawdziły.

Podczas słynnej bitwy na Magh Tuireadh, Fomorowie starli się z Tuatha Dé Danann i choć Balor zdołał zabić dzielnego Nuadę, jego oddziały poniosły duże straty. Tak jak przepowiedziano, Balor zginął później z ręki swego wnuka Lugha i z jego śmiercią zakończyły się fomoriańskie rządy terroru w Irlandii (interesujące, że imię tego złego władcy nadal fascynuje mieszkańców Tory i kiedy w 1931 roku na pozostałościach prehistorycznych fortyfikacji znaleziono niewielki skarb elżbietańskich monet, znalazczyni nie wątpiła, że były to „pieniądze Balora”).

Przez pewien czas Irlandia cieszyła się pokojem i rozwojem pod dobroczynnymi rządami Tuatha Dé Danann, aż inny lud, Milezowie, rzucił im wyzwanie. Plemię to, pochodzące z Hiszpanii, nazwano tak od Milesiusa (co znaczy „żołnierz”), którego przodkowie mieli wywodzić się ze starożytnego Egiptu. Dzisiaj lud ten powszechnie uważa się za ostatnią grupę prehistorycznych najeźdźców i przodków celtyckich Goidelów, dzisiejszych mieszkańców Irlandii. To właśnie czterej synowie Milesiusa – Eber, Amergin, Ir i Colpa – dokonali podboju Irlandii i pokonali Tuatha Dé Danann. W tym momencie opowieść ta staje się jeszcze bardziej tajemnicza.

Według większości relacji, ocaleli Tuatha Dé Danann zostali wygnani z Irlandii i wrócili do swych bajecznych miast na północy. Czy mogli powrócić do swojej ojczyzny wewnątrz Ziemi? Historycy John Michell i Robert J. M. Rickard w książce *Phenomena* (Fenomeny, 1977), w rozdziale poświęconym Pustej Ziemi uważają, że takiej możliwości nie sposób wykluczyć:

Jeżeli w tych starożytnych mitach i opowieściach jest jakieś źdźbło prawdy, między dolnym i górnym światem musiał istnieć ożywiony ruch. Ludzie przenosili się z jednego do drugiego. Na przykład pamiętamy, że według starych irlandzkich legend przed wiekami rozgorzała bitwa między Milezami i władającymi mocą czarodziejską Tuatha Dé Danann o panowanie nad krajem. W końcu podzielili go między siebie: zwycięscy Milezowie wzięli górną połowę, wypędzając starszy lud pod powierzchnię Ziemi.

Niektórzy uważają, że interesujący, wysoki na 1,8 metra krzyż w kształcie litery T stojący na północnym wybrzeżu wyspy jest milczącym świadkiem tego odejścia. Wprawdzie pewne autorytety uważają go za chrześcijański, lecz lokalna tradycja twierdzi, że pochodzi on ze znacznie wcześniejszej epoki. Badacze dopatrują się w nim pewnego podobieństwa do krzyży znajdujących w Egipcie. W ten sposób łączy się ten daleki skrawek Irlandii z pustynnym krajem na drugim końcu świata, gdzie, jak zasugerował Erich von Däniken, może znajdować się wejście do Pustej Ziemi. Na

pewno nie ma drugiego takiego w całej Irlandii i są na nim trzy dziwaczne znaki, których pochodzenia dotąd nie wyjaśniono. Wysunięto tylko przypuszczenie, że jest on dziełem jakiegoś rzemieślnika z plemienia bogini Dany, a nacięcia na nim to ślady prób zniszczenia go przez Milezów – nieudanych, ponieważ okazał się za twardy. Ostateczne wnioski czekają na dalsze badania.

Inna tradycja twierdzi, że Tuatha Dé Danann udali się do ojczyzny swoich przodków przez wielki, podobny do krateru otwór w północnych klifach wyspy Tory. Szeroka na około 45 metrów u góry, dziura ta zwęża się znacznie ku dołowi, schodząc ku morzu, które często ją zalewa przez otwór w pobliżu podnóża klifów. Nic więc dziwnego, że wypiarze spoglądają na to miejsce ze strachem i że wielu unika go nocą. Niektórzy nawet twierdzą, iż słyszeli dziwne odgłosy wydobywające się z tego otworu...

Michell i Rickard napisali również, że kiedy Tuatha Dé Danann zniknęli „pod ziemią”, ulegli degradacji w oczach Irlandczyków i opowieści o nich połączono z baśniami o *sheegees* (elfach) i innych czarodziejskich istotach. Czy możliwe jest, że ten tajemniczy lud wywodził się z Pustej Ziemi? Niektórzy uczeni przypuszczali, iż Tuatha Dé Danann byli z pochodzenia Normanami, choć na żadnej mapie Skandynawii nie ma bajecznych miast Falais, Gorias, Finias i Murias, z których mieli przybyć. Nie ma też żadnych dowodów na to, że ówczesni Skandynawowie byli tak inteligentni lub tak zaawansowani w dziedzinie techniki, nauki i medycyny jak Tuatha Dé Danann w tym okresie ich historii. Jeśli jednak pochodzili oni z krainy poza biegunami, jak sądzą badacze Pustej Ziemi, byli więc tylko – jak przypuszczają Michell i Rickard – ostatnimi z licznych gości przybyłych na powierzchnię naszej planety, poczynając od najdawniejszych czasów.

W ostatnim stuleciu w starożytnym indyjskim królestwie Konkan odkryto w jaskiniach szereg malowideł skalnych, które, jak się uważa, są odbiciem tradycji sięgającej prehistorii. Przedstawiają one grupę ludzi wychodzących z „pustej przestrzeni” pod powierzchnią Ziemi. Według legendy są to pierwsze istoty ludzkie przybywające ze świata podziemnego, by zaludnić Ziemię.

Dwa indiańskie plemiona z Ameryki Północnej również mają legendy twierdzące, iż ludzie powstałi w głębi naszej planety. Mandanowie wierzą, że niegdyś przebywali w jednej podziemnej wiosce nad wielkim jeziorem. Winorośl zapuściła korzenie aż do ich chat i sprawiła, iż ujrzeli światło w górze. Niektórzy odważniejsi mężczyźni i kobiety wspięli się po łodydze winorośli i zdumieli się widokiem, który roztoczył się przed ich oczami: pokrytej wszystkimi rodzajami roślinności ziemi, gdzie pasły się bizona. Kiedy połowa plemienia wydostała się na Ziemię, pod wpływem ciężaru ciała pewnej piersiastej lub grubej kobiety, która właśnie się wdrapywała, łodyga urwała się „zasłaniając światło Słońca przed nią i przed resztą Mandanów”.

Siuksowie również opowiadają historię o tym, iż kiedyś żyli w wielkiej podziemnej społeczności, zanim wydostali się na powierzchnię Ziemi. Legenda mówi, że ich emigrację przyspieszyła wojna wywołana przez złego boga, którego powstrzymała grupa wojowników uznanych później przez ich plemię za bogów pomyślności.

Na Wschodzie istnieje tradycja, że sam Adam przybył ze świata podziemnego. Według tej wersji pochodzenia rodzaju ludzkiego dom Adama znajdował się „w środku Ziemi”, a jego zadaniem było przeprowadzenie zwiadu na powierzchni naszej planety. Hinduski folklor uzupełnia tę legendę twierdząc, że Adam był królem grupy, która uciekła do Pustej Ziemi po wielkim kataklizmie, a potem wróciła na powierzchnię, by odrodzić ludzkość.

Różne inne starożytne teksty religijne też wspominają o świecie ukrytym pod skorupą ziemską. Na przykład kiedy Gilgamesz, legendarny bohater eposów sumeryjskich i babilońskich, wyruszył z wizytą do swego przodka Utnapisztima, zszedł do wnętrza Ziemi. Tam też wyruszył Orfeusz na poszukiwania duszy Eurydyki. Ulisses, dotarłszy do najdalszych zachodnich krańców Ziemi, złożył krwawą ofiarę, by duchy zmarłych przybyły z głębi Hadesu i udzieliły mu rady. W niektórych legendach również Wenus została wygnana „do wnętrza Ziemi”.

Pisząc o tej samej tradycji w *Records of the Past* (Zapisy przeszłości, 1923) genealog A. M. Sayce stwierdza: „Często mówi się nam o siedzibie, którą «bogowie stworzyli» dla pierwszych ludzi – siedzibie, w której ci ostatni «stali się wielcy» i «rozmnóżyli się», a jej lokalizację opisuje się słowami dokładnie odpowiadającymi sformułowaniom z literatury hinduskiej, chińskiej, skandynawskiej i azteckiej, mianowicie «w środku Ziemi»”.

Co więcej, pewna liczba takich legend stwierdza, że pierwsza cywilizacja na Ziemi powstała na dalekiej północy, zanim czapa lodowa skuła bezmiar Arktyki. Mówią one, że przodkowie człowieka przybyli z „Krainy Bogów”, „Nieniszczalnych Wysp” i z „Góry Meru”, położonego poza biegunem północnym pięknego miejsca pełnego światła, opisanego w jednej z opowieści jako „sięgające do nieba na północy”. Dla starożytnych ludów obszar ten był cudownym, świętym krajem, zamieszkanym przez czarowników kierujących losami ludzkości. Dzisiejszym fascynującym echem tych starodawnych tradycji jest fakt, że dzieci piszą listy do świętego Mikołaja przebywającego w „krajnie cudów” na biegunie północnym, prosząc o podarunki.

Badacze Pustej Ziemi zwrócili również uwagę na pewną liczbę fragmentów z Biblii, zwłaszcza z Ksiąg Izajasza i Joba, które ich zdaniem wskazują, że pojęcie to było dobrze znane i rozumiane w owych czasach. Szczególnie ważne są wersety z Joba 26,7-10*, które ich zdaniem odnoszą się do bieguna północnego i do świata podziemnego, który się pod nim znajduje:

*Rozpościera północ ponad pustką, a ziemię zawiesza nad nicością.
Skupia wody w swoich chmurach, a jednak obłok nie pęka pod ich ciężarem.
Zastłania widok swojego tronu i rozpościera nad nim swój obłok.
Na krańcu wód zakreślił granice, oddzielił światłość od ciemności.*

Grecki filozof Platon (ok. 427-347 p.n.e.) przypuszczalnie był pierwszym człowiekiem, który pisał o podziemnym świecie. W kilku swoich pracach wspomina o olbrzymich podziemnych potokach i tunelach, zarówno szerokich, jak i wąskich, we

* *Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu z apokryfami*, Warszawa 1990.

wnętrzu Ziemi, pisze też o tych, którzy mogą tam mieszkać. Stwierdza mianowicie, że prawdziwym domem boga Apollina jest piękna kraina Hyperborejczyków, ziemia życia wiecznego, gdzie, jak powiadają mity, spotkały się dwa gołębie wypuszczone z przeciwległych krańców Ziemi. Dla podkreślenia związków Apollina z tym obszarem dodaje, że jego matka Latona, urodziła się na oceanie daleko poza Wiatrem Północnym. Apollo zaś siedzi w samym środku, na pępku Ziemi i to właśnie on objaśnia religię całej ludzkości. Dla osób wierzących w Pustą Ziemię „pępek Ziemi” jest dowodem na to, że ten wielki filozof miał na myśli świat podziemny.

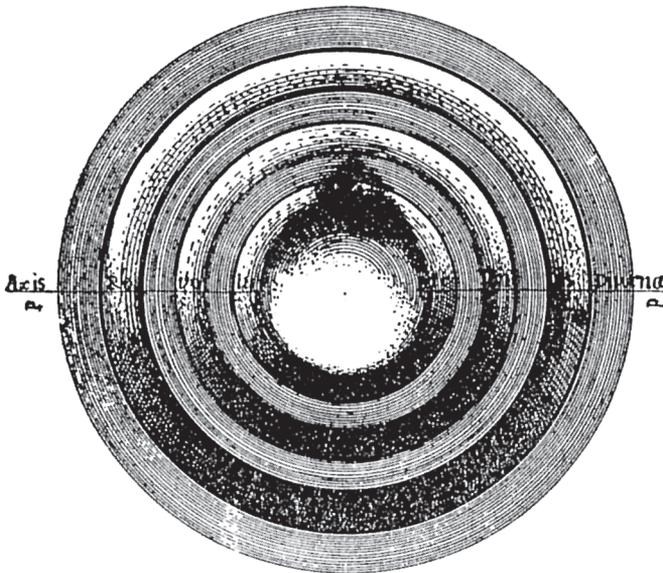
Pierwszym człowiekiem, który napisał całą pracę poświęconą koncepcji Pustej Ziemi był, co może wydać się zaskakujące, Edmund Halley, angielski astronom i matematyk (1656-1742). To właśnie on w 1682 roku zauważył kometę nazwaną dziś jego nazwiskiem. Dziesięć lat później mianowano go astronomem królewskim. Halley był bliskim przyjacielem Isaaca Newtona i przedyskutował z nim szczegółowo jego epokowe dzieło *Philosophia Naturalis Principia Mathematica* (Matematyczne podstawy filozofii przyrody, 1687); z niego to wywodzą się równania matematyczne, które stały się podstawą całej współczesnej inżynierii technicznej. Jednak choć Halley zgadzał się z zaproponowanymi przez swego przyjaciela wyjaśnieniami różnych rodzajów zjawisk, od ruchów planet do spadania kuli armatniej, nie znalazł jednak odpowiedzi na pewne anomalie, na przykład deklinacje magnetyczne. Halleyowi chodziło zwłaszcza o to, że bieguny magnetyczne Ziemi – te, na które wskazuje igła kompasu – raczej wędrują niż stoją w miejscu.

Rezultatem tych rozważań był artykuł: *An Account of the Cause of the Change of the Variation of the Magnetic Needle* (Wyjaśnienie przyczyny zmian deklinacji igły magnetycznej wraz z hipotezą o wewnętrznej budowie Ziemi), opublikowany w „Philosophical Transaction” wydawanym przez Royal Society of London w roku 1692. W tej długiej pracy, w oparciu o matematykę i filozofię, Halley wysunął hipotezę, że Ziemia nie jest ciałem jednolitym, lecz pustym w środku. Miała też zawierać trzy sfery, które, jak powiedział, rozwiązywały problem deklinacji magnetycznej. Według Halleya wystarczyło przyjąć, iż bieguny magnetyczne w istocie znajdowały się na jednej lub dwóch wewnętrznych sferach i że obracały się wokół osi z nieco inną szybkością niż zewnętrzna skorupa Ziemi. Sedno swojej tezy Halley ujął następująco:

Zewnętrzne części globu można nazwać skorupą, zaś wewnętrzne jądrem lub wewnętrznym globusem, zawartym w środku naszego, z płynną substancją pomiędzy nimi. Mając ten sam wspólny środek i oś obrotu dobowego, mogą obracać się wokół naszej Ziemi co 24 godziny; jednakże ta zewnętrzna sfera ma ruch obrotowy nieco wolniejszy lub szybszy niż wewnętrzna kula. Wraz z upływem czasu nawet bardzo niewielkie powtarzające się różnice stają się wyczuwalne. Dlatego wewnętrzne części będą stopniowo oddalać się od zewnętrznych i nie dotrzymując sobie kroku zdawać się przesuwać albo na wschód, albo na zachód dzięki różnicy ich obrotów. Założywszy zatem, że wewnętrzna sfera będzie miała taki właśnie ruch, rozwiążemy tę zagadkę. Jeżeli bowiem zewnętrzna skorupa Ziemi będzie magnesem, a jej bieguny będą się znajdowały w pewnej odległości od biegunów obrotu dobowego; i jeśli we-

wewnętrzne jądro będzie takim samym magnesem mającym swoje bieguny w dwóch różnych miejscach, również odległych od jego osi; wówczas te ostatnie poprzez stopniową i powolną przemianę ruchu zmienią swoje położenie w stosunku do skorupy zewnętrznej; w ten sposób możemy dać rozsądne wyjaśnienie deklinacji magnetycznej, a nikt dotąd nie podjął takiej próby.

Wymieniwszy wszystkie najważniejsze, jego zdaniem, zastrzeżenia czytelnika do swojej teorii – że żaden taki wewnętrzny glob nie będzie mógł się utrzymać we wnętrzu skorupy ziemskiej, że woda morska nieustannie będzie do niego ciekła, a całkowite ciemności uniemożliwią istnienie jakiegokolwiek formy życia – Halley raczej nieprzekonująco odwołuje się do „mądrości Stwórcy, który zadbał o makrokosmos znacznie lepiej niż ja mogę sobie wyobrazić czy wyrazić”. Przedstawił jednak diagram swojej wizji Pustej Ziemi wraz z kilkoma obliczeniami matematycznymi, by wyjaśnić swoją koncepcję:



Narysowany przez Halleya diagram Pustej Ziemi, który pojawił się w jego artykule w „Philosophical Transactions”

Dolącam następujący schemat, na którym Ziemia jest przedstawiona na zewnętrznym kręgu, a trzy wewnętrzne kręgi są niemal równie proporcjonalne do wielkości planety Wenus, Marsa i Merkurego, które wszystkie mogą być włączone do globu ziemskiego i wszystkie te sklepienia są odpowiednio mocne, by uniosły ich ciężar. Każde takie sklepienie, ocienione inaczej od reszty, może składać się, jak przypuszczam, z materii magnetycznej, a całość obraca się wokół wspólnej osi, z tą jednak różnicą, iż zewnętrzna sfera robi to nieco szybciej niż wewnętrzna. Ponieważ średnica Ziemi wynosi około

8 tysięcy mil angielskich [12872 kilometrów], zakładam, że jej skorupa ma grubość 500 mil [804,5 kilometrów], przyjmuję też następną 500 mil dla strefy pośredniej, niezbędnej dla wielkiej atmosfery należącej do planety Wenus; Wenus przydzielam skorupę tej samej grubości i pozostawiam taką samą przestrzeń między jej sklepieniem a Marsem; podobnie co do Marsa i Merkurego; co do tej ostatniej kuli zakładam, że jest jednolita i że ma około 2 tysięcy mil [3218 kilometrów] średnicy.

Halley zakończył swój artykuł wyzywającym stwierdzeniem: „W taki oto sposób ukazałem możliwość istnienia znacznie bogatszego dzieła Stwórcy niż dotychczas przypuszczano. Jeśli wyda się ona dziwna tym, którzy nie są obznajomieni z systemem magnetycznym, mam nadzieję, że po pierwsze poinformuje ich o faktach, a po drugie, niech przedstawią, jeśli zdołają, prostszą hipotezę”.

Praca sir Edmunda Halleya o Pustej Ziemi miała kilka wydań i uległa pewnym zmianom przez następne trzydzieści lat, co nasuwa przypuszczenie, że była znana ludziom wykształconym, choć raczej nie została dobrze przyjęta przez współczesnych mu naukowców. Większość z nich znacznie bardziej zainteresowały jego wyjaśnienia odchylenia igły kompasu. Mimo to astronom królewski nie przestawał bronić swojej teorii, dodając w marcu 1716 roku inny ważny komentarz po szczególnie pięknej *aurora borealis*, którą oglądano w Europie Północnej. Dostarczyła ona Halleyowi odpowiedzi na pytanie, co oświeca świat podziemny. Napisał inny artykuł dla „Philosophical Transaction”, w którym szczegółowo omówił zaobserwowaną wtedy zorzę polarną i znalazł dla niej własne wyjaśnienie.

Według Halleya wysunięte przez astronomów hipotezy o pochodzeniu tego zjawiska są całkowicie błędne. Doszedł on do wniosku, że zorzę polarną wywołuje „ucieczka świecącej materii, która zapewnia odwiecznym sferom ciągle światło dzienne”. Materia ta, stwierdził, naturalnie wymykałaby się tam, gdzie zewnętrzna sfera jest najcieńsza – to znaczy na dalekiej północy, gdyż jego przyjaciel Newton właśnie udowodnił mu, że Ziemia jest spłaszczona na biegunach – a Halley uważał, iż powodem tego spłaszczenia jest ściśnienie sfery wewnętrznej.

Chociaż później matematycy i fizycy odrzucili wywody Halleya, pozostała jednak pewna liczba ludzi dostatecznie zainteresowanych jego teorią, by wspomnieć o niej w swoich własnych pracach. Jednym z pierwszych był Cottom Mather (1663-1728), purytański pastor z Nowej Anglii, znany z wywołania nagonki na czarownice w Salem. Całkowicie zgadzał się on z tą hipotezą i w książce *The Christian Philosopher* (Chrześcijański filozof, 1721) w rozdziale pt. „O magnetyzmie”, przytoczył niemal dosłownie to, co Halley napisał. „Możemy uznać zewnętrzną część naszego globu jako skorupę”, napisał, „środkową zaś jako jądro lub wewnętrzny glob, które, mając ten sam wspólny środek i ós obrotu dobowego, mogą obracać się wokół naszej Ziemi co 24 godziny”. Później Mather stwierdził, że zgadza się również z wnioskami Halleya o *aurora borealis*: „Wewnętrzna sfera pośrednia może być zawsze oświetlona; sklepienie zaś świecić od takiej substancji jak powierzchnia Słońca; a może mają one jakieś szczególne ciała świetlne, o których nie mamy pojęcia... Ale dość tego, gdyż dotarliśmy już poza ludzką przenikliwość; zagłębiłmy się tak daleko, jak mogły nas zaprowadzić wszystkie przypuszczenia!”

Jakkolwiek Mather bez żenady niemal dosłownie powtórzył tezę Halleya, można powiedzieć, że pomógł w przetrwaniu koncepcji Pustej Ziemi, gdyż późniejsze pokolenia czytelników, szukając w jego pracach opowieści o diabłach, demonach i innych dziwacznych zjawiskach wszelkiego rodzaju, natknęły się na ten ważny rodzaj.

Płodny szwajcarski matematyk Leonhard Euler (1707-1783), który opracował nowe metody rozwiązywania problemów obserwacji astronomicznych, twierdził później, że jeśli wewnątrz Ziemi jest puste, może tam być tylko jeden świat wewnętrzny z oświetlającym go środkowym słońcem. Sir John Leslie (1766-1832), szkocki filozof natury, który prowadził eksperymenty z promieniowaniem, uważał przeciwnie, że ten świat wewnętrzny powinien raczej mieć dwa słońca krążące wokół wspólnego środka ciężkości. Nawet nazwał je Plutonem, od greckiego boga podziemi, i Prozerpina, od imienia jego żony.

Jednak pomimo komentarzy tych wszystkich uczonych mężów i zainteresowania opinii publicznej, minęło niemal sto lat, zanim ktoś zajął się zagadką Pustej Ziemi z takim samym zaangażowaniem, jak sir Edmund Halley. Tym razem wszakże okazał się nim człowiek, który nie tylko był zainteresowany wyjaśnieniem pewnej teorii, jak astronom królewski, lecz także zamierzał odwiedzić podziemny świat. Nie wątpił bowiem, że znajduje się on pod jego stopami.

Teoria koncentrycznych sfer

Wstarym parku w Hamilton w południowo-zachodnim Ohio stoi interesujący, zniszczony przez czas pomnik, który łatwo można przegapić w codziennej krzątaniu tego ośrodka przemysłowego. Składa się on z czworobocznego cokołu, wysokiego prawie na 1,5 metra, z wydrążoną kulą na szczycie. Napis na dole, tak zatarty, że niemal niczytelny, informuje każdego, kto zatrzyma się obok, by nań spojrzeć, iż pomnik wznosił w 1829 roku człowiek o dziwacznym nazwisku Americus Vespuccius Symmes dla uczczenia pamięci swego ojca, kapitana Johna Clevesa Symmesa. Pomnik ten oddaje mu cześć nie jako żołnierzowi, gdyż Hamilton chlubi się wspaiałym pomnikiem żołnierzy, żeglarzy i pionierów, lecz, co znacznie bardziej zasługuje na uwagę, jako pierwszemu współczesnemu propagatorowi legendy o Pustej Ziemi. Wryte na nim słowa są tak dziwne, iż trudno byłoby znaleźć podobne na jakimkolwiek innym pomniku:

KAPITAN JOHN CLEVES SYMMES

Żołnierz, filozof i twórca

teorii Symmesa

o koncentrycznych sferach

i otworach na biegunach.

Twierdził, że Ziemia jest pusta i podatna do zamieszkania w swym wnętrzu.

Niestety, większość mieszkańców Hamilton mało wie o życiu Symmesa lub o jego teorii. Ci, którzy o nim słyszeli, uważają go za dziwaka, który wykończył się podróżując niepotrzebnie po kraju, wyjaśniając swoje zwariowane teorie i daremnie próbując zdobyć poparcie dla ekspedycji do świata wewnętrznego. Po wybitnej karierze wojskowej Symmes poświęcił się bez reszty wyjaśnieniu odwiecznej zagadki Pustej Ziemi...

Miasto Hamilton leży nad Great Miami River o prawie 40 kilometrów na północ od Cincinnati. Produkuje się tam tkaniny, papier, części zamienne do samochodów,

sejfy oraz prasy mechaniczne i hydrauliczne. Chociaż jest siedzibą lokalnego samorządu, nie można by go opisać jako atrakcji turystycznej, mimo że ma dość ciekawą historię. Pierwszym budynkiem na tym miejscu był fort Hamilton, którego generał Anthony Wayne zwany „Szalonym” używał jako bazy do walki z Indianami w latach 1791 i 1796. W 1794 roku obok fortu zbudowano miasteczko Fairfield. Jego współczesna nazwa pochodzi od Aleksandra Hamiltona, amerykańskiego męża stanu. Po przekopaniu w połowie roku 1805 kanału Miami-Erie, zapewniającego połączenie z Cincinnati na południu i Dayton na północy, Hamilton miało zapewnioną przyszłość.

Pierwsi osadnicy w tej części Ohio przypuszczalnie mieli co innego na głowie niż badanie występujących wszędzie w okolicy olbrzymich kopców, które, według legendy, były tam od bardzo dawna. Na pewno miejscowi farmerzy, zajęci bardziej prozaicznymi sprawami, zrównali wiele z nich z ziemią, zanim archeolodzy mogli przeprowadzić tam badania. Rozważania nad pochodzeniem tych kopców nie są częścią naszej opowieści, ale Robert Charroux zaproponował pewną fascynującą teorię:

W Ameryce Północnej, a zwłaszcza w Ohio, jest wiele kurhanów i olbrzymich kopców w kształcie węża wzniesionych z ziemi w czasach prehistorycznych. Nie ma wątpliwości, że dawniej było ich tysiące – należałoby się więc zastanowić, czy „Kraina Wzgórz” naszych celtyckich przodków nie znajdowała się w Meksyku, lecz w Ameryce Północnej, przynajmniej w najdawniejszych czasach. Później może „Krainą Wzgórz” stał się Meksyk, gdzie usypano pierwsze kurhany. Bez względu na to, jaka jest prawda, w Stanach Zjednoczonych odkryto mnóstwo sztucznych wzgórz. W Chillicothe w Ohio, [nieдалeko od Hamilton] jest ich dwadzieścia cztery, w kształcie stożka...

Wszystko to sprawia, że Hamilton w Ohio jest odpowiednim miejscem dla rozwoju kariery Johna Clevesa Symmesa, zwolennika teorii koncentrycznych sfer, choć nie urodził się tutaj, lecz w hrabstwie Sussex w New Jersey, 5 listopada 1780 roku. Ochrzczono go imieniem słynnego wuja noszącego to samo nazwisko. Wuj ów odegrał znaczną rolę w historii Środkowego Wschodu, wymyślił bowiem tzw. „nabytek Symmesa”. Do jego przodków zaliczał się ród wybitnych pastorów z Nowej Anglii, z których pierwszym był Zachariasz Symmes. Ten angielski purytanin wyemigrował do Massachusetts ze wschodniej Anglii w 1634 roku.

W szkole młody John wykazał się zdolnościami matematycznymi, miał zainteresowania naukowe i był też wszechstronnym czytelnikiem. Ponieważ w jego domowej bibliotece była pewna liczba dzieł Cottona Mathera, również pastora i przyjaciela Zachariasza Symmesa, uważa się, iż jego potomek po raz pierwszy zetknął się z teorią Pustej Ziemi w książce *The Christian Philosopher*.

Jednakże w wieku 20 lat Symmes wybrał karierę wojskową i szybko okazał się zdolnym i dobrze wyszkolonym żołnierzem. Do roku 1812, gdy wybuchła wojna między Ameryką i Wielką Brytanią, awansował do stopnia kapitana. Uczestniczył w bitwach pod Bridgewater i Lundy's Lane i zasłynął z odwagi. W 1813 roku odegrał ważną

rolę w zwycięstwie Olivera Hazarda Perry'ego nad jeziorem Erie, kiedy poprowadził oddział komandosów na brytyjskie umocnienia, otwierając drogę atakowi głównych sił amerykańskich. Otrzymał kilka medali za odwagę i stał się kimś w rodzaju bohatera. Niestety, wielce indywidualistyczny sposób walki Symmesa, który jednak uczynił jego niespodziewany atak tak udanym, w połączeniu z ostrym językiem – a nie krępował się zarówno wobec podwładnych, jak i zwierzchników – nie zapewniły mu popularności w dowództwie. Po ostatecznym zwycięstwie Andrewa Jacksona w Nowym Orleanie w styczniu 1815 roku, odesłano Symmesa do zagubionego w leśnych ostępach fortu w górnym biegu Mississipi.

Chociaż taki przydział musiał być wielce frustrujący dla Symmesa, postanowił on wykorzystać wolny czas na rozwinięcie swoich zainteresowań budową Ziemi – pod wpływem eseju Cottona Mathera. Zatopił się w lekturze i w ten sposób poznał teorie dwóch amerykańskich profesorów, Abnera Burnetta i Johna Woodwarda. Burnett utrzymywał, że Ziemia powstała jako pływająca kula z błota pokrytego olejem i zgromadziła „kosmiczne śmiecie”, by utworzyć zewnętrzną skorupę. Natomiast Woodward twierdził, iż nasza planeta składa się jak cebula z wyraźnie odrębnych, nakładających się na siebie warstw. Jednakże John Cleves Symmes wyciągnął własne wnioski – że Ziemia jest pusta, z pięcioma koncentrycznymi sferami pod zewnętrzną skorupą, a wszystkie mają wspólny środek. Symmes zauważył też, że w naturze wiele rzeczy jest pustych; poczynając od trzciny rosnących na brzegach Mississipi do kości w mięsie podawanym na kolację. I, co było bardziej kontrowersyjne, uznał, że teoria grawitacji Newtona jest fałszywa. Doszedł bowiem do wniosku, iż atmosferę wypełnia niewidzialna substancja, którą nazwał „plastycznym, eterycznym fluidem” złożonym z maleńkich kulek eteru, również pustych. To właśnie ta substancja, jak twierdził, spychała wszystko do ziemi, a nie „przyciąganie” z teorii Newtona.

Cała ta koncepcja stopniowo zamieniła się w obsesję i w 1826 roku Symmes podał się do dymisji, by przedstawić swą teorię amerykańskiej opinii publicznej. Dla sfinansowania swoich badań przeniósł się do St. Louis w stanie Missouri i założył tam placówkę handlową. Zaopatrując wojsko i handlując z Indianami nadal znajdował czas na pracę nad swym projektem. Poślubił też wdowę Mary Anne Lockwood, która miała już sześcioro dzieci, i szybko spłodził jeszcze czworo, a wszystkie otrzymały podobne imiona jak jego pierworodny, Americus Vespucius Symmes.

Pewnego dnia, gdy Symmes siedział nad Missouri, inna myśl przyszła mu do głowy. Jeżeli istniały wejścia do tego pustego świata, to najprawdopodobniej musiały znajdować się na biegunach. Ale jak się tam dostać i przekonać o tym? Zdawał sobie sprawę, że koniecznie musi szukać poparcia rządu i naukowców, dlatego postanowił złożyć pewne oświadczenie. Zamierzał wystosować je do prezydenta Stanów Zjednoczonych, do Kongresu, największych uniwersytetów amerykańskich, przywódców państw i wybitnych naukowców w Europie, a także do mieszkańców każdego większego miasta i miasteczka w swojej ojczyźnie. Egzemplarz tego unikalnego dokumentu, który zdobył Symmesowi rozgłos, datowany na 10 kwietnia 1818 roku, nadal znajduje się w Library of Congress w Waszyngtonie.

MANIFEST DO CAŁEGO ŚWIATA
„Światło daje światło światłu odkryć ad infinitum”

*St. Louis, Terytorium Missouri,
Ameryka Północna, 10 kwietnia 1818*

Oświadczam, że wewnątrz Ziemi jest puste i nadaje się do zamieszkania; zawiera ona pewną liczbę twardych koncentrycznych sfer (jedne w drugich) i ma otwory na biegunach na szerokości dwunastu lub szesnastu stopni. Ręczę życiem za prawdziwość tego stwierdzenia i gotów jestem zbadać wewnątrz Ziemi, jeżeli świat mnie poprze i pomoże mi w tym przedsięwzięciu.

*John Cleves Symmes z Ohio,
były kapitan piechoty*

N. B. Mam przygotowany dla prasy traktat o mojej tezie, gdzie przytaczam dowody na prawdziwość powyższego stwierdzenia, wyjaśnienia różnych zjawisk i ujawniam „Złoty Sekret” doktora Darwina. Moje warunki to poparcie Starego i Nowego Świata, a traktat poświęcam żonie i moim dziesięciorgu dzieciom. Wybieram doktora S. L. Mitchella, sir H. Davy’ego i barona Alexandra von Humbolta na moich protektorów. Proszę o stu dzielnych towarzyszy, dobrze wyekwipowanych, by zacząć wyprawę z Syberii na jesieni, z reniferami i saniami, zdolnymi wędrować po zamrożonym morzu. Oświadczam, że po dotarciu do 83 stopnia szerokości geograficznej północnej znajdziemy ciepłą i bogatą krainę, pełną bujnej roślinności i zwierzyny, jeśli nie ludzi; wrócimy następną wiosną.

J. C. S.

Do manifestu dołączona jest notatka świadcząca, że temu dokumentowi towarzyszył list podpisany przez kilku wybitnych mieszkańców St. Louis, stwierdzający, iż autor to „dobry ojciec, szanowany biznesmen i chrześcijański dżentelmen”. Jednakże jedyną reakcją na ten manifest było pełne osłupienia milczenie, chociaż, według niektórych amerykańskich źródeł, cara Rosji miała zaintrygować możliwość zdobycia nowych ziem. W Paryżu, w Académie des Sciences, hrabia de Volnay nazwał autora „szaleńcem”.

Nie zniechęcony Symmes napisał do gazet pewną liczbę artykułów o swojej teorii i postanowił wygłosić serię odczytów, podczas których miał zamiar prosić o datki na sfinansowanie ekspedycji. Pewien młody mężczyzna, Paul Clark, który był obecny na jednym z wykładów Symmesa dla studentów Union College zimą 1826/27, zrobił szczegółowe notatki i potem napisał bezcenny artykuł *The Symmes Theory of the Earth* (Teoria wnętrza Ziemi Symmesa), który pojawił się w „Atlantic Monthly” w kwietniu 1873 roku.

Według jego teorii Ziemia jest kulista, pusta w środku i otwarta na biegunach. Promień północnego otworu wynosi około 3218 kilometrów, a średnica 6436 kilometrów od krańca do krańca. Otwór na południu jest nieco większy. Wprawdzie płasz-

czynny tych otworów są równoległe do siebie, ale z równikiem tworzą kąt 12 stopni, tak że najwyższa część północnej płaszczyzny znajduje się dokładnie nad najniższą częścią południowej. Skorupa ziemska ma około 1609 kilometrów grubości, a jej pobocza mierzą, od regularnej wklęsłości we wnętrzu do regularnej wypukłości na zewnątrz, około 24135 kilometrów. Pobocza te zajmują około 25 stopni i gdyby przedstawiono je na mapie, widać by było jedynie ich zewnętrzną połowę, natomiast wszystko powyżej lub jeszcze dalej od równika znajdowałoby się na szczycie i we wnętrzu otworu. Nie byłoby widać stref polarnych przedstawianych na naszych mapach. Linie południków ciągną się pod kątem prostym od równika do zewnętrznych krańców otworów, a potem wiją wokół powierzchni tych krańców, kończąc się w punktach znajdujących się bezpośrednio pod najwyższymi częściami otworów zarówno na północy, jak i na południu. Linia oznaczająca lokalizację wierzchołka północnego otworu zaczyna się w pewnym punkcie w Laponii około 68 stopni szerokości północnej i 20 stopni długości wschodniej od Londynu na południku przecinającym Spitsbergen, skąd biegnie na południowy zachód przez Ocean Atlantycki i południową część Grenlandii, Zatokę Hudsona i przez kontynent amerykański do Pacyfiku w pobliżu Cook's Inlet, stamtąd zaś do Fox Islands do punktu około 56 stopnia szerokości geograficznej północnej i 160 stopni długości geograficznej wschodniej w pobliżu południowego krańca Cieśniny Beringa. Później przemierza Pacyfik, południową część Kamczatki, kieruje się na północny zachód przez Syberię, do Europy przez Ural na szerokości około 58 stopni szerokości geograficznej północnej i mija wybrzeża Arktyki przy wejściu na Morze Białe, po czym wraca do punktu wyjścia... Kapitan Symmes bardzo pracowicie zestawiał liczne odrębne fakty ze swoich badań, z relacji Rossa, Howego, Parry'ego, McKenziego i innych, którzy na lądzie i morzu badali strefy polarne, oraz podobne dowody z późniejszych ekspedycji od czasu ogłoszenia jego teorii w roku 1829. Żaden z badaczy, którzy dostarczyli dowodów na poparcie tej teorii, zdaje się nie mieć o niej najmniejszego pojęcia. Fakty te są znane i nie można zarzucić autorowi, iż zebrał je na poparcie urojonych przesłanek.

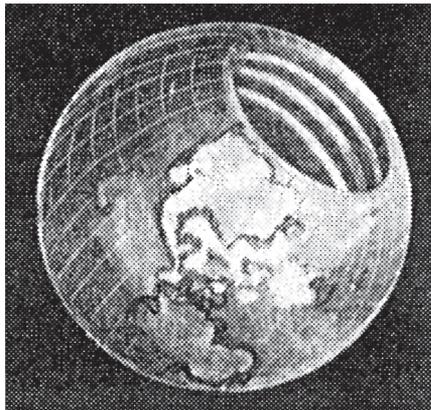
Clark stwierdza, że Symmes jako jeden z argumentów przytoczył znaczne różnice klimatyczne na biegunach; otwarte przestrzenie oceanu, które tam istnieją; zjawiska takie jak zorze polarne, które można wyjaśnić tylko światłem docierającym z otworów na biegunach; dziwaczne zachowanie się igieł kompasów; i, na koniec, pierścienie Saturna jako dowód na istnienie koncentryczności w naturze. Kapitan Symmes zgromadził imponującą ilość faktów i dowodów na poparcie swojej teorii, zakończył jego uważny słuchacz i „tylko czas, wielki odkrywca tajemnic, dowiedzie, czy ta zaskakująca teoria jest prawdziwa w całości lub częściowo i czy jej autor był wizjonerem czy też prawdziwym filozofem czczonym przez potomnych”.

Pomimo życzliwego przyjęcia, z jakim John Cleves Symmes spotkał się tym razem, często witano go kpinami i czasami nawet musiał własnoręcznie wyrzucać z sali co bardziej dokuczliwych dręczycieli. Jego raczej szowinistyczne twierdzenie, że odkrycie Pustej Ziemi przysporzy Ameryce nowych terytoriów, spotkało się ze zrozumieniem w niektórych mniejszych społecznościach. Wołania Symmesa o poparcie

zwróciły uwagę bogatego biznesmena Jamesa McBride'a z Miami w stanie Ohio, który był członkiem zarządu miejscowego uniwersytetu i miał wysoko postawionych przyjaciół. Udzielił wsparcia finansowego Symmesowi, który dzięki temu mógł zamieszkać w pobliskim Hamilton. Przedstawił go też Richardowi Mentorowi Johnsonowi, stosownie nazwanemu przedstawicielowi sąsiedniego stanu Kentucky. Johnson okazał się bezstronnym, inteligentnym politykiem, który, choć niecałkowicie przekonany do teorii Symmesa, uznał, że przynajmniej zasługuje ona na przedstawienie w Waszyngtonie.

Wobec tego 28 stycznia 1823 roku Johnson zaproponował w Kongresie, żeby „rząd amerykański sfinansował wyprawę, by zająć tereny znajdujące się wewnątrz Ziemi”. Przedstawił w ogólnych zarysach teorię Symmesa i jego plany oraz podniósł duży pęk listów, które, jak twierdził, napisali mieszkańcy Ohio, Kentucky, Indiany i Missouri. „Wszyscy oni są zdrowymi na umyśle, inteligentnymi wyborcami żądającymi, abyśmy przynieśli wielki zaszczyt i przysporzyli korzyści Stanom Zjednoczonym przez otwarcie tych nowych ziem”, oświadczył.

Niestety, bardzo nieliczni kongresmeni podzielili entuzjazm Johnsona do tej propozycji, która została odłożona *ad acta*. Dla Symmesa oznaczało to poszukiwanie niezbędnych funduszy gdzie indziej, natomiast dla Johnsona chwila ta miała wkrótce stać się tylko dziwnym incydentem w karierze, którą zakończył wybór na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.



Glob ziemski według Symmesa, przedstawiony na tylnej stronie okładki jego książki
The Symmes Theory of Concentric Spheres z 1885 roku

Jednakże dzięki stałemu poparciu Jamesa McBride'a Symmes mógł kontynuować wykłady, z powodu których, jeżdżąc po kraju, na wiele miesięcy oddalił się od swojej rodziny w Hamilton. W marcu 1824 roku otuchy dodało mu charytatywne przedstawienie w teatrze w Cincinnati na rzecz jego wyprawy, a dwa miesiące później miał miejsce najbardziej udany z jego odczytów – właśnie w Hamilton. Po wykładzie słuchacze przyjęli rezolucję głoszącą, że „naszym zdaniem teoria Symmesa o Ziemi

zasługuje na wielki szacunek i warta jest uwagi ludu Ameryki”. McBride doprowadził do zebrania wszystkich notatek oraz artykułów Symmesa i opublikował je w roku 1826 pt. *Theory of Concentric Spheres* (Teoria Symmesa o koncentrycznych sferach). Ten bogaty filantrop dołączył również schemat globu ziemskiego według teorii Symmesa i przedmowę, w której potwierdził swoją wiarę w nią:

Wprawdzie dokładna lokalizacja miejsc, gdzie, jak się sądzi, znajdują się krawędzie otworów polarnych, nie została jeszcze potwierdzona z całkowitą pewnością, ale uważa się je za niemal dokładne. Ich lokalizację potwierdza wygląd tych rejonów – takie jak pas lub strefa otaczająca nasz glob, gdzie nie rosną ani drzewa, ani żadne inne rośliny (z wyjątkiem mchów); nadciągające z różnych stron pływy oceaniczne, które zdają się spotykać; częstsze występowanie wielkich fal na morzu i aurora borealis pojawiająca się od strony południowej.

Dalsze petycje o pomoc finansową dla Symmesa zostały wysłane do Kongresu Stanów Zjednoczonych i do zgromadzenia ogólnego stanu Ohio, lecz bez powodzenia. W roku 1825 pozwolono kapitanowi Symmesowi przyłączyć się do rosyjskiej ekspedycji polarnej. Nie mógł jednak tego zrobić z powodu kłopotów finansowych i złego stanu zdrowia. Wyczerpanie męczącymi podróżami podczas których wygłaszał swoje odczyty, doprowadziło w końcu zimą 1828 roku do załamania, gdy znajdował się w Kanadzie. Wciąż wierny McBride zorganizował przewiezienie Symmesa do domu w Hamilton, gdzie czule opiekowała się nim jego wyrozumiała żona. Lecz Symmes w końcu przyplącił życiem obsesję na punkcie Pustej Ziemi i zmarł we śnie 29 maja 1829 roku. Pochowano go z honorami wojskowymi i jego nekrolog w „Hamilton Eagle” zawierał więcej podziwu dla kariery w armii niż dla teorii koncentrycznych sfer.

Lecz teoria Symmesa nie umarła razem z nim. Jego zwolennik Joseph Reynolds, absolwent Ohio University, który przyłączył się do Symmesa po wysłuchaniu jednego z wykładów i został menedżerem odpowiedzialnym za organizację odczytów, postanowił kontynuować zbiórkę pieniędzy na wyprawę do Pustej Ziemi. Wygłaszane przezeń mowy były znacznie barwniejsze niż wykłady jego mentora; obiecywał w nich podziemny świat zalany ciepłym światłem, z pięknymi miastami zamieszkanymi przez rasę wysokich na 6,5 metra olbrzymów, strzegących bezcennego skarbu. Zaproszenia na tę wyprawę, które Reynolds rozdawał słuchaczom, przyniosły mu setki dolarów. Największym sukcesem Reynoldsa było przekonanie amerykańskiego sekretarza do spraw marynarki wojennej, Samuela Lewisa Southarda, o sensowności jego planu. Zdaje się, że Southard z kolei przekonał ni mniej ni więcej tylko samego prezydenta Johna Quinceya Adamsa, że ta teoria warta jest zbadania. Istnieją dowody, iż prezydent rozkazał sprawdzić możliwość wysłania okrętu na biegun południowy. Zanim jednak rozkaz został wykonany, kadencja Adamsa dobiegła końca, a jego następcą, trzeźwo myślący były dowódca i bohater wojny 1812 roku, Andrew Jackson, odrzucił propozycję Southarda.

Joseph Reynolds spróbował jeszcze innego sposobu. W roku 1829 założył Kompanię Eksploracji Pustej Ziemi i wprowadził jej akcje na giełdę nowojorską. Wydaje

się, że koncepcja ta miała w sobie coś, co pociągało odważniejszych i zamożniejszych mieszkańców tego miasta. A pogłoski o majątku, jaki można zbić na znalezieniu podziemnego świata sprawiły, iż Reynolds i jego wspólnicy zgromadzili dostatecznie dużo pieniędzy, żeby wyekwipować dwa okręty, które miały popłynąć do bieguna południowego. Były to brygantyny: „Annawan”, pod dowództwem kapitana N. B. Palmera, i „Seraph”, którym dowodził kapitan Robert Pendelton. Wypłynęły z portu nowojorskiego 29 października 1829 roku.

Istnieją jednak pewne wątpliwości, czy Joseph Reynolds rzeczywiście wziął udział w tej wyprawie, chociaż dokumenty wykazują na „Seraphie” obecność „uczonego” nazwiskiem „J. Reynolds”, któremu towarzyszył niejaki „doktor Watson”. Równie niepewny jest los obu statków. Jedna wersja głosi, że brygantyny dotarły tylko do wybrzeży Chile, gdzie załogi się zbuntowały. Według drugiej okręty rozbiły się na skałach, natomiast trzecia utrzymuje, że dotarły do bieguna południowego, ale grupa wysadzonych na lodowiec marynarzy niebawem zabłądziła i w ostatniej chwili uratowano ich przed śmiercią z zimna i głodu. Nie ma jednak najmniejszych wątpliwości, że nieszczęsna ekspedycja nie znalazła otworu na biegunie i że już nigdy więcej nie słyszano o Josephie Reynoldsie.

To prawdziwa tragedia, że bez wątpienia poważne plany Symmesa zakończyły się w tak niepoważny sposób. Lecz podobnie jak jego pomnik w Hamilton przetrwał mimo upływu czasu, tak jego wizja świata nie przestała inspirować innych. W świecie literatury teoria Symmesa dała początek prawdziwej lawinie powieści i opowiadań, które przez półtora wieku intrygowały i cieszyły czytelników, choć zapewne większość z nich wiedziała niewiele lub nic o źródle inspiracji, z jakiego czerpali autorzy.

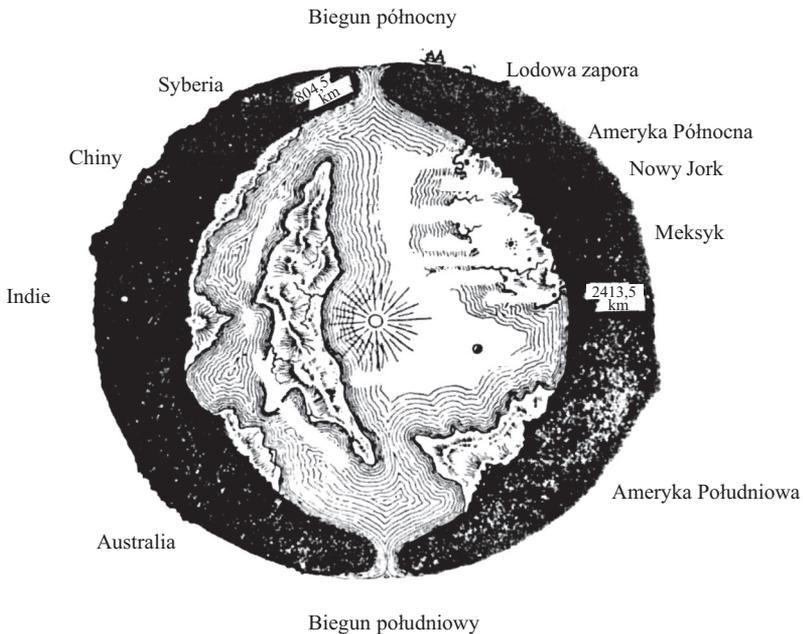
Amerykanin Edgar Allan Poe dosłownie wymyślił tę szkołę fantastyki w krótkim opowiadaniu *Rękopis znaleziony w butelce* (1833), następnie napisał powieść *Narrative of Arthur Gordon Pym* (Opowieść Artura Gordona Pyma, 1838). Nie zdążył jednak ukończyć jej przed śmiercią i później „zakończył” ją Juliusz Verne, który nadał jej tytuł *Le mystere antarctique* (Tajemnica Antarktydy, 1898). Verne wcześniej napisał prawdopodobnie najlepszą znaną książkę na ten temat, *Podróż do wnętrza Ziemi* (1872), o grupie badaczy, którzy zawędrowali do Pustej Ziemi przez krater wygasłego wulkanu. W 1959 roku powieść ta została zreżysersowana z Jamesem Masonem w roli dowódcy wyprawy.

Ducha Symmesa można również odnaleźć w powieści Williama R. Bradshawa *The Goddess of Atvatabar: Being the History of the Discovery of the Interior Worlds and Conquest of Atvatabar* (Bogini Atvatabaru. Historia odkrycia wewnętrznego świata i podboju Atvatabaru, 1892), którą opublikowano wraz mapą „świata wewnętrznego”, najwidoczniej opartą na własnoręcznym rysunku kapitana Symmesa. Mieszkańcy tej Pustej Ziemi są wyznawcami kultu miłości i uważają pozbawiony orgazmu stosunek płciowy za sposób na wieczną młodość. *Underground Man* (Podziemny człowiek, 1896) Gabriela Tarde’a spodobał się H. G. Wellsowi, który napisał wstęp do angielskiego wydania. W książce tej opisano jak ostatni ludzie na Ziemi wycofali się do utopijnego podziemnego świata, gdy energia Słońca się wyczerpała. Krótkie opowiadanie Freda Thorpa

In the World Below (Świat poniżej, 1897) o przygodach we wnętrzu Ziemi wyprzedziło słynną serię o Pellucidarze pióra Edgara Rice'a Burroughsa, która zaczęła się od *At the Earth Core* (W jądrze ziemi, 1914).

Zaginione rasy żyjące w podziemnym świecie występują w popularnej powieści Charlesa Willinga Beale'a *The Secret of the Earth* (Sekret ziemi, 1899); w książce Jacka Adamsa *Neequa or The Problem of the Ages* (Neequa albo problem wieków) w podziemnym świecie osiągnięto równouprawnienie płci; zaś akcja niezwykle rzadkiej powieści Franka Powella *The Wolf Men: A Tale of Amazing Adventures* (Dziwne przygody wilkołaka) toczy się w czasach prehistorycznych. W ostatnich latach kontynuował tę tradycję S. Fowler Wright w *The World Below* (Dolny świat, 1953), podobnie jak Howard Waldrop i Steven Utley w pomysłowej noweli *Black as the Pit, from Pole to Pole* (Czarny jak dziura, od bieguna do bieguna, 1977), w której występują Symmes, Reynolds i Poe. Rudy Rucker, który jest profesorem matematyki na San Jose State University, w swojej powieści *The Hollow Earth* (Pusta Ziemia) obficie czerpie z całej sagi Symmesa, by opisać, jak jego zwolennicy rzeczywiście trafiają przypadkiem na jeden z otworów na biegunie południowym i znajdują podziemny świat przepelniony niespodziankami, których nikt nie mógłby sobie wyobrazić.

Lecz prawdziwa historia poszukiwań Pustej Ziemi ma własne, jeszcze dziwniejsze punkty zwrotne i zawężlenia.



Mapa „świata wewnętrznego” Williama R. Bradshawa oparta na koncepcji Symmesa

Dziwna podróż Olafa Jansena

Dzisiaj nie ma nikogo w Glendale, rozległym północnym przedmieściu Los Angeles, kto byłby całkowicie pewny, gdzie mieszkał Olaf Jansen – jeśli w ogóle słyszał o tym niezwykłym starym żeglarzu. Przed laty niektórzy mieszkańcy uważali, że człowiek, który twierdził, iż dotarł do Pustej Ziemi, miał dom obok dzisiejszego Colorado Boulevard; natomiast inni słyszeli, że mieszkał obok ogrodu zoologicznego w Los Angeles – gdzie, jak stwierdzili cynicy, powinno się go zamknąć po podaniu do wiadomości publicznej szczegółów jego przygód, podobnych do Münchhausenowskich. Jednakże według wszelkiego prawdopodobieństwa jego skromny, mały bungalow stał w pobliżu Foothill Boulevard, w położonej na południowym wschodzie San Fernando Valley, gdyż Jansen mówił często o widoku z okna sypialni na słońce wschodzące ponad szczytami San Jacinto na wschodzie.

Glendale jest ruchliwym, przemysłowo-mieszkalnym rejonem z własnym lotniskiem i ogromnym Brand Park. Jeśli chodzi o historię, to jego najważniejszym zabytkiem jest Casa Adobe, budynek z suszonej na słońcu cegły zbudowany w latach 60. XIX wieku i Forest Lawn Memorial Park, gdzie pochowano wielu wielkich i wybitnych mieszkańców Los Angeles. Cmentarz ten założono w 1886 roku na terenie hiszpańskiej posiadłości z końca XVIII wieku (1784 rok). Zawiera on kopie wielu wspaniałych dzieł sztuki, między innymi „Wee Kirk o’ the Heather”, rekonstrukcję szkockiego kościółka Annie Laurie. Mimo że niektóre relacje utrzymują, iż Olaf Jansen również został pochowany na Forest Lawn, nigdy nie znaleziono jego grobu.

Historia opowiedziana przez tego starego Skandynawa z urodzenia, a Amerykankę z wyboru, o jego podróży do Pustej Ziemi była przedmiotem ożywionej dyskusji od ogłoszenia jej publicznie w 1908 roku. Pewne środowiska odrzuciły ją jako romantyczną fantazję, inne zaś oświadczyły, iż jest to zręczna adaptacja teorii Johna Clevesa Symmesa. Olaf Jansen, który miał wtedy dziewięćdziesiąt parę lat twierdził, że jego opowieść jest prawdziwa pod każdym względem. Przez wiele lat nie opowiadał o swoich przygodach z powodu reakcji pierwszych słuchaczy i złego wpływu, jakie wywarły na jego życie. Lecz opowieść Jansena to jedna z nielicznych relacji

o podróży do świata wewnętrznego, która nie została całkowicie odrzucona pośród zamieszania wywołanego przez powieści fantastyczne inspirowane teorią Symmesa. Według własnych słów Jansena, on sam nigdy nawet nie słyszał o „teorii koncentrycznych sfer”, nie czytał też ani prac Symmesa, ani jakichkolwiek informacji o nim, kiedy przeżył coś dziwnego na biegunie północnym.

Olaf Jansen urodził się 27 października 1811 roku w Uleaborg – obecnie zwanym Oulu – porcie rybackim na zachodnim wybrzeżu Zatoki Botnickiej w Finlandii. Jego ojciec Jens Jansen był Norwegiem, gdyż urodził się na Lofotach, natomiast matka pochodziła ze Sztokholmu, gdzie małżonkowie zamieszkali. Pomimo zaawansowanej ciąży pani Jansen, para nie zrezygnowała z corocznej przejażdżki łodzią Jensa do Zatoki Botnickiej. Jansenowie planowali wrócić do Sztokholmu przed narodzinami pierwszego dziecka, ale wzburzone morze zmusiło ich do odłożenia podróży powrotnej i udania się do Uleaborgu, gdzie pani Jansen urodziła chłopczyka. Jak już wtedy było widać z wielkości i wagi, odziedziczył on wzrost ojca, jego krzepkie ciało i czujne szare oczy. Kiedy dorósł, odznaczał się taką samą cierpliwością, szorstkością i determinacją w połączeniu z wielką łagodnością. Niebawem okazało się, iż młody Olaf podzielał też ojcowską miłość do morza. Po ukończeniu w wieku 14 lat pewnej prywatnej szkoły w Sztokholmie, chłopiec zaczął wypływać z ojcem na połowy wokół wybrzeży Skandynawii. Jens Jansen był człowiekiem, który lubił rzucać wyzwanie morzu, ale zawsze doceniał jego potęgę. Nauczył swego syna sztuki żeglarskiej i nabił mu głowę opowieściami o legendarnych bogach skandynawskich, których bardzo podziwiał. Olaf Jansen miał dokładnie 19 lat, kiedy wraz z ojcem wyruszył w podróż, która miała zapewnić im miejsce w nauce o Pustej Ziemi.

Według Olafa Jansena opuścili Sztokholm na pokładzie żaglowego statku rybackiego jego ojca 3 kwietnia 1829 roku. Popłynęli na południe między wyspami Gotlandią i Olandią, a potem przez cieśninę oddzielającą Szwecję od Danii. Po krótkim postoju w Kristiansand na wybrzeżu Norwegii, skierowali się na północ, mijając Lofoty, zanim zatrzymali się w najdalej wysuniętym na północ porcie, Hemmerfest. Po zaopatrzeniu się w prowiant, ojciec i syn pożeglowali na Spitzbergen, gdzie po raz pierwszy ujrzeli kilka olbrzymich gór lodowych, po czym 23 czerwca bezpiecznie zarzucili kotwicę w Zatoce Wijade. Tam z powodzeniem łowili ryby przez kilka dni, a następnie ruszyli dalej przez Cieśninę Hinlopen w stronę Ziemi Franciszka Józefa. Olaf Jansen tak o tym opowiada:

Przez kilka dni płynęliśmy wzdłuż skalistego wybrzeża Ziemi Franciszka Józefa. Wreszcie zerwał się przychylny wiatr, który umożliwił nam dotarcie do West Coast i, po całodobowej żegludze, dopłynęliśmy do jakiejś pięknej zatoczki. Nie chciało nam się wierzyć, że znajdujemy się tak daleko na północy. Część tego miejsca pokrywała bujna roślinność, a tamtejsze powietrze było ciepłe i spokojne. Naprzeciwko nas, bezpośrednio na północy, rozciągało się otwarte, nie zamrożone morze.

Mój ojciec żarliwie wierzył w Odyna i Thora i często mawiał do mnie, że byli to bogowie, którzy przybyli z daleka, „spoza Wiatru Północnego”. Wyjaśnił, że istnieje tradycja, według której jeszcze dalej na północy znajduje się kraj piękniejszy od wszystkiego,

co widzieli śmiertelni ludzie. Jego zapał, żarliwość i religijna gorliwość pobudziły moją młodzieńczą wyobraźnię i zawołałem: „Dlaczego nie mielibyśmy popłynąć do tego kraju? Niebo jest czyste, wiatr przyjazny i morze wolne od lodu”. Jeszcze teraz widzę przyjemne zaskoczenie, jakie odmalowało się na jego obliczu, gdy odwrócił się do mnie i zapytał: „Mój synu, czy chcesz popłynąć ze mną i zbadać nieznaną ziemię? Popłynąć tam, dokąd nie dotarł żaden człowiek?” Odpowiedziałem twierdząco. „Doskonale – odrzekł. – Oby chronił nas bóg Odyn!” i szybko ustawivszy żagle spojrzął na nasz kompas, zwrócił dziób statku na północ w stronę otwartego przesmyku i nasza podróż się rozpoczęła.

Przez trzy dni żaglowiec płynął na północ, aż Olafa wyrwał ze snu gwałtowny sztorm i wołanie ojca o pomoc w zwinieniu żagli. Młody mężczyzna wspominał po latach, że „wszędzie wokoło otaczała nas gęsta mgła, czarna jak egipska noc, a w górze biała niczym para wodna; w końcu straciliśmy ją z oczu, gdyż wtopiła się w wielkie białe płatki padającego śniegu”.

Kiedy ojciec i syn szamotali się z żaglami, statek kołysał się na wszystkie strony, jakby znalazł się w środku wiru. Trwało to trzy godziny, aż przemoczeni do suchej nitki i wyczerpani rybacy znaleźli się na spokojnych wodach. Kiedy oglądali łódź w poszukiwaniu uszkodzeń, Olaf nagle zauważył w górze jakieś niezwykle zjawisko:

Promienie słońca padały ukośnie, jakbyśmy znajdowali się gdzieś na półkuli południowej, a nie tak daleko na północy. Słońce obracało się, kołysząc się jednocześnie, jego orbita była widoczna przez cały czas i unosiło się coraz wyżej i wyżej. Często przesłaniała je mgła, a mimo to wciąż przeświecało przez delikatne jak koronka chmury niczym zirytowane oko przeznaczenia, strzegące tej tajemniczej północnej krainy. Z daleka, na prawo od nas, odbijające się w górach lodowych promienie słoneczne tworzyły panoramę niezliczonych kolorów i kształtów, natomiast poniżej widać było zielonkawę morze, a w górze purpurowe niebo.

Kiedy Olaf przypadkiem spróbował kilku kropel wody morskiej, które spadły na jego rękę, zaskoczył go jej smak, gdyż była słodka. Po uzupełnieniu zapasów wody dzięki temu nieoczekiwanemu darowi losu, obaj mężczyźni płynęli dalej jeszcze przez kilka dni.

Któregoś dnia mniej więcej o tej samej porze ojciec zaskoczył mnie, gdyż zwrócił mi uwagę na nowy widok rozciągający się prosto przed nami, niemal na horyzoncie. „To fałszywe słońce!”, zawołał. „Czytałem o nich; nazywa się je odbiciem lub mirażem. Wkrótce zniknie”. Ale to matowoczerwone, fałszywe słońce, jak je nazywaliśmy, nie zniknęło przez kilka godzin; i choć nie wiedzieliśmy, czy rzeczywiście świeci, przez cały ten czas mogliśmy omieść spojrzeniem horyzont i zlokalizować blask tego fałszywego słońca co najmniej przez 12 godzin z każdej doby. Trudno wszakże powiedzieć, że przypominało ono słońce, chyba tylko okrągłym kształtem, a kiedy nie przesłaniały go chmury lub oceaniczna mgła, miało brązową, jakby zamazaną powierzchnię, która zmieniała się w coś w rodzaju białej, świetlistej chmury, jakby odbijała jakieś silniejsze światło spoza siebie. Wreszcie zgodziliśmy się podczas dyskusji, że to żarzące

się jak palenisko słońce, bez względu na przyczyny tego zjawiska, nie było odbiciem naszego Słońca, lecz jedną z planet – w każdym razie istniało rzeczywiście.

Kompas pokładowy również pokazywał, że dzieje się coś bardzo dziwnego.

Kompas, który mocno przywiązaliśmy do jego miejsca z obawy przed następnym sztormem, nadal wskazywał na północ i poruszał się na czopie tak, jak w Sztokholmie. Igła przestała się nachylać. Cóż to mogło znaczyć? Po wielu dniach żeglugi na pewno dawno minęliśmy biegun północny – a przecież igła nadal wskazywała na północ. Zdumiało to nas, gdyż powinniśmy byli teraz płynąć na południe.

Według opowieści Olafa Jansena przez następne piętnaście dni obaj żeglarze wyraźnie widzieli linię brzegową kilku lądów, jednych równinnych, innych zaś z łańcuchami górskimi. Wreszcie postanowili dobić do jednego z nich. Kiedy wędrowali po nieznaną ziemi, ujrzeli rwące rzeki, piękne drzewa i bujną florę bardzo podobną do tej, którą znali, ale wszystko było znacznie większe. „Słońce” znów zwróciło ich uwagę, jak wspominał później Olaf.

W międzyczasie nie widzieliśmy już promieni „naszego” słońca, znaleźliśmy jednak „wewnętrzny” blask, bijący od matowoczerwonego słońca, które już wcześniej przyciągnęło naszą uwagę. Emitowało teraz białe światło, jak gdyby spoza dalekiej łąwicy chmur naprzeciwko nas. Świeciło mocniej niż, powiedzmy, dwa księżycy w pełni w całkowicie bezchmurną noc. Po 12 godzinach ta biała chmura znikła z oczu, jakby zasłoniło ją jakieś ciało, i następne dwanaście godzin odpowiadało naszej nocy.

Mój ojciec i ja skomentowaliśmy fakt, że nasz kompas nadal wskazywał na północ, chociaż teraz już wiedzieliśmy, że przepłynęliśmy przez zakrzywienie lub skraj otworu w Ziemi i że znajdowaliśmy się daleko na południu „wewnątrz” skorupy ziemskiej, która, według naszych obliczeń, musi mieć około 482 kilometrów grubości od „wewnętrznej” do „zewnątrznej” powierzchni. Krótko mówiąc, nie jest grubsza niż skorupa jajka, tak że powierzchnia „wewnątrz” jest niemal taka sama jak „na zewnątrz”. Wydaje się, że wielka świetlista chmura lub kula matowoczerwonego ognia, którą postanowiliśmy nazwać „Zadymionym Bogiem” – ognistoczerwona rano i wieczorem i pięknie biała w nocy – zawieszona jest w wielkiej próżni „we wnętrzu” Ziemi i utrzymywana tam przez niezmienną prawo grawitacji lub jakąś odpychającą siłę atmosferyczną. W rzeczywistości „Zadymiony Bóg” jest nieruchomy i zjawisko dnia i nocy „wewnątrz” Ziemi wywołuje jej dobowy obrót wokół osi.

Według Olafa Jansena ta niezwykła odyseja trwała „sto, a może więcej dni, których nie da się opisać”. W tym samym czasie w morzu, przez które płynęli, dokonały się pewne niewielkie przemiany, zmienił się też klimat:

Uznaliśmy, że nadszedł już listopad lub grudzień i wyczuliśmy, iż tak zwany biegun południowy zwrócony jest ku słońcu. Dlatego uważaliśmy, że kiedy wydostaniemy się

spod wewnętrznego blasku i ciepła „Zadymionego Boga”, natkniemy się na światło i ciepło prawdziwego Słońca, docierające do otworu na biegunie południowym. I nie pomyliliśmy się.

Później statek Jansena znów pochwyciły coraz to większe fale, kiedy pchał go do przodu ciepły wiatr świata wewnętrznego. Stopniowo zdali sobie sprawę, że powietrze robi się coraz chłodniejsze i zauważyli na horyzoncie kilka gór lodowych.

Wkrótce znaleźliśmy się wśród lawicy kry i nie mam pojęcia, w jaki sposób nasz stateczek przepłynął przez wąskie szczeliny między nimi i nie został zmiażdżony. Kompas nadal zachowywał się równie dziwnie i chwiał się jak pijany, gdy mijaliśmy południowe zakrzywienie lub skraj skorupy ziemskiej, tak samo jak na jej północnym odpowiedniku. Wirował, nachylał się i zdawało się, że coś go opętało.

Przez wiele dni obaj żeglarze musieli manewrować między górami lodowymi, aż wreszcie wypłynęli na otwarte morze. Jednak kiedy wydawało się im, że są już bezpieczni, łódź uderzyła w częściowo zanurzoną w falach górę lodową. Zostali wyrzuceni za burtę. Olaf spadł, nieprzytomny, na górę lodową. Kiedy ocknął się po kilku minutach, nigdzie nie było widać jego ojca. I chociaż gorączkowo szukał wszędzie wokół góry lodowej i badał wzrokiem ocean, nigdzie nie dostrzegł ani Jensa Jansena, ani statku.

Bez prowiantu i ciepłej odzieży, Olaf Jansen przygotowywał się na śmierć. Po tem nieoczekiwanie w jego polu widzenia pojawił się jakiś statek. Nie chcąc wierzyć własnym oczom, Olaf przekonał się, że jest to szkocki wielorybnik z napisaną na burcie nazwą „Arlington”. Później miał się dowiedzieć, iż statek ten wypłynął we wrześniu z Dundee, by łowić wieloryby wokół Antarktydy. Wymachując rękami Olaf zdołał zwrócić uwagę załogi i pół godziny później był już bezpieczny na pokładzie. Kapitan wielorybnika, Angus MacPherson, okazał się miłym, choć upartym, starym wilkiem morskim. Nie znosił jednak opowieści, które uważał za czystą fantazję.

„Kiedy spróbowałem mu powiedzieć, że przybyłem «z wnętrza» Ziemi, kapitan i mat spojrzeli po sobie, pokiwali głowami i nalegali, żebym położył się na koi pod ścisłym nadzorem lekarza okrętowego”, wspominał Olaf Jansen. Po dłuższym odpoczynku i spożyciu kilku smacznych posiłków rozbitek postanowił nie opowiadać więcej o swoich przeżyciach.

Minął rok, zanim Olaf Jansen dotarł w końcu do swego domu w Sztokholmie. Tam dowiedział się, że jego matka zmarła podczas gdy on podróżował z ojcem. Młodzieniec po raz drugi opowiedział swoje przygody wujowi, Gustafowi Osterlindowi, jedyemu żyjącemu krewnemu. Odkąd wyłowiono go w pobliżu Antarktydy miał dość czasu na refleksje nad swoją dziwną podróżą i chciał teraz przekonać wuja, by sfinansował ekspedycję do „świata wewnętrznego”.

Początkowo myślałem, że popiera mój projekt. Wydawał się zainteresowany i poprosił, abym poszedł z nim do jakichś urzędników i opowiedział im – tak jak jemu –

o mojej podróży i odkryciu. Proszę sobie wyobrazić mój zawód i przerażenie, kiedy po zakończeniu mojej opowieści wuj podpisał jakieś papiery i bez ostrzeżenia zamknięto mnie w szpitalu dla umysłowo chorych. Miałem tam spędzić dwadzieścia osiem długich, nudnych i strasznych lat.

Według relacji Jansena wypuszczono go ze szpitala w październiku 1862 roku. W międzyczasie jego wuj zmarł i Olaf Jansen był teraz zupełnie sam na świecie. Liczył sobie ponad 50 lat, nie miał przyjaciół, a w jego dokumentach odnotowano, że przeszedł chorobę umysłową. Cóż innego mógł zrobić, jak wrócić na morze? Przez następne dwadzieścia siedem lat pracował jako rybak, poświęcając wolny czas na poszukiwanie dowodów na to, iż jego przeżycia w Pustej Ziemi nie były jedynie snem. Zgromadził kolekcję książek o wyprawach polarnych, zrobił mnóstwo notatek i z trudem narysował mapy. Lecz przez cały ten czas żywej duszy nie opowiedział o swojej dziwnej podróży. W roku 1889 Jansen, który wtedy miał dobrze po siedemdziesiątce, sprzedał swój statek i postanowił wyemigrować do Ameryki, by spędzić resztę życia w cieplejszym klimacie. Przez dwanaście lat mieszkał spokojnie w Illinois, zanim 4 marca 1901 roku przeniósł się do Glendale w Los Angeles. Datę tę dobrze zapamiętał jako dzień rozpoczęcia drugiej kadencji prezydenta McKinleya. Zamieszkał skromnie w niewielkiej posiadłości i spędzał czas na pielęgnowaniu kwiatów i kilku drzew figowych do dnia, kiedy spotkał Willisa George'a Emersona.

Emerson (1856-1918) był powieściopisarzem. W 1907 roku przeniósł się do Los Angeles wraz ze swoją żoną Bonnie, by pracować w rodzącym się przemyśle filmowym. Jako popularny autor westernów wyczuł, że zapowiada się zapotrzebowanie na tego rodzaju scenariusze po wielkim sukcesie *The Great Train Robbery* (Wielki napad na pociąg), którego akcja toczyła się na Dzikim Zachodzie, a wyświetlanym w 1903 roku. Była to dobra decyzja, gdyż w 1907 roku Gilbert Anderson, gwiazdor z *The Great Train Robbery*, stworzył Brancho Billy'ego – prawdopodobnie pierwszą słynną postać w dziejach kina – w serialu filmowym *The Bandit Makes Good* (Nawrócenie bandyty). Miał to być pierwszy z ponad czterystu odcinków o tym kowboju, a oznaczało to serię umów z pisarzami takimi jak Willis Emerson.

Mimo że Emerson i jego żona mieszkali zaledwie parę przecznic dalej od Olafa Jansena, autor scenariuszy dopiero stopniowo zaczął zauważać siwowłosego starca, gdy mijał go idąc do studia filmowego i wracając do domu. Często widywał Jansena w ogrodzie, ale starzec przez większość czasu wydawał się pogrążony w myślach, jak uświadomił to sobie później Emerson. Jednakże pewnego wiosennego poranka pomachał mu wesoło ręką i w ten sposób narodziła się przyjaźń, która później stała się partnerstwem literackim. Emerson napisał:

Niebawem przekonałem się, że mój nowy znajomy jest niezwykle ciekawym człowiekiem, inteligentnym i wykształconym w godnym podziwu stopniu. Ponieważ dopiero w późniejszym okresie swego długiego życia zatopił się w lekturze, nauczył się spędzać długie godziny pogrążony w głębokim zamyśleniu. Zachęcałem go do rozmowy i w następnych dniach i tygodniach dobrze poznałem Olafa Jansena, który po trochu opo-

wiedział mi historię tak zdumiewającą, iż jej rozmach rzucał wyzwanie rozsądkowi i wierze. Ten starzec zawsze mówił tak żywo i szczerze, że oczarowały mnie jego dziwne opowieści.

Jansen pokazał też Emersonowi swoje notatki i mapy, w których zapisał i narysował każdy zapamiętany szczegół z podróży do „świata wewnętrznego”. Wciskając je pisarzowi w ręce powiedział: „Zostawiam je panu, jeśli obieca mi pan, że ofiaruje je światu. Pragnę, by ludzie poznali prawdę, gdyż wtedy wyjaśnione zostaną wszystkie tajemnice dotyczące pokrytej lodem Północy”.

Mimo pewnych zastrzeżeń, Emerson wyraził zgodę i w rezultacie powstała książka *The Smoky God: or A Voyage to the Inner World* (Zadymiony bóg, albo podróż do świata wewnętrznego) opowiedziana własnymi słowami przez Olafa Jansena. Emerson przekazał ją swoim wydawcom, Forbes & Company, w Chicago. Książka została opublikowana na wiosnę 1908 roku, ale, niestety, Olaf Jansen umarł kilka tygodni wcześniej. Tym razem jednak nie musiałyby być narażony na szyderstwa lub ryzyko szpitala dla psychicznie chorych.

W swoim wstępie do wspólnego z Jansenem dzieła Emerson przyznał, że wielu czytelników nie będzie chciało uwierzyć w tę historię – tak jak on sam. „Mimo że treść tej książki nie zgadza się z kosmograficznymi rękopisami z przeszłości”, napisał, „można na nich polegać jako na zapisie tego, o czym Olaf Jansen twierdzi, że zobaczył na własne oczy. Istnieje prastare porzekadło, że «prawda jest dziwniejsza od fikcji» i jeśli o mnie chodzi, sprawdziło się co do joty, gdy pisałem tę książkę”.

Emerson zwrócił również uwagę na to, że jego informator doszedł do wniosku, iż, jak stwierdzają dawne legendy, ludzkość prawdopodobnie powstała w Pustej Ziemi. I że właśnie tam niegdyś znajdował się bajeczny Rajski Ogród. Legendy o Noem i Arce po prostu są zniekształceniem prawdy, twierdził Jansen: grupa mężczyzn i kobiet bardzo dawno temu wypłynęła ze świata wewnętrznego – tak jak zrobił to on sam i jego ojciec – by skolonizować powierzchnię naszej planety.

Wprawdzie dzisiaj Olaf Jansen ma zapewnione miejsce w historii zagadki Pustej Ziemi, ale bardzo trudno jest znaleźć egzemplarz książki Emersona. Autor artykułu zamieszczonego w periodyku „Fate” w marcu 1966 roku, debatując nad tym, czy opowieść tego starego marynarza była iluzją – rezultatem katastrofy jego statku, czy też należy ją uznać za prawdziwą pod każdym względem, stwierdził: „Bez względu na to, jaka jest odpowiedź, nadal należy zapytać, dlaczego dwa egzemplarze tej książki zostały usunięte z archiwum rządowego?”

Część badaczy Pustej Ziemi wysunęła przypuszczenie, że chodzi tu – zarówno wtedy, a może i obecnie – o znowę milczenia między pewnymi rządami utrzymującymi w tajemnicy materiały dotyczące świata podziemnego. Czy istnieją powody, by przypuszczać, iż należy do nich książka *The Smoky God*?

W ciągu dziesięciu lat przed swoją śmiercią Willis Emerson parokrotnie przyznał, że patrzy sceptycznie na niektóre części opowieści Olafa Jansena. Znalazł jednak w pismach pewnej liczby wcześniejszych badaczy polarnych dowody potwierdzające istnienie kilku zjawisk, o których wspominał stary żeglarz. Nigdy jednak nie

wątpił w szczerłość swego sąsiada. Przedmowę do *The Smoky God* zakończył następująco:

Jeśli było to szaleństwo, to bardzo elokwentne i tak bardzo rozpalilo moją wyobraźnię, że przegnało wszelkie myśli o analizie krytycznej. Setki razy zadawałem sobie pytanie, czy to możliwe, że nasza znajomość geografii Ziemi jest niekompletna i że zaskakująca opowieść Olafa Jansena opiera się na faktach, które można udowodnić. Czytelnik musi sam odpowiedzieć na te pytania tak, jak mu nakaże jego rozum.

Bez względu na polemiki, jakie wywołała opowieść Olafa Jansena, zachęciła ona do dalszych badań nad legendą o Pustej Ziemi. I rzeczywiście, w tym samym czasie na przełomie wieków opublikowano jeszcze kilka innych opracowań dotyczących tej teorii, z których dwa są szczególnie ważne dla naszych rozważań.

The Phantom of the Poles (Iluzja biegunów) pióra Williama Reeda wyszedł w 1906 roku i jest czymś w rodzaju kamienia milowego jako pierwsza kompilacja faktów naukowych opartych na raportach polarników. Reed chciał w ten sposób poprzeć tezę, że Ziemia jest pusta w środku i że ma otwory na obu biegunach. Reed był absolwentem geografii New York University i pracował dla pewnej linii okrętowej w tym mieście. Zainteresował się problemem Pustej Ziemi po przeczytaniu artykułu o teorii koncentrycznych sfer Symmesa. Doszedł do wniosku, że ten eks-żołnierz kroczył złą drogą; aby znaleźć jakieś inne wyjaśnienie sięgnął więc po zapiski różnych badaczy, którzy zdobyli oba bieguny i napisali raporty o swoich przeżyciach.

Wśród polarników, których pisma i książki przestudiował Reed, był sir John Franklin (1786-1847), brytyjski podróżnik, kierownik dwóch ekspedycji w rejon Arktyki w poszukiwaniu północno-zachodniego przejścia. Druga wyprawa w roku 1845 zakończyła się śmiercią wszystkich jej członków (a było ich stu dwudziestu dziewięciu). Znalazł też wiele interesującego materiału w relacji Amerykanina Elishy Kane'a (1820-1857), który wyruszył na poszukiwanie zaginionej ekspedycji Franklina i nadał swoje nazwisko Dorzeczu Kane; w raportach George'a Wallace'a Melvilla (1814-1912), inżyniera pracującego w amerykańskiej marynarce wojennej, który stał na czele nieszczęsnej ekspedycji De Longa w roku 1879; oraz w papierach Adolphusa Greeleya (1844-1935), byłego oficera armii amerykańskiej, który dowodził wyprawą mającą na celu założenie szeregu stacji meteorologicznych w Arktyce. Niewykluczone jednak, że najważniejsze wskazówki Reed odkrył w dokumentach norweskiego polarnika Fridtjofa Nansena (1861-1930), który dostarczył tak wiele cennych informacji o środowisku arktycznym, oraz Roberta Peary'ego (1856-1920), urodzonego w Pensylwanii badacza, który swoje równie pełne determinacji próby dotarcia do bieguna północnego opisał w książce *Northward* (Na północ, 1902).

Reed przebadął okiem naukowca wszystkie informacje dostarczone przez tych zaradnych badaczy, zanim opublikował liczącą prawie trzysta stron książkę, którą, podobnie jak jej poprzedniczkę *The Smoky God*, trudno jest dzisiaj znaleźć. Napisał w niej: „Ziemia jest pusta. Bieguny, których tak długo poszukiwano, to iluzje. Na obu

krańcach [naszej planety] istnieją otwory. We wnętrzu Ziemi kryją się wielkie kontynenty, oceany, góry i rzeki. W tym Nowym Świecie kwitnie życie roślinne i zwierzęce i prawdopodobnie zaludniają go rasy nieznane mieszkańcom powierzchni Ziemi”.

W oparciu o wybrane przez siebie fakty, William Reed stwierdził stanowczo:

O tym, że Ziemia jest pusta w środku świadczy fakt, że nikt nie zdołał dotrzeć do biegunów. W minionych latach wszyscy badacze dokonali tego samego – dotarli do 80 lub do 84 stopnia szerokości geograficznej północnej i południowej – i wszyscy zgodnie twierdzą, że znaleźli się w cieplejszym klimacie i na otwartym morzu. Obserwacje tego zjawiska dowodzą, że różnica kilku stopni zależy jednocześnie od długości, jak i od szerokości geograficznej. Najdalej na północy niekoniecznie musi znajdować się ląd. Otwór prowadzący do wnętrza Ziemi może znajdować się na lądzie lub na wodzie, a przecież tak się zdarza. Kompas polarnika, który dotrze do najdalszego punktu tego kręgu podczas prowadzenia badań, wykaże najdalszą północ. Jeśli jednak ruszy on dalej przed siebie, zgubi się lub będzie się oddalał od domniemanego bieguna i podąży na południe nie mając o tym pojęcia, gdyż na kompasie nie można polegać.

Reed przypuszczał, że Ziemia zaczyna się zakrzywiać na szerokości od 70 do 75 stopni szerokości geograficznej północnej i południowej, i że bieguny są w istocie zewnętrznymi krawędziami kręgów magnetycznych wokół otworów polarnych. Oznaczało to, że bieguny, tak jak rozumiemy ten termin, w rzeczywistości znajdują się w powietrzu.

Żaden badacz nie mógłby twierdzić, że dotarł do któregoś z nich, bo zmyliłoby go dziwaczne zachowanie się kompasu. Zarówno na północy, jak i na południu igła wskazywałaby pionowo w dół i, jak podkreślił autor, zjawisko to zaobserwowało wielu polarników.

Przytoczyłem cytaty z relacji niemal wszystkich tych badaczy... i ich uwagi udowodniły bez wątpienia, iż to, co twierdzą, jest prawdziwe: Oceany Arktyczny i Antarktyczny są otwartymi akwenami, obfitującymi w zwierzęta wszelkich rodzajów, znacznie cieplejszymi niż tereny położone w głębi lądu. Jeśli to prawda, to dlaczego nikt nie dotarł do żadnego z biegunów? Bieguny są tylko mirażami – a Ziemia jest pusta, bo w przeciwnym wypadku wszystkie zasady logicznego myślenia muszą zawieść!

Druga książka, *A Journey to the Earth Interior: or Have the Poles Really Been Discovered?* (Podróż do wnętrza ziemi. Czy bieguny naprawdę odkryto?) autorstwa Marshalla B. Gardnera pojawiła się siedem lat później, w roku 1913. Została wydana własnym sumptem autora w jego rodzinnym miasteczku Aurora w hrabstwie Kane w stanie Illinois i, podobnie jak na pracę Reeda, trudno dziś na nią trafić. O dziwo, Gardner nie wymienia *The Phantom of the Poles* ani w tekście, ani w bibliografii, nie możemy więc stwierdzić, czy ją czytał, czy też nie. Wspomina jednak o Symmesie i o innym zwolenniku teorii Pustej Ziemi, zwanym „prorokiem Koreshem” (o którym

opowiem dalej). Twierdzi, że Ziemia jest pusta i ma otwory na biegunach. Od swoich poprzedników różni się wiarą, iż we wnętrzu Ziemi, w jej centralnym punkcie, znajduje się jakieś słońce.

Gardner, robotnik z Aurory, był oddanym badaczem legendy o Pustej Ziemi. Twierdził, że poświęcił prawie ćwierć wieku na napisanie swej liczącej czterysta pięćdziesiąt stron książki obfitującej w fotografie Arktyki i Antarktyki oraz liczne diagramy.

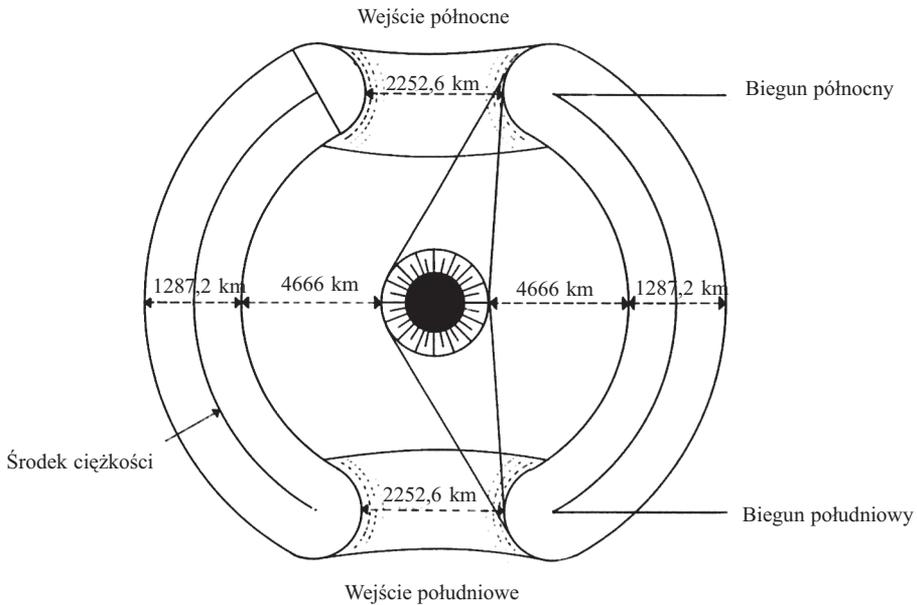


Diagram Pustej Ziemi według Marshalla B. Gardnera zamieszczony w jego książce
A Journey to the Earth's Interior

Według Gardnera Ziemia ma na biegunach okrągłe otwory, przez które wpływają wody oceanów. Woda może przylegać do twardej skorupy ziemskiej zarówno w górze, jak i poniżej otworu, ponieważ środek ciężkości znajduje się w środku tej skorupy, a nie w jej pustym wnętrzu. Gardner oświadczył, że jeśli jakiś statek miałby przepłynąć przez otwór polarny i dotrzeć do środka, będzie płynął w odwrotnej pozycji po wewnętrznej stronie skorupy ziemskiej, utrzymywany siłą grawitacji. Uważał też, iż siła ciężenia wokół zakrzywienia skorupy ziemskiej z zewnątrz do wnętrza Ziemi będzie miała znaczny wpływ na każdego badacza, który tam się znajdzie. Kiedy ważący 75 kilogramów mężczyzna przepłynie przez otwór polarny, jego waga prawdopodobnie się podwoi, ale gdy dotrze do świata wewnętrznego, odzyska pierwotny ciężar. Gardner wyjaśniał tę tezę mówiąc, że do utrzymania jakiegos ciała wewnątrz wirującego pustego obiektu będzie potrzebna mniejsza siła ciężenia niż na zewnątrz.

Wierzył też, że przyciąganie grawitacyjne w otworach polarnych będzie tak silne, iż w połowie każdego z nich słona woda oceanu będzie się mieszać ze słodką wodą ze świata wewnętrznego; lecz ta pierwsza pozostanie o kilkadziesiąt centymetrów poniżej drugiej. Podobnie jak William Reed, Gardner uważał, iż temperatury w świecie wewnętrznym będą bardziej stałe niż na zewnątrz; chociaż często padają tam deszcze, nigdy jednak nie jest dość chłodno, by spadł śnieg. Według Gardnera w tym podziemnym świecie panuje wspaniały, subtropikalny klimat, słowem jest to Rajski Ogród czekający na każdego śmiałka, który tam trafi. Na ostatnich stronach swojej książki Gardner zachęcał rząd Stanów Zjednoczonych, aby jako pierwszy „skorzstał z tej wyjątkowej sposobności”.

Marshall Gardner był tak pewny słuszności swoich wniosków, że przed opublikowaniem książki zgłosił swoje odkrycie w Urzędzie Patentowym Stanów Zjednoczonych. Wypełnił formularz 25 listopada 1912 roku i dwa lata później, 12 maja 1914 roku, otrzymał patent nr 1096102. Istnienie tego dokumentu pozostaje do dziś tajemnicą dla wszystkich poza garstką oddanych badaczy Pustej Ziemi, choć miałby on ogromne znaczenie, gdyby udowodniono prawdziwość teorii.

Biorąc przykład z Symmesa, Marshall Gardner również wysłał swoją książkę do pewnej liczby wybitnych amerykańskich kongresmenów i kilku przywódców państw europejskich. Dowody świadczą, że jego praca została przyjęta przez większość odbiorców, choć tylko bardzo nieliczni ją skomentowali. Jednym z wyjątków był Anglik, sir Artur Conan Doyle (twórca postaci Sherlocka Holmesa), który coraz bardziej interesował się spirytyzmem. Napisał do autora tak:

Przeczytałem pańską małą książkę (i wielką teorię) z prawdziwym zainteresowaniem. Jest ona bardzo oryginalna i wyjaśnia wiele tajemnic, gdyby więc nie fakt, iż zdobyto oba bieguny, stałbym się pańskim zwolennikiem. Mimo to uważam, że jest to wielce interesująca pozycja.

Gardner, choć na pewno był zachwycony odpowiedzią, odpisał, że w istocie bieguny nie zostały zdobyte – o czym Conan Doyle przekonałby się bez wątpienia, gdyby zechciał powtórnie przeczytać część książki poświęconą zachowaniu się kompasów, na których nie można polegać w kole podbiegunowym.

Autorzy kilku recenzji w prasie amerykańskiej określili książkę Gardnera jako „teorię Symmesa podaną w nowej szacie”. Gardner pośpiesznie odrzucił ten zarzut jako „absurdalny”, ponieważ nie było żadnego podobieństwa między koncepcją serii koncentrycznych sfer we wnętrzu Ziemi i jego własnej teorią o otwartej przestrzeni ogrzewanej przez centralne słońce:

Należy zwrócić uwagę, że Symmes nie stworzył logicznej teorii ani nie przytoczył żadnych faktów wyjaśniających, w jaki sposób przestrzenie między jego koncentrycznymi sferami są oświetlane i ogrzewane. To właśnie w tym punkcie jego teoria załamuje się w sposób katastrofalny. My zaś przynajmniej udowodniliśmy, że wewnątrz Ziemi jest cieplej niż na zewnątrz. Wykazaliśmy to wszystko na podstawie

zaobserwowanych faktów, Symmes zaś opiera się tylko na teorii – i to w dodatku błędnej.

Gardner jest również krytycznie nastawiony do pracy człowieka, którego nazywa „mystykiem Koreshem”. Odrzuca jego teorię o radykalnie innej Pustej Ziemi jako „czyste spekulacje” i nie podaje czytelnikowi ani jednego cytatu z pism „Koresha”, ani też żadnej informacji o tym, gdzie można je znaleźć. W rzeczywistości Koresh to inna wybitna postać zajmująca się tym problemem. Wysunął on bowiem przypuszczenie, że Ziemia nie tylko jest pusta, lecz także że w jej wnętrzu żyją ludzie. W następnym rozdziale zajmiemy się tą teorią i jej następstwami.

Prorok kosmogonii komórkowej

Wybrzeże Florydy, które rozciąga się wielkim łukiem od Pensacola na zachodzie do Everglades i Florida Keys na wschodzie, słynie z pięknych plaż i rezerwatów przyrody. Mimo że rozwój Miami i stworzenie Disneylandu na wybrzeżu Atlantyku zamieniło ten stan w międzynarodową mekkę dla turystów, wzdłuż wybrzeża Zatoki Meksykańskiej nadal zachowały się połacie dziewiczej ziemi. Takie miejsca w pobliżu Everglades, jak Corkscrew Swamp Sanctuary, Bonita Springs, Carl E. Johnson County Park i wyspa Estero, uniknęły nieszczęścia masowego uprzemysłowienia; a wszystkie leżą w odległości zaledwie 32 kilometrów od ruchliwego Fort Meyers. Prawie dokładnie 100 lat temu w pobliżu miasta Estero przeprowadzono jeden z najdziwniejszych eksperymentów odnotowanych w kronikach Pustej Ziemi. Pozostało po nim świadectwo, choć miejscowi ludzie w większości je ignorują.

Estero, położone w hrabstwie Lee, jest miasteczkiem liczącym kilkuset mieszkańców, prowadzących spokojny tryb życia i zajętych uprawą warzyw, cytrusów i bambusów. Poczytne gazety rzadko o nim wspominają, jeśli już w ogóle, to jako o „wspólnocie religijnej założonej w roku 1894”. Za tą eufemistyczną wzmianką ukrywa się naprawdę niezwykła historia.

Latem 1897 roku każdego przypadkowego gościa, który trafiłby na to liczące wiele kilometrów, pokryte srebrzystym piaskiem, zalesione wybrzeże, zaskoczyłaby działalność niewielkiej grupy mężczyzn na plaży. Wszyscy mieli rozłożyste brody, ubrani byli w identyczne, proste lniane stroje i gorliwie wpychali długi drut w łagodnie pluskające fale oceanu. Na pierwszy rzut oka można by ich pomylić z wędkarzami, nie mieli jednak wędek, a jedynym elementem ekwipunku był szereg kwadratów ułożonych w kształcie litery T. Wydawało się, że nieznanymi pragną ułożyć w linii prostej skierowany na południe drut, ale jeśli nawet byli oni architektami, geografami, a może biologami morza, jaki u licha mieli cel?

W środku tej grupy stała niska postać o dość władczyim wyglądzie – gładko ogolony mężczyzna o niespokojnych orzechowych oczach, które, według słów jego znajomych, „płonęły jak węgle”, gdy coś wzbudziło jego entuzjazm. W przeciwieństwie

do pozostałych był dość niestosownie ubrany jak na plażę – w płaszcz w stylu księcia Alberta i pilśniowy kapelusz. Jedwabny biały krawat powiewał na wietrze, gdy jego właściciel nadzorował dziwaczną operację. Ten mężczyzna nazywał się Cyrus Reed Tweed i wraz ze swymi towarzyszami – wszyscy oni byli członkami jego niezwyklej organizacji – usiłował dowieść, że ludzie nie mieszkają na zewnętrznej części świata, lecz w jego wnętrzu.

Odkąd Tweed natknął się na teorię Johna Clevesa Symmesa, próbował dosłownie wyrzucić ją do góry nogami. Był bowiem przekonany, że choć Ziemia wydaje się wypukłą, jest to tylko złudzenie optyczne i że jeśli rozciągnie się poziomo linię prostą dostatecznie daleko, z czasem wbije się ona w górną krzywiznę świata. To właśnie to głębokie przekonanie zaprowadziło go na plażę nad Zatoką Meksykańską w lipcu 1897 roku, uzbrojonego w dziwny przyrząd złożony z trzech podwójnych kwadratów ułożonych w kształt litery T, który nazwał „rectilineatorem”. Miał nadzieję, że jeśli przeciągnie go wzdłuż wybrzeża na przestrzeni kilku kilometrów, zdoła wreszcie potwierdzić swoje trwające trzydzieści lat badania i wypromować własną koncepcję budowy świata.

Albowiem już od młodości Cyrus Tweed wypatrywał jakiejś sprawy z żarem fanatyka religijnego. Urodził się w roku 1839 na farmie w hrabstwie Delaware w stanie Nowy Jork. Rodzice, Jesse i Mary Tweed, wychowali go na pobożnego baptystę (kiedy później Cyrus Tweed doszedł do wniosku, iż jest prorokiem, zwracał uwagę na imię swego ojca i na znaczenie pewnego tekstu z Biblii głoszącego, że z pnia Jessego wzrośnie różga i gałąź wyrośnie z jego korzeni). Państwo Tweed mieli nadzieję, że ich syn kiedyś zostanie pastorem.

Jednakże młodzieńca wzięto do wojska, uczestniczył więc w wojnie secesyjnej jako szeregowiec w armii Unii. Przez większość czasu pracował w szpitalu polowym, i tam, jak przed nim Symmes, zaczął w wolnych chwilach interesować się alternatywną nauką i medycyną. Tak bardzo się nimi przejął, że po zakończeniu wojny, zapisał się do New York Eclectic Medical College w Utyce, ośrodka popularnego wówczas medycznego nurtu eklektycyzmu, który badał leki ziołowe. Po trzech latach nauki Tweed ukończył college i miesiąc później otworzył w Utyce własny gabinet lekarski.

I znów, tak jak Symmesa, Tweeda zdumiała większość prawd głoszonych przez oficjalną naukę o Ziemi. Teoria o świecie wirującym w nieskończonym Kosmosie niepokoiła go, gdyż zdawała się zupełnie nie pasować do słów Biblii, w które tak żarliwie wierzył. Zaczął szukać odpowiedzi praktykując to, co nazwał „alchemią” – nie tradycyjną chemię dawnych alchemików, lecz rodzaj medytacji nad naturą Wszechświata. Rezultatem trzydziestu lat takiej medytacji było pewne zdarzenie – nazwał je „wizją” – które zmieniło jego życie.

Pewnej nocy w 1869 roku, o północy, gdy Tweed siedział samotnie w swoim „laboratorium organo-alchemicznym” (czyli gabinecie w Utyce), nagle zauważył stojącą przed nim piękną, eteryczną kobietę. Po chwili milczenia postać ta zwróciła się do niego jako do „proroka Koresha” („Koresh” to hebrajski odpowiednik imienia „Cyrus”). Tweed od razu zrozumiał, że nieznajoma jest duchem wysłanym przez Boga.

W broszurze, którą później napisał, zatytułowanej *The Illumination of Koresh: Marvellous Experience of the Great Alchemist at Utica, N. Y.* (Objawienie Koresha.

Niezwykłe doświadczenie wielkiego alchemika w Utyce) Tweed streścił dalszy ciąg rozmowy ze zjawą. Kobieta powiedziała mu, iż żył już kilkakrotnie i że teraz przeznaczony jest na mesjasza. Dla wypełnienia swojej misji musi osiąść uniwersalną wiedzę, a jej najważniejszym elementem jest zrozumienie Ziemi. Według prawdziwej kosmogonii „powierzchnia, na której żyje ludzkość, to całkowita odwrotność tego, co twierdzi współczesna nauka: że Ziemia jest wypukła”. Sama Biblia potwierdza to w wersecie: „Niech powstanie sklepienie pośród wód i niech oddzieli wody od wód” (Rdz 1,7). Tweed ma ogłosić tę prawdę całej ludzkości, dodała zjawa przed zniknięciem.

Na to „specjalne objawienie”, jak później je nazywał, „prorok” czekał całe życie. Od razu zajął się jeszcze bardziej zaawansowanymi badaniami i kontemplacją. W roku 1870 opublikował drugi traktat *The Cellular Cosmogony: The Earth a Concave Sphere* (Kosmogonia komórkowa: wklęsła Ziemia), w którym przedstawił odkryte przez siebie nowe „fakty” astronomiczne. Wydał tę pracę pod pseudonimem „proroka Koresha”^{*}.

W swojej drugiej książce Tweed wyjaśnił, że Ziemia podobna jest do jajka. Ludzkość żyje we wnętrzu skorupy, która ma 161 kilometrów grubości i składa się z siedemnastu warstw. Pięć wewnętrznych warstw to strata geologiczne, na których spoczywa pięć warstw mineralnych, a następne siedem składa się wyłącznie z metali. Nie można z jednej strony widzieć drugiej strony skorupy, ponieważ atmosfera jest tak gęsta, że podnosząc wzrok nie jesteśmy w stanie dostrzec kontynentów takich jak Australia, o których wiemy, iż znajdują się po przeciwnej stronie świata. Gęstość atmosfery uniemożliwia też dostrzeżenie prawdziwego Słońca. Zamiast tego Pustą Ziemię oświetla rodzaj pseudosłońca będącego odbiciem pierwowzoru. Kiedy prawdziwe Słońce zwrócone jest ku nam swą ciemną stroną, powiedział Tweed, tworzy to złudzenie wschodzącego i zachodzącego ciała niebieskiego, które sprowadza noc. Księżyc również jest tylko odbiciem, lecz Ziemi, zaś inne planety to jedynie gromada unoszących się w powietrzu „zmiennych dysków”. Innymi słowy, nie są one wcale ciałami materialnymi, ale punktami świetlnymi. Zagadkę nieskończoności, która tak długo nie dawała mu spokoju, Tweed wytłumaczył teraz z wielką pewnością siebie „faktem”, że poza Pustą Ziemią nie ma niczego.

W dalszych rozdziałach *The Cellular Cosmogony* autor bardziej szczegółowo opisał budowę tzw. ciał niebieskich, chociaż z powodu jego zamięłowania do zawilego języka i pseudonaukowych terminów czytelnicy z trudem mogli śledzić tok rozumowania. Planety opisał na przykład jako „sfery substancji skupionych poprzez zderzenie dośrodkowych i odśrodkowych napływów ekstraktów”, natomiast komety „składały się ze zlepiającej siły wywołanej kondensacją substancji poprzez rozproszenie

^{*} Nie istnieje żaden związek z Davidem Koreshem (*alias* Vernonem Howellem) przywódcą Kościoła Kultu Dawidowego, heretyckiego odgałęzienia Adwentystów Dnia Siódmego, który wierzył, że zbliża się koniec świata i na wiosnę 1993 roku bronił się przez 51 dni, oblegany przez policję i agentów FBI w Waco w stanie Teksas. Koresh, który twierdził, że jest Chrystusem, popełnił wraz z osiemdziesięcioma pięcioma członkami swojej sekty masowe samobójstwo, gdy 19 kwietnia 1993 roku rozkazał zamienić swoją obwarowaną siedzibę w płonące piekło.

kolorowej materii u wejścia do obwodów elektromagnetycznych, które zamykają przewody izolacyjne energii słonecznej i księżycowej”.

Na pewno nie będzie zaskoczeniem dla czytelnika, że wrogie przyjęcie, z jakim spotkała się książka Tweeda, doprowadziło do tego, iż w jednych środowiskach uznano go za dziwaka, a w innych nawet za wariata. Nie należał on jednak do ludzi, którzy łatwo dają się zastraszyć, i odpowiedział na pewną wyjątkowo jadowitą recenzję z godną proroka pewnością siebie: „Sprzeciw wobec mojej pracy jest tak nierozsądny, absurdalny i idiotyczny jak ten, z którym spotkały się prace Harveya i Galileusza”. O dziwo, nie porównał się z Johnem Clevesem Symmesem.

Z czasem Tweed zgromadził niewielką grupę zwolenników. Jednakże w miarę jak rósł jego entuzjazm do kosmogonii komórkowej, coraz bardziej podupadała jego praktyka lekarska w Utyce, zwłaszcza kiedy miejscowa plotka nadała mu miano „zwariowanego doktora”. Zrozpaczona żona Edith opuściła go, zabierając ze sobą ich jedyne dziecko, Douglasa.

Nie zamierzając wyrzec się swojej misji życiowej, Cyrus Tweed porzucił medycynę i postanowił objechać kraj wygłaszając odczyty na temat prawdziwej natury Ziemi. Ówczesne relacje wskazują, że był świetnym mówcą, którego charyzma szczególnie przyciągała kobiety. Do roku 1886 miał już kilkuset zwolenników, głównie kobiety, i wybrał Chicago na swoją kwaterę główną. Tam, w Cottage Grove Avenue, stworzył Koreshan Unity, niewielką społeczność, dla której codziennie prowadził wykłady na temat swoich odkryć. W miarę jak zyskiwał coraz to nowych adherentów, w Chicago zaczęły pojawiać się afisze głoszące: „Żyjemy wewnątrz!”, wyjaśniające filozofię Tweeda. W 1894 roku artykuł zamieszczony w „Chicago Herald” oszacował liczbę zwolenników Tweeda na cztery tysiące, dodając, że „prorok” zgromadził ponad 60 tysięcy dolarów ze swoich wykładów. Pomysł wydrażonego świata może być dziwaczny, ale nie brakowało mu poparcia.

Cyrus Tweed użył części tych pieniędzy na wylansowanie periodyku „The Flaming Sword” i w jednym z pierwszych numerów w artykule wstępnym, pod którym podpisał się jako „Cyrus Wysłannik Boży”, wyraźnie określił linię pisma:

Poświęciliśmy wiele energii i wysiłku, aby przedstawić opinii publicznej do dyskusji kwestię kosmologii koreshańskiej. Z tego też powodu znieśliśmy zuchwałe drwiny i zaciekle prześladowania, z jakimi zawsze spotykają się nowe idee, którym przeciwna jest większość tejże opinii – a dzieje się tak zawsze. Głosiliśmy naszą wiedzę kosmogologiczną tak uparcie, że aż zwolennicy fałszywej „nauki” poczuli się niepewnie.

Historia nie zanotowała, czy Tweed z czasem uznał, że nie może bezpiecznie kontynuować swojej „misji” w Chicago, w każdym razie w 1894 roku postanowił przenieść się wraz ze swymi zwolennikami do spokojniejszego miejsca na wybrzeżu Florydy. Tutaj, w odległości 26 kilometrów od Fort Meyers, kupił kawałek ziemi i ogłosił założenie nowej społeczności zwanej Estero. Tu zamierzał nadal prowadzić pracę nad udowodnieniem tezy, że ludzkość żyje wewnątrz Ziemi. Powiedział, iż z „czasem

miasto to stanie się Nową Jerozolimą” i w końcu stolicą świata, jak wierzył, domem ośmiu milionów wierzących. W rzeczywistości mniej niż dwieście osób osiedliło się w okolicy pomimo idyllicznego klimatu i pięknego krajobrazu. Prorok wybrał grupę zwolenników, którzy mieli mu pomagać w dalszej pracy i to właśnie ci „naukowcy” w lipcu 1897 roku przeprowadzili opisany wyżej eksperyment, by „udowodnić”, że świat jest wklęsły na wybrzeżu naprzeciwko dzisiejszej mierzącej 11 kilometrów plaży wyspy Estero. „Uczeni” przy pomocy „rectilineatora” popchnęli drut na odległość prawie 6,5 kilometrów w stronę Florida Keys, aż pogrążył się w morzu.

Tweed był zachwycony. Opadająca pod wodę lina była dla niego dowodem, że Ziemia rzeczywiście przypomina wielkie jajo. Późniejszy artykuł w „Fort Meyer Journal”, którego redaktor z bliska, cynicznie obserwował wspólnotę Koresha, stwierdza, że eksperyment ten udowodnił tylko jedno: iż „rectilineator” jest bezużyteczny. Prorok odpowiedział w typowy dla siebie sposób.

„Wiedzieć o wklęsłości Ziemi”, napisał we „The Flaming Sword”, „to znać Boga. Wiara w wypukłość Ziemi jest odtrącaniem Jego i Jego dzieła. Wszystko, co stoi w sprzeczności z koreshaństwem, należy do antychrysta”.

Mimo obelg, które spadały na Tweeda i jego poglądy, wspólnota w Koresh nadal istniała. „The Flaming Sword” wychodził, niosąc światu przesłanie o kosmogonii komórkowej, a prorok zajął się pisaniem jeszcze dwóch książek. Jedna, *The Great Red Dragon: or The Flaming Devil of the Orient* (Wielki czerwony smok), była rozważaniami o przyszłości i została opublikowana dopiero w roku 1909 pod pseudonimem „Lord Chester”, natomiast druga, *The Immortal Manhood* (Nieśmiertelna ludzkość) miała mieć kłopotliwe implikacje dla Tweeda.

Niemal od dnia, w którym „prorok” i jego zwolennicy osiedlili się w Estero, regularnie odwiedzał ich, obdarzony władzą szeryfa urzędnik z Fort Meyers, dość wojowniczy mężczyzna nazwiskiem Jordan, który najwyraźniej nie znosił koreshytów i ich „nie przemyślanych” wierzeń. Dokuczał kobietom i często wdawał się w kłótnie z Tweedem, który był od niego niższy o jakieś 60 centymetrów. Pewnego razu, po jeszcze jednej sprzeczce, Jordan napadł przywódcę sekty i ciężko go zranił. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że obrażenia te przyspieszyły śmierć Cyrusa Tweeda.

„Prorok Koresh” aż do dnia swojej śmierci w grudniu 1908 roku głęboko wierzył w słuszność poglądów na budowę Ziemi. Nadużył jednak swojej wiarygodności w ostatniej książce, *The Immortal Manhood*. Oświadczył w niej bowiem, że zmartwychwstanie po śmierci jak Chrystus i zabierze swoich wyznawców do nieba. Po śmierci „proroka” na trzy dni przed Bożym Narodzeniem, rozpoczęto modlitwne czuwanie nad jego ciałem, które trwało aż do Nowego Roku. Ponieważ jednak nie doszło do „zmartwychwstania”, a wieści o śmierci Tweeda dotarły do lekarza urzędowego hrabstwa Lee, którego nadzorowi podlegało Estero, przybył on tam i zastał szybko rozkładające się ciało. Rozkazał natychmiast je pogrzebać.

Wyznawcy na miejsce ostatniego spoczynku Tweeda wybrali położoną blisko brzegu morza wyspę Estero. Na tym malowniczym, piaszczystym, zalesionym skrawku lądu ciało umieszczono w betonowym grobowcu, by nie zbeczęścili go przeciwnicy koreshaństwa. W późniejszych latach członkowie tej społeczności opiekowali

się grobowcem z takim samym oddaniem, z jakim nadal wydawali „The Flaming Sword” (o dziwo, nigdy nie zamieszczono w nim informacji o śmierci jego założyciela). Później, wiosną 1921 roku, tropikalny huragan zaatakował wybrzeża Florydy, przeorał wyspę wraz z gigantycznymi falami i roztrzaskał grobowiec. Następnego ranka, kiedy burza ucichła, dwóch zwolenników zmarłego „proroka” nie znalazło ani śladu miejsca ostatniego spoczynku Cyrusa Reeda Tweeda, ani jego ciała.

Dzisiaj nadal można spacerować nad Zatoką Estero i wyobrażać sobie Tweeda i jego zwolenników dokonujących dziwnych eksperymentów. W pobliżu wciąż jeszcze żyją ludzie pamiętający kult „Koesha” i malejącą liczbę jego wyznawców, którzy wydawali „The Flaming Sword” aż do roku 1949, kiedy pożar w magazynie drukarni położył temu kres. Przez cały ten czas głosili oni idee założyciela sekty z równym żarem, a w 1946 roku cały nakład poświęcili wyjaśnieniu, jak dzięki swym poglądom alchemicznym „prorok Koresh” przepowiedział zrzućenie pierwszych bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki w ostatnich dniach II wojny światowej. Jednakże po roku 1949 zapanowało milczenie.

Może wydać się zaskakujące, że teoria o kosmologii komórkowej zainteresowała pewną liczbę osób poza Ameryką. Wśród nich był niemiecki inżynier Gustaw Mengerling z Magdeburga, który zaakceptował poglądy Tweeda i w 1933 roku próbował powtórzyć jego eksperyment, odbijając jakiś obiekt od wklęsłej skorupy Ziemi. Użył jednak do tego rakiety.

W owym czasie technologia raketowa nadal była w powijkach, chociaż ludzie od wielu lat marzyli o lotach w Kosmos. Juliusz Verne na przykład zaproponował „kosmiczne działo” w powieści *Wokół Księżycy* (1865), ale dopiero rosyjski nauczyciel Konstanty Ciołkowski (1857-1935) jako pierwszy zaproponował praktyczne wykorzystanie napędu raketowego. W jego dalekowzrocznych pomysłach – które opublikował w tym samym czasie, kiedy amerykańscy bracia Orville i Wilbert Wright dokonywali pierwszych próbnych lotów w Kitty Hawk – widać niewielki wpływ koncepcji Pustej Ziemi. Na przykład Ciołkowski narysował plan okrągłego statku kosmicznego, którego załoga pływała w powietrzu w jego wnętrzu, gdyż z podziwu godną dokładnością przewidział stan nieważkości w przestrzeni międzyplanetarnej.

W latach 20. XX wieku eksperymenty z raketami na paliwo płynne rozpoczęli niemal jednocześnie Robert Hutchings Goddard w Ameryce, zaś w Niemczech grupa, w skład której wchodził niejaki Wernher von Braun. Urządził on poligon, który nazwał *Raketenflugsplatz*, czyli Polem Rakietowym (później, oczywiście, von Braun i część jego kolegów zbudowała rakiety V-2 kierowane na Wielką Brytanię w roku 1945, a po zakończeniu wojny, gdy wszyscy przenieśli się do Ameryki, statki kosmiczne, które wyniosły ludzi w Kosmos i wylądowały na Księżycu).

Kiedy Gustaw Mengerling dowiedział się o eksperymentach prowadzonych na Polu Rakietowym, uznał, iż jest to idealna metoda udowodnienia prawdziwości teorii Cyrusa Tweeda, która przez ostatnie dziesięć lat stała się jego obsesją. Jako jeden z wybitnych inżynierów w Magdeburgu i członek rady miejskiej, miał pewne wpływy. Użył ich do przekonania swych kolegów-radnych, by wypróbowali koncepcję Pustej Ziemi zmarłego Amerykanina. Dodał, że jeśli teoria ta okaże się prawdziwa, ich miasto stanie się

sławne na całym świecie. Zaproponował berlińskim eksperymentatorom wystrzelenie rakiety pionowo w górę. Jeżeli wyląduje ona w Australii, okaże się, że Tweed przez cały czas miał rację. Mengerling najwidoczniej umiał przekonywać, gdyż zimą 1932 roku wyruszył do Berlina z obietnicą poparcia finansowego uzyskaną od rady miejskiej Magdeburga. W Berlinie spotkał się z Rudolfem Nebelem, jednym z członków Niemieckiego Towarzystwa Badań Kosmicznych i przedstawił mu swój plan.

Nebel, który później miał prowadzić badania nad raketami dla nazistów, nie mógł ominąć takiej okazji. Szybko opracował finansowy plan konstrukcji odpowiedniej rakiety i ustalił program startowy. Wprawdzie relacje z przeprowadzonych prób są raczej fragmentaryczne, nie ma jednak wątpliwości, że Nebel i jego zespół wydali wiele tysięcy marek wypłaconych przez radę miejską Magdeburga usiłując zbudować raketę potężniejszą od jej poprzedniczek, która mogłaby przelecieć wielką odległość w zaproponowanej przez Tweeda wersji Pustej Ziemi.

Zapiski wskazują, że pierwszą próbę przeprowadzono w marcu 1933 roku. Zakończyła się ona eksplozją rakiety na rampie startowej. Później nastąpiło jeszcze kilka wybuchów, zanim kolejna próba wystrzelenia rakiety powiodła się 9 czerwca tego roku. Rakieta uniosła się, lecz doleciała tylko do końca rampy. Podczas następnej próby, 13 czerwca, pocisk przeleciał około 2 metrów, nim spadł na ziemię. 29 czerwca, kiedy fundusze z Magdeburga już się wyczerpały, a rada miejska oświadczyła, iż więcej nic nie przyśle, Mengerling z niepokojem patrzył na przygotowania do wystrzelenia trzeciej rakiety.

Wszyscy wstrzymali oddech, kiedy rakieta odpaliła i zaczęła wolno sunąć po rampie. Przez kilka sekund rzeczywiście wydawało się, że wzleci w błękitne niebo i raz na zawsze rozstrzygnie spór o prawdziwość teorii kosmogonii komórkowej. Niestety, powoli, bardzo powoli, rakieta zmieniła położenie z pionowego na poziome i przeleciała około 300 metrów, zanim wybuchła na ziemi. Na szczęście skierowała się w odwrotnym kierunku od miejsca, gdzie stał Mengerling i obsługa techniczna.

Pozbawiony pieniędzy, wyczerpawszy cierpliwość magdeburckich radnych, Mengerling musiał porzucić projekt. A z powodu katastrofalnego zakończenia prób z raketami również dobrze mogło to oznaczać koniec tej szczególnej teorii Pustej Ziemi. W rzeczywistości jednak pomysł ten miał podnieść się z upadku na Polu Rakietowym wraz z dojściem do władzy w Niemczech Adolfa Hitlera. I koncepcję tę zamierzano wykorzystać w sposób, który mógłby całkowicie zmienić przebieg II wojny światowej...

Hitler i „widmowy wszechświat”

Pewnego ranka na początku marca 1942 roku byłego niemieckiego pilota Petera Bendera, który służył w cesarskich siłach powietrznych w czasie I wojny światowej, przedstawiono człowiekowi zajętemu wtedy prowadzeniem drugiego światowego konfliktu mającego pomścić wcześniejsze poniżenie jego narodu. Mimo że wówczas Adolf Hitler, wódz nazistowskich Niemiec, był raczej zaabsorbowany losem swych oddziałów walczących z Rosjanami na wschodzie, rozkazał jednak sprowadzić Bendera do kwatery głównej w Rastenburgu, aby wytłumaczył mu teorię, która zyskała aprobatę kilku wyższych oficerów niemieckiej marynarki wojennej i, co znacznie ważniejsze, drugiego urzędnika w państwie, marszałka Rzeszy Hermana Göringa. Egzemplarz pracy, w której Bender przedstawił tę teorię, *Die Hohl Welt Lehre* (Teoria Pustej Ziemi), leżał otwarty na biurku Hitlera, kiedy jej autor podszedł, podniósł dłoń pozdrawiając siedzącego mężczyznę, którego podziwiał od wielu lat, i czekał na rozpoczęcie jednego z najciekawszych spotkań ery do dziś słynącej z wielu dziwacznych teorii i niesamowitej pseudonauki, jaka rozprzestrzeniła się wśród hierarchii partyjno-państwowej Trzeciej Rzeszy.

Człowiek tłumaczący teorię Pustej Ziemi w Rastenburgu, silnie ufortyfikowanej siedzibie Hitlera w lesie w Prusach Wschodnich, w pobliżu Kętrzyna w Polsce, miał w sobie coś ujmującego. Twierdzą, oficjalnie nazywaną *Führerhauptquartier Wolfsschanze* (Kwatera Główna Wodza Wilczy Szaniec), wzniesli budowniczo i inżynierowie Führera w latach 1940-1941, zwracając specjalną uwagę na pewne elementy mitologiczne i okultystyczne. W pobliżu stała jedna z wielkich twierdz krzyżackich, a na terenie kwatery głównej Hitlera znajdował się cywilny cmentarz i święte źródło łączone ze starożytnymi mocami magicznymi. Co jeszcze bardziej znamienne, Wilczy Szaniec zbudowano według zasad geomancji i stał on w środku konfiguracji linii geomantycznych, zwróconej wprost na północny wschód, ku Moskwie. Grupa doradców Hitlera, zwolenników okultyzmu, wyjaśniła mu, że w dawnych czasach ludzie używali takiej właśnie konfiguracji do kierowania ataków psychicznych na swych wrogów. Powiedzieli, iż nawet sama nazwa Rastenburg związana jest z liniami geomantycznymi, co czyni zeń idealne miejsce mocy.

Hitler nie potrzebował dalszych perswazji i uznał tę lokalizację za odpowiednią, mimo jej dość ponurego wyglądu i otaczających ją zalesionych mokradeł. Rozkazał zbudować kwatery, która po bunkrze berlińskim miała się stać najważniejszą w jego państwie. Jednakże pomimo całej troski i dbałości o ezoteryczne szczegóły, to właśnie tam w lipcu 1944 roku dokonano zamachu bombowego na życie wodza.

Nikt nie przeczuwał niczego marcowego poranka, kiedy Hitler opracowywał różne dalekosiężne plany dla nowej Europy. Inwazja na Związek Radziecki, rozpoczęta w czerwcu ubiegłego roku, była znów kontynuowana po straszliwej zimie. Przez kilka miesięcy wojska niemieckie posuwały się wciąż do przodu, aż dotarły na odległość 129 kilometrów od Moskwy. Lecz na początku października spadł śnieg i w połączeniu z wczesnym spadkiem temperatury poniżej zera zmusił niemieckie siły inwazyjne do zatrzymania ataku. Nieprzygotowani do walki w takich arktycznych warunkach Niemcy – nie mieli bowiem zimowej odzieży i nie zamarzającej broni – musieli stawić czoło kontrofensywie Armii Czerwonej i modlili się o wiosnę i szybką odwilż. Chociaż Hitler jeszcze tego nie wiedział, do wiosny 1942 roku straty Niemców miały wynieść 1 168 000 zabitych i rannych. Losy wojny nieubłaganie zaczęły się zmieniać na jego niekorzyść.

Oczywiście zainteresowania Adolfa Hitlera są dobrze znane, jak również fakt, iż jego marzenia o Tysiącletniej Rzeszy opierały się na starogermańskich podaniach o rasie obdarzonych magiczną mocą „nadludzi”, która miała pewnego dnia rządzić światem. Hitler urodził się w granicznym austriackim miasteczku Braunau, skąd wywodzili się słynni spirytyści, jak bracia Willi i Rudi Schneiderowie, którzy posiadali zdolności psychokinetyczne pozwalające im poruszać przedmioty na odległość. Według Louisa Pauwelsa i Jacquesa Bergiera, autorów *The Morning of the Magicians* (Poranek magików, 1960) Hitler miał tę samą mamkę co Willi Schneider. Zarówno Pauwels, jak i Bergier rozważali przypuszczenie – choć, trzeba powiedzieć, niezbyt poważnie – czy tamci dwaj nie mogli wyssać z jej mlekiem jakichś tajemnicznych mocy! Nieliczni historycy okultyzmu zastanawiali się też, czy człowiek, który później został wodzem Niemiec, miał jakieś zdolności prekognicyjne. Nie ma jednak żadnych wątpliwości, że Hitler bez zastrzeżeń wierzył w astrologię i sprawdzał swój horoskop przed podjęciem każdej ważnej decyzji wojskowej lub politycznej. Opinia publiczna wiedziała o tym jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, jak wskazuje artykuł w „Gazette de Lausanne” z 5 kwietnia 1939 roku:

Nikt nie wierzy w astrologię bardziej niż Herr Hitler. Każdego miesiąca pyta o nowe przepowiednie astrologiczne. To nie przypadek, że wszystkie jego zamachy miały miejsce w marcu. Przed atakiem wybiera najlepszą porę wskazaną przez gwiazdy. A marzec na pewno jest jego najlepszym miesiącem...

Jeżeli Peter Bender pragnął idealnej pory, w której mógłby przedstawić Hitlerowi swoją trwającą całe życie wiarę w Pustą Ziemię i w możliwość wykorzystania jej

dla dobra niemieckich zmagających wojennych, nie mógł sobie wyobrazić lepszej. Nieco ponad miesiąc wcześniej, 25 stycznia 1942 roku, Hitler mówił o mitach i legendach podczas kolacji, jak zanotował François Genoud w *Hitler's Table Talk* (Rozmowy towarzyskie Hitlera, 1953): „Nic nie przeszkadza nam przypuszczać, że mitologia jest odbiciem rzeczy, które niegdyś istniały i o których ludzkość zachowała niejasne wspomnienia”, powiedział Führer swoim towarzyszom. „Kto wie, jakich odkryć można by dokonać, gdybyśmy potrafili zbadać zalane teraz przez wodę lądy?”

Taki więc był stan umysłu człowieka, któremu Bender przedstawił koncepcje, na jakie natknął się podczas I wojny światowej. Od tej pory bez wytchnienia pracował nad ich udowodnieniem.

Niewiele wiadomo o wczesnych latach życia Petera Bendera. Urodził się w Berlinie, uczęszczał na miejscowy uniwersytet, gdzie studiował geografię i języki obce. Jako dwudziestopięciolatek wstąpił do cesarskiego lotnictwa i zdobył tam zawód pilota. Po wybuchu I wojny światowej przydzielono go do eskadry znanej jako „Szwadron Śmierci”, którą dowodził znakomity młody pilot Herman Göring. Pomimo całkowicie odmiennych charakterów, obaj młodzieńcy niebawem zostali bliskimi przyjaciółmi. Razem pełnili misje nad Francją i obu przypisywano dużą ilość zestrzeleń. Jednakże od tamtej pory kariera Göringa była jednym pasmem sukcesów i po zakończeniu wojny w listopadzie 1918 roku uważano go za najślynniejszego żyjącego niemieckiego pilota wojskowego. Później został oblatywaczem u szwedzkiego fabrykanta samolotów, poślubił szwedzką arystokratkę Emmy Sonnemann i po powrocie do Niemiec wstąpił do niedawno powstałej partii nazistowskiej, w której wkrótce doszedł do najwyższych dostojenstw i władzy w ślad za jej wodzem, Adolfem Hitlerem. W czerwcu 1941 roku Göring osiągnął szczyt kariery: Hitler mianował go swym następcą.

Peterowi Benderowi nie wiodło się równie dobrze. Latem 1916 roku, podczas lotu patrolowego nad Francją – i tym razem nie w towarzystwie swego przyjaciela Göringa – został zestrzelony przez francuskiego pilota i ciężko ranny w katastrofie samolotu. Następne dwa lata spędził jako jeńiec wojenny. Najwyraźniej Benden nie układał heroicznym planów ucieczki; przyzwyczał się do leniwego życia w obozie, odzyskując powoli zdrowie. Lubił jednak czytać i chwycił wszystko, co miało związek z jego zainteresowaniami geograficznymi. Ponieważ mógł czytać po angielsku, miał większy wybór niż pozostali jeńcy wojenni. Pewnego dnia wśród stosów książek i czasopism znalazł kilka egzemplarzy „The Flaming Sword” Cyrusa Tweeda. Natychmiast zafascynowała go koncepcja rodzaju ludzkiego żyjącego wewnątrz Pustej Ziemi, a nie na jej powierzchni, i zastanawiał się nad każdym słowem. Nadal roztrząsał teorię Tweeda, kiedy odzyskał wolność po zawieszeniu broni, tuż przed Bożym Narodzeniem 1918 roku.

Po powrocie do Berlina, Bender znów spotkał się ze swoim starym przyjacielem Hermanem Göringiem i chociaż obaj czuli, że sążone są im odmienne losy, przyrzekli sobie, iż będą utrzymywać ze sobą kontakt. Pomimo wszystkich zarzutów, jakimi go obciążono, Göring bez wątplenia był wiernym przyjacielem i dotrzymał słowa danego dawnemu towarzyszowi broni.

Z powodu odniesionych na wojnie ran Benderowi trudno było znaleźć pracę, ale wreszcie zdobył skromnie opłacaną posadę urzędnika państwowego. Nadal zajmował się koncepcjami Tweeda i w wolnych chwilach napisał szereg artykułów dla czasopism okultyistycznych, podając własną interpretację Pustej Ziemi. Później rozwinął ją w kilku broszurach i książkach. We wszystkich zachęcał do radykalnej zmiany wizji świata. Twierdził, że nie jest to teoria, lecz doktryna – *Die Hohl Welt Lehre*.

Bender był teraz przekonany, że w rzeczywistości Wszechświat jest całkiem mały. Wierzył, iż ludzie żyją na wewnętrznej przestrzeni pustego globu takiej samej wielkości, jaką podawała ortodoksyjna geografia, ale otoczonego twardą skałą ciągnącą się w nieskończoność. Mieszkańcy nie spadają z tej powierzchni dzięki pewnym rodzajom promieniowania słonecznego. Wszędzie wokół znajduje się warstwa powietrza sięgająca 74 kilometrów w górę, coraz bardziej się przersedzająca, by stać się próżnią w samym środku globu. W tej przestrzeni wisi Słońce – rozgrzana do czerwoności skalna kula znacznie mniejsza niż uważają naukowcy, mająca zaledwie 322 kilometry średnicy, Księżyc, również mniejszy niż zakładano – oraz to, co Bender nazywał „Widmowym Wszechświatem”. Była to masa niebieskoszarych gazów, przez które przeświecały małe punkty świetlne, zwane przez ludzi gwiazdami, choć wcale nie są one dalekimi ciałami niebieskimi. Noc zapada wtedy, gdy te gazy przepływają przed Słońcem; natomiast ich cień powoduje zaćmienia Księżyca. Tak Peter Bender wyjaśniał to, co, jak twierdził, pokolenia astronomów „udawały”, że widzą przez teleskopy.

Bendera zapytano jednak, dlaczego mieszkańiec Drezna nie mógł spojrzeć w niebo i dostrzec Pekinu? To całkiem proste, odparł. Światło nie mknie po linii prostej, lecz po mocno zagiętej krzywej i wraca na powierzchnię Ziemi po kilku kilometrach. Zjawisko to z kolei daje fałszywe wrażenie horyzontu. Bender utrzymywał też, że różne długości fal wędrowały po różnych krzywych. Na końcu *Die Hohl Welt Lehre* stwierdzał, iż ludzie są jedynymi istotami rozumnymi żyjącymi w pustym świecie, który się nie porusza. Ludzkość jest tak zamknięta i chroniona, jak dziecko w łonie matki.

Może wydawać się zaskakujące, że Göring ze swoją wielką pychą, żądzą bogactwa i złupionych dzieł sztuki – nie wspominając już o bezwzględności, z jaką popierał sprawę Hitlera, co zjednało mu przydomek „złego geniusza nazizmu” – wziął taką teorię całkiem serio. Lecz darzył Bendera szczerą przyjaźnią, a przede wszystkim był człowiekiem nigdy nie odrzucającym żadnej idei, w której mogło kryć się choćby źdźbło prawdy. Kiedy Peter Bender skontaktował się z kadrą oficerską niemieckiej marynarki wojennej i wyjaśnił, w jaki sposób Pusta Ziemia mogłaby być dla nich użyteczna, Göring przypuszczalnie cieszył się, że ma w tym swój udział. W każdym razie jego wrodzony instynkt do intryg dawno temu nauczył go, iż w kontrowersyjnych sprawach zawsze dobrze jest zająć postawę wyczekującą. Późniejsze badania wykazały, że mimo cynizmu Göringa w wielu sprawach, nie był on uodporniony na okultyzm. Jego żona Emmy twardo wierzyła w astrologię i od roku 1938, podobnie jak Hitler, regularnie radziła się jasnowidza, doktora Augustusa Heermana, który

dawał jej rady w sprawach osobistych, informował o przebiegu wojny i sposobach wpływania na los męża.

Zanim nazisci doszli do władzy, niemiecka marynarka wojenna znajdowała się na dalekim końcu armii, gdyż traktat wersalski ograniczył liczbę marynarzy i okrętów. Nic więc dziwnego, że po zawarciu przez Hitlera niemiecko-angielskiego traktatu o marynarce wojennej w 1935 roku, wyżsi oficerowie marynarki stali się jego żarliwymi zwolennikami. Bo chociaż tylko w niewielkim stopniu złagodzone zostały restrykcje nałożone na niemiecką flotę wojenną, to pozwolono Niemcom na wyszkolenie prawie nieograniczonej liczby marynarzy oraz na posiadanie łodzi podwodnych. Kiedy Hitler posunął się dalej i nakazał ponowne uzbrojenie marynarki wojennej, ich zachwyty dosłownie się podwoiły – i oczywiście byli dobrze przygotowani do walki, kiedy w roku 1939 wybuchła wojna.

Więc jak to się stało, że stare wilki morskie z niemieckiej floty wojennej uznały doktrynę Petera Bendersa o Pustej Ziemi za coś praktycznego, co mogło im się przydać? Wydaje się, że jego argumenty były bardzo poważne i rzeczowe.

Bender zgodził się z ich filozofią, że najtrudniejszym zadaniem każdego dowódcy na morzu jest określenie, gdzie mogą się znajdować nieprzyjacielskie okręty. Od wieków tylko obserwacje umożliwiały spełnienie tego wymagania. Wynalezienie samolotu, a potem radaru, na pewno pomogło w rozwiązaniu problemu, ale go nie zlikwidowało. Samolotom zwiadowczym trudno jest dostrzec statek na rozległym oceanie, zaś działanie radaru ogranicza się do obszaru, który może on skanować. Ale, oświadczył Bender, gdyby zasięg radaru można w jakiś sposób powiększyć do tysięcy kilometrów zwracając anteny w stronę nieba, a nie horyzontu, to co wtedy? Jeżeli teoria Pustej Ziemi jest prawdziwa, fale radarowe będą się odbijać od wnętrza globu i słać sygnały na indykator katodowy, tworząc w ten sposób obraz miejsca, w którym mogą się czaić nieprzyjacielskie okręty.

Bender namawiał oficerów marynarki, a później i Hitlera podczas spotkania w Rastenburgu, do przeprowadzenia eksperymentów z pomocą radaru, by potwierdzić jego teorię. Proponował oprzeć je na doświadczeniu, które Tweed zrobił na Florydzie, a Mengerling nie zdołał zakończyć w Berlinie. Oświadczył jednak, że to, co on sam ma na myśli, na pewno podziała.

Historia nie mówi nam nic o pierwszej reakcji Hitlera na wyjaśnienia Bendersa. Wiemy jednak, że wydał rozkaz przeprowadzenia takich eksperymentów w największej tajemnicy, pod nadzorem sztabu generalnego admiralicji na bałtyckiej wyspie Rugii, oddalonej od brzegu o 483 kilometry. Dziwnym zrządzeniem losu było to miejsce mające takie samo okultystyczne znaczenie jak Rastenburg.

Rugia, którą dzisiaj najlepiej pamięta się jako miejsce, gdzie Niemcy zbudowali i wypróbowywali rakiety V-1 i V-2, w starożytności była pogańskim sanktuarium, w którym dokonywano przywołujących moc obrzędów. Słynna legenda opowiada, jak król Waldemar I z Danii, obawiając się mocy mieszkańców Rugii, poprowadził przeciwko nim krucjatę w 1168 roku i zrównał z ziemią ich świątynie. Podczas swej liczącej wiele wieków historii „świętą wyspę”, jak ją czasami nazywano, okupowali Duńczycy, Szwedzi i Francuzi, aż wreszcie wpadła w ręce Niemców po obaleniu Napoleona w 1815 roku.

Ze względu na związki ze starożytnością i bohaterami z przeszłości partia nazistowska wybrała Rugię jako miejsce na pomnik młodzieży hitlerowskiej. Świątynię tę, oficjalnie wzniesioną dla uczczenia pamięci Hansa Mallona, członka Hitlerjugend, zabitego w roku 1931, zbudowano z grubo ciosanych granitowych bloków i pokryto tradycyjną słomianą strzechą; w środku znajdował się masywny monolityczny ołtarz. Kiedy ktoś wszedł do ciemnego wnętrza, oświetlonego tylko światłem dziennym sączącym się przez wąskie okna, miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie o tysiące lat do dni pogańskich mitów.

To właśnie na tę wyspę, z jej wciąż obecną atmosferą starożytnego mistycyzmu, miesiąc po spotkaniu Bendera z Hitlerem, przybyła grupa niemieckich ekspertów do spraw radia, radaru i fotografii, aby zweryfikować jego teorię. Byli wyposażeni w osiągalne w Niemczech najnowsze zdobycze techniki, specjalnie ściągnięte z całej Rzeszy. Kierował nimi doktor Heinz Fisher, główny niemiecki ekspert od promieni podczerwonych, którego oderwano od niezwykle ważnej dla kraju pracy nad systemem obronnym. Fisher nie był z tego zadowolony. Jak powiedział później, sam pomysł wydawał mu się dziwaczny. Otrzymał jednak rozkaz od pewnego członka sztabu Hitlera, by zawiesił swoje badania i zameldował się w Berlinie „dla natychmiastowego przydziału”, musiał go posłuchać.

Pewnego pięknego, jasnego poranka w drugim tygodniu kwietnia doktor Fisher i jego zespół rozpoczęli próby zgodnie z instrukcjami. Eksperymentalny przyrząd emitujący promienie podczerwone umieszczono w pobliżu północnego krańca Rugii i skierowano w niebo pod kątem 45 stopni. Fisher, którego dokładnie poinformowano o koncepcji Bendera, postanowił nie dzielić się tą wiedzą z innymi naukowcami i technikami: nikt z nich nie wiedział, dlaczego przeprowadzają ten niezwykle eksperyment. Kiedy zespół Fishera pracował, wokół terenu badań rozmieszczono agentów SS, aby zapewnić utrzymanie wszystkiego w tajemnicy; żołnierze patrolowali też wybrzeże, by strzec go przeciwko nieoczekiwanej ingerencji przyjaciół lub wrogów.

Przez całkowicie nierzeczywisty tydzień zespół Fishera obsługiwał aparaturę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zawsze mieli wrażenie, że kierują ją w stronę, z której, jak się zdawało, nic nie można było wykryć. Codziennie dokonywano wszystkich możliwych regulacji przyrządu, by mieć pewność, że dobrze działa, notując jednocześnie starannie otrzymane dane. Wszystko to zakończyło się... niczym.

Oczywiście Fisher wiedział, co te próby miały wykazać. Jeżeli Bender się mylił, wówczas mknące po linii prostej promienie podczerwone „odskoczyłyby” od Pustej Ziemi i zlokalizowałyby wszystko, co znajduje się za horyzontem. Ich celem stanowiła brytyjska flota, która miała przebywać w Scapa Flow na Orkadach. Fisher przyznał też, że jeśli w teorii Bendera jest choć żdźbło prawdy, podczas tych prób aparatura powinna odebrać sygnały z jednej ósmej powierzchni Ziemi i zapewnić Hitlerowi olbrzymią przewagę w realizacji planów, które przygotowywał: ofensywy na wszystkich frontach. Lecz po siedmiu dniach spędzonych na Rugii, kiedy nie ujrzano ani jednego punkciku, Fisher przerwał eksperyment i przygotował raport dla sztabu generalnego admiralicji. Jak napisał, nie mógł się doczekać, aż opuści wyspę i wróci do swojej poważnej pracy.

Nieudane testy i dalszy los głównych bohaterów tego dramatu pozostały tajemnicą aż do końca wojny. W 1946 roku profesor Gerard Kuiper z obserwatorium na Mount Palomar usłyszał o ciekawych wydarzeniach na Rugii i po dogłębnych badaniach napisał artykuł do popularnonaukowego czasopisma „Popular Astronomy”. Stwierdził w nim, że:

Wyżsi oficerowie niemieckiej admiralicji i lotnictwa wierzyli w teorię Pustej Ziemi. Uważali, że może ona okazać się użyteczna do lokalizacji brytyjskiej floty wojennej ponieważ wklęsłość Ziemi ułatwi dalekosiężne obserwacje z pomocą promieni podczerwonych, które są mniej zakrzywione niż fale światła widzialnego.

Profesor Kuiper odkrył też, że człowiek, który kierował tymi próbami, doktor Heinz Fisher, przeżył wojnę i w 1945 roku przeniósł się do Ameryki, gdzie wraz z grupą innych sprowadzonych z Niemiec uczonych pomagał w rozwoju broni atomowej. Kiedy zapytano go o jego pobyt na Rugii, odparł po prostu: „Naziści zmusili mnie do robienia zwarewanych rzeczy, które bardzo mi przeszkadzały w moich badaniach”.

Historia ta jednak nie kończy się w tym miejscu. W 1957 roku stacja badawcza armii amerykańskiej w Dayton w stanie Ohio oświadczyła, że pracuje nad bombą wodorową zdolną wytworzyć temperaturę miliona stopni. Wśród wybitnych specjalistów uczestniczących w tym zdumiewającym programie był... doktor Fisher. Krew w żyłach mrozi myśl, że gdyby nie skierowano go do prac nad Pustą Ziemią i pozwolono mu kontynuować inne badania, Hitler mógłby zyskać znacznie lepszą broń, zanim alianci spowodowaliby jego upadek.

Niepowodzenie na Rugii drogo kosztowało Petera Bendera. Hitler, który nigdy nie tolerował niepowodzeń, kazał umieścić autora *Die Hohl Welt Lehre* w obozie koncentracyjnym. Kiedy usłyszał o tym Göring, zrozumiał, że nic nie może zrobić dla ratowania kolegi. Beneder jeszcze raz znalazł się za drutami – ale tym razem nawet nie pozwalano mu na szukanie pociechy w książkach lub w czasopiśmie. Ostatnie lata życia spędził w nędzy, podupadając na zdrowiu, wyszydany przez innych więźniów. Zmarł zimą 1944 roku. Lecz nawet na łożu śmierci Peter Bender nie wyrzekł się swoich wierzeń o Pustej Ziemi.

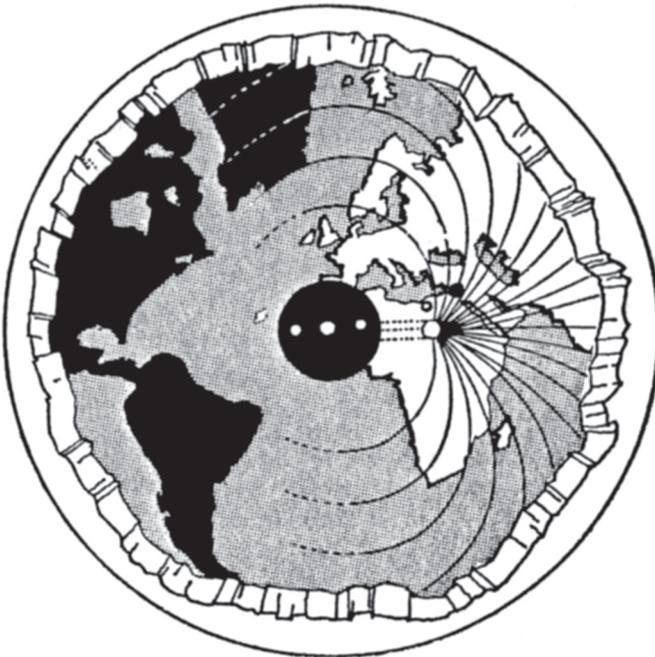
Zresztą teoria „Widmowego Wszechświata” nie umarła razem z nim. Testy przeprowadzone w kwietniu 1942 roku nie były tak beznadziejne, jak wtedy uznano. Nigel Pennick zwrócił na to uwagę w książce *Hitler's Secret Sciences* (Tajne nauki Hitlera, 1981):

Eksperymenty z promieniami podczerwonymi na Rugii nie zawiodły całkowicie, gdyż stały się podstawą systemu wykrywania okrętów, który Niemcy usiłowali zainstalować w Cieśninie Gibraltarskiej, by monitorować alianckie transporty. W ostatnich latach II wojny światowej na Rugii znajdowała się stacja radarowa śledząca pociski rakietowe wystrzeliwane z Pennemünde.

Nazwisko Petera Bendera również przetrwało. W 1948 roku pewien niemiecki zwolennik *Die Hohl Welt Lehre*, Karl E. Neupart, wydał serię ulotek, w których stwier-

dzał, że wierzy w żywotność tej doktryny i geniusz jej orędownika. Egzemplarze tych ulotek nadal krążą wśród małej grupy Europejczyków, którzy wierzą, jak Bender, że nasz świat jest kulą uwięzioną w litej skale; książkę Neuparta *Geokosmos* (1953) uważa się za najważniejsze opracowanie tego tematu. W latach 50. w Garmisch-Partenkirchen w Niemczech powstało Stowarzyszenie Badań Geokosmicznych, które ponownie przyjęło teorie Tweeda i jego następców oraz opublikowało własną mapę wydrążonego globu.

Najważniejszym punktem programu Stowarzyszenia Badań Geokosmicznych było twierdzenie, że Ziemia rozciąga się nieskończenie we wszystkie strony. Nie ma ukrytego centralnego słońca, ale znane wszystkim Słońce, które w połowie jest jasne i w połowie ciemne. Słońce to jest stacjonarne, natomiast wewnątrz Ziemi obraca się w ciągu 24 godzin, powodując nastanie nocy i dnia. W jednej ze swych publikacji stowarzyszenie oświadczyło tonem, który na pewno zyskałby uznanie Tweeda: „Ludzkość może tylko na tym zyskać, jeśli uzna, że żyje w zamkniętej przestrzeni i że jednocześnie tkwi w Kosmosie”.



Ziemia jako pusta w środku glob według Niemieckiego Stowarzyszenia Badań Geokosmicznych

Powróćmy jednak do eksperymentów na Rugii. Wprawdzie oznaczały one definitywny koniec zainteresowania Hitlera teorią Pustej Ziemi, nigdy jednak nie opuściło go obsesyjne zamięłowanie do okultyzmu. To, jak wykazała historia, przyczyniło

się do jego ostatecznego upadku. Jednakże opowieści o Pustej Ziemi nie odstępowały Hitlera i innych dostojników Trzeciej Rzeszy aż do końca wojny. Jedną z nich dotyczy grupy nazistów, którzy przygotowali „Operację Odessa”, by ułatwić sobie ucieczkę z Niemiec, kiedy stało się jasne, że wszystko stracone. Jeden z planów przewidywał, że flota łodzi podwodnych zabierze Hitlera i jego najbliższych współpracowników do bazy umieszczonej pod czapą lodową na biegunie południowym. Tam byliby bezpieczni i może mieliby czas na zbadanie informacji o wejściu do świata podziemnego. Oczywiście nie taki romantyczny los przypadł Hitlerowi w udziale, ale nędzna, samobójcza śmierć w oblężonym bunkrze w sercu Berlina.

Ciekawe *post scriptum* do tej historii zaprowadzi nas całkiem naturalnie do następnego wielkiego wydarzenia w zagadce Pustej Ziemi. W 1938 roku Hitler wysłał trzy samoloty do Antarktyki, gdzie miały one przelecieć nad obecną Ziemią Królowej Maud. Ich załogom polecono założyć bazę, a potem upuścić chorągiewkę ze swastyką nad tym terytorium i objąć je w posiadanie w imieniu Niemiec. Miało się nazywać Neue Schwabenland (Nowa Szwabia).

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się oczywiste, że Hitler był częściowo zainteresowany dodaniem nowych ziem do swego imperium i częściowo tym, co się działo w tych dalekich stronach.

Albowiem w Niemczech snuto spekulacje o „zaginionych miastach” na Antarktydzie, w zdumiewający sposób ogrzewanych przez wykorzystanie aktywności wulkanicznej. Niemieccy archeolodzy kierowali ekspedycjami na ten zamierzony kontynent w latach 1873, 1901 i 1911, a wzrost zainteresowania starożytnymi mitami w erze Hitlera – zwłaszcza tymi, które mówiły, że obszar bieguna południowego mógł niegdyś stanowić część Atlantydy – przygotował grunt dla dodatkowych misji badawczych.

Niestety, nie ma żadnych świadectw źródłowych o tym, co się stało z tymi Niemcami i z ich misją. Krążą pogłoski o założeniu tam tajnej bazy U-bootów, która działała aż do końca wojny. Nie ma jednak dowodów, że niemieccy badacze odkryli cokolwiek w tym osnutym legendami kraju, choć Nigel Pennick znacząco skomentował ów epizod:

Może ta najdalej na południe położona nazistowska baza była ostatnim przyczółkiem Trzeciej Rzeszy? Kilka lat po jej upadku ekspedycja wojskowa pod wodzą admirała Byrda opuściła Stany Zjednoczone i skierowała się właśnie na to terytorium, które teraz należy do Norwegii. Meldunki o stratach lotnictwa amerykańskiego stwierdzały otwarcie: „zniszczone przez nieprzyjaciela”. Słynny teraz lot Byrda, który, jak się mówi, znalazł się nad nie objętym mapami obszarem będącym wejściem do „świata wewnętrznego” Pustej Ziemi, odbył się właśnie wtedy. Może kontynuował on badania nazistów, gdyż ich zainteresowanie teorią Pustej Ziemi jest dobrze znane. Nawet jeśli nie dotarł nad nieznane ziemie, zniekształcona relacja o jego podróży do Pustej Ziemi mogła zrodzić się pod wpływem nazistowskich dokumentów zdobytych podczas tej ekspedycji.

W rzeczywistości od dnia, w którym Pennick napisał te słowa, wyszło na jaw znacznie więcej dowodów świadczących, że admirał Richard Byrd rzeczywiście wleciał do świata wewnętrznego. Dowody te zawarte są w jego dziennikach pokładowych i w pamiętnikach, a niektóre z nich do niedawna były okryte tajemnicą. Opisują one podróż równie interesującą, jak podobna morska wędrówka Olafa Jansena.

Tajny dziennik pokładowy admirala Byrda

Ci, którzy spotkali kontradmirała Richarda Byrda, opisywali go jako typowego, całkowicie amerykańskiego bohatera. Wysoki, przystojny, z jasnymi, kręconymi się włosami, często śmiał się i uśmiechał. Ten miłośnik przygód nigdy nie ustępował przed wyzwaniem i zawsze skromnie mówił o swoich dokonaniach, choć doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia reklamy dla realizacji własnych celów. Jako znakomity oficer marynarki i doskonały pilot nie miał jednak wybujałej wyobraźni: przestworza morza i nieba, w których spędził część życia kształtującą jego charakter, wybiły mu to z głowy. Był prostolinijny we wszystkim, co robił, inspirował wszystkich, którymi dowodził, i precyzyjnie opisywał swoje przeżycia, choćby najdziwniejsze. Będąc już marynarzem i lotnikiem, Byrd stał się też podróżnikiem-badaczem i dzisiaj najlepiej pamięta się jego dalekosiężne loty nad Atlantykiem, jego dobrze zorganizowane wyprawy na Antarktydę i fakt, że przeżył samotnie całą zimę w pobliżu bieguna południowego – jednym słowem, wszystkie wyczyny, które dostarczyły bezcennych informacji dla jego następców.

A przecież ten wytrzymały i pomysłowy człowiek, który na własnej skórze odczuł wpływ skrajności klimatycznych na krańcach Ziemi, jest inną kluczową postacią w zagadce Pustej Ziemi. Albowiem źródła wskazują, że admirał Byrd dwukrotnie wleciał do „świata wewnętrznego” przez bieguny i pozostawił opis swoich przeżyć, który jest równie zadziwiający jak relacja Olafa Jansena, choć opowiedziany z całym innej perspektywy.

Swoje pełne niebezpieczeństw życie badacza i podróżnika Richard Evelyn Byrd opisał w prosty, racjonalny sposób w swych dwóch książkach *Discovery* (Odkrycie, 1935) i *Alone* (Samotny, 1938). Lecz historia jego zdumiewających lotów w Arktyce i nad Antarktydą wciąż owiana jest tajemnicą i pełna pytań bez odpowiedzi. Dziennik pokładowy z tych lotów pozostaje „niedostępny” mimo wielokrotnie powtarzanych prośb do nowojorskiego urzędu Naval Research. Po śmierci Byrda w 1957 roku, pamiętnik, w którym opisał inne dziwne przeżycia podczas przelotów nad strefami polarnymi, zabrało US Naval Intelligence Bureau w Waszyngtonie i utajniło przed

uczonymi oraz opinią publiczną. Jednakże dzięki pomocy pewnego kolegi-badacza Pustej Ziemi zdobyłem wyjątki z najważniejszych fragmentów obu dokumentów, które pozostały tajemnicą przez prawie pół wieku. Ich zawartość, jak się państwo przekonacie, zdumiewa.

Byrd urodził się w Winchester w Wirginii 25 października 1888 roku i po skończeniu University of Virginia oraz US Naval Academy nauczył się latać w bazie sił powietrznych marynarki amerykańskiej w Pensacola na Florydzie. Początkowo odbywał loty treningowe na hydroplanach – co prowadziło do klęski sporą liczbę młodych pilotów – ale Byrd przetrzymał wszystko i zdobywszy odpowiednie kwalifikacje, służył z wyróżnieniem podczas I wojny światowej. Później odegrał ważną rolę w rozwoju przyrządów nawigacyjnych do podróży transatlantyckich i rozpoczął karierę polarnika w roku 1924, kiedy został dowódcą małej eskadry lotniczej marynarki amerykańskiej wysłanej do zbadania zachodniej Grenlandii. Wzbudziło to w nim ambicję, by jako pierwszy człowiek przelecieć nad biegunem północnym. 9 maja 1926 roku wyleciał w trzysilnikowym monopłanie Fokker-3 z Kings Bay na Spitsbergenie. Wtedy właśnie spojrzął z góry na obszar, z którym jego imię miało na zawsze pozostać nierozzerwalnie związane. Jego późniejszy opis tego lotu w książce *Skywar* (Podniebna wojna, 1928) jest brzemienny we wnioski:

Nieznane znajdowało się przed nami, przez godzinę przelatywaliśmy przez niezbadane obszary o powierzchni prawie 16 tysięcy kilometrów kwadratowych i doświadczyliśmy nie dającego się z niczym porównać zadowolenia z poszukiwań nowego lądu. Czas i przestrzeń znalazły się w stanie kompletnego rozgardiaszu, gdy zbliżyliśmy się do bieguna... i tu, i tam, zamiast napierających na siebie pół lodowych, ujrzyliśmy wąski „kanal” z zielonkawoniebieską wodą na tle bieli śniegu. Raz, na chwilę, pomyliłem daleką, niewyraźną, nisko wiszącą nad ziemią chmurę z górskimi szczytami odległego lądu.

Co w rzeczywistości zobaczył Byrd tego majowego dnia? Otwarta, wolna od lodu woda była z pewnością zaskoczeniem, ale dojrzał on też przelotnie poza biegunem coś, czego nigdy dotąd nie widziano, a tylko wspomniano od starożytności. Bez względu na to, po powrocie do Stanów Zjednoczonych stał się bohaterem narodowym, mianowano go kontradmirałem i przyznano mu US Congressional Medal of Honor. Jednakże niektóre autorytety uznały, że punkt kulminacyjny jego lotu mógł być iluzją, jak wyjaśnia Richard Montague w *Oceans, Poles and Airmen* (Oceany, bieguny i lotnicy, 1981): „Na początku lat 70. zrodziły się wątpliwości co do tych zapisków i do twierdzenia Byrda, że w ogóle dotarł do bieguna”.

Czy jest to pierwsza aluzja do spisku mającego na celu ukrycie tego, co zobaczył lotnik? Byrd ze swej strony nigdy nie wątpił w niezwykle zjawiska, których był świadkiem i zawsze o nich pamiętał podczas następnych wypraw polarnych.

Jesienią 1928 roku, po „rozgrzewającym” locie przez Atlantyk ze wschodu na zachód w czerwcu 1927 roku, Byrd ogłosił, że zamierza udać się na drugą półkulę i przelecieć nad nieznanymi rejonami Antarktydy. Dzięki swej sławie i umiejętności

autoreklamy otrzymał wsparcie finansowe od takich bogatych Amerykanów, jak Ford i Rockefeller i potok wpłat od wielbicieli; suma przekroczyła 400 tysięcy dolarów. W oparciu o te fundusze poprowadził dużą i dobrze wyekwipowaną ekspedycję, by założyć bazę na frontowej ścianie Ross Ice Shelf. Nazwał ją, z pobudek patriotycznych, „Małą Ameryką”. Jeszcze raz niespodzianki czekały na Byrda, gdy wzbił się w powietrze 29 listopada 1929 roku. Opisał je w wydanej w roku 1931 książce *Little America: Aerial Exploration in the Antarctic and the Flight to the South Pole* (Mała Ameryka: lotnicze badania Antarktydy i lot do bieguna południowego):

Ten istniejący tylko w wyobraźni punkt, biegun południowy, to białutne miejsce. Łączą się w nim wszystkie południki i strefy czasowe. Osoba tak pechowa, że musiałaby mieszkać w jego pobliżu, miałaby trudności z ustaleniem, jakiego czasu powinna się trzymać. Kierunki, tak jak je rozumiemy, również nic by nie znaczyły dla tej nieszczęsnej istoty. Gdyż jeśli nie wędrowałaby ona na północ lub na południe, nie mogłaby iść w linii prostej i nadal w tym samym kierunku. Zmieniałaby kierunek w widoczny sposób co kilka minut i chcąc iść tam, dokąd zmierzała, musiałaby iść po spirali.

Kiedy Byrd przeleciał nad dolnym krańcem świata, doświadczył nowych, dziwnych zjawisk i odczuć.

Ze wszystkich lotów, jakie odbyłem, żaden nie był tak podniecający i tak pożyteczny. Widmo zbliżającego się dramatu ocieniało każdy przeleciany kilometr. Północ, wschód, południe i zachód – tego wszystkiego nie widział, nie przebył i nie poznał żaden człowiek. Niewyraźne kształty zamajaczyły we mgle na południowym wschodzie, wskazując na bliskość lądu. W dziwnej, charakterystycznej dla Antarktydy złej widzialności przypominały kształtem egipskie piramidy. Wydawało się to nam bardzo ważne, a przecież nie mogliśmy się cieszyć. Natura wykonała swoje dzieło na tak wielką skalę i z tak nieskończenie wielką mocą, że mogliśmy tylko wpatrywać się nie z otwartymi ustami i powiedzieć: „O, do licha!” Albowiem ujrzeliśmy tu epokę lodowcową w całej jej potęgze. Widzieliśmy zduszony i przygnieciony lodem kontynent. Była to martwa pustynia zrodzona z jednego z największych zlodowaceń, jakie kiedykolwiek знаła Ziemia. Patrzac na Antarktydę, nie chciało się wierzyć, że kiedyś miała ona ciepły klimat i żyzną ziemię, z własnymi roślinami i wysokimi drzewami.

Kontradmirał Byrd i jego nawigator Lloyd K. Grenlie jeszcze kilkakrotnie przelecieli nad Antarktydą tamtej zimy, odkrywając łańcuch wysokich gór, którym nadali nazwę Rockefeller Mountains na cześć sponsora ekspedycji, i spory, nieznany dotąd obszar nazwany Ziemią Marie Byrd od imienia żony pilota. Najwidoczniej wyruszyli też po raz drugi w pobliże bieguna południowego, choć fakt ten nie został wyraźnie wymieniony w książce Byrda. Informację o tym locie można znaleźć w pracy

F. A. Gianniniego *Worlds Beyond the Poles* (Światy za biegunami, 1959), w których przytacza on informacje z kroniki filmowej:

Tego roku [1929] w kinach Ameryki oglądano kronikę filmową, w której omówiono oba loty. Ukazywała ona również fotografie „ziemi poza biegunem południowym z jej górami, drzewami, rzekami i wielkim zwierzęciem, które zidentyfikowano jako mamuta”. Dzisiaj ta kronika zapewne już nie istnieje, choć setki osób pamięta, że ją widziało.

Na własne oczy ujrzeli oni utrwalone na taśmie filmowej obrazy dowodzące, że ów nieznan, nie zaznaczony na mapach ląd, którego istnieniu obecnie się zaprzecza, naprawdę tam jest.

Gianinni utrzymywał, że Lloyd Grenlie potwierdził te fakty w rozmowie z jednym z sąsiadów w Nelsonville, w stanie Wisconsin, na kilka lat przed swoją śmiercią w czerwcu 1970 roku. Autor powiedział też, iż istnienie owej kroniki filmowej potwierdziła pewna liczba listów od ludzi, którzy ją widzieli. Zacytował jeden z nich, napisany przez panią Dorothy E. Grafton z Nowego Jorku.

W sprawie: lotów admirała Byrda na biegun południowy i co zobaczył we wnętrzu Ziemi na biegunie południowym. Nikt nie wspomina filmu dokumentalnego, który Byrd nakręcił podczas tego lotu i który wyświetlano w kinach w całych Stanach Zjednoczonych wkrótce po jego powrocie do kraju. Moja siostra i ja widziałyśmy ten film w White Plains w Nowym Jorku. Sam Byrd był narratorem w tej kronice filmowej i wykrzyknął ze zdumienia, gdy zbliżył się do ciepłego jeziora otoczonego drzewami iglastymi; wśród tych drzew poruszało się jakieś duże zwierzę. Na filmie pokazano też coś, co Byrd opisał jako „góre węgla iskrzącą się od diamentów”.

Jednak mimo tajemnicy otaczającej ten lot nie ulega wątpliwości, że Byrd powrócił do Małej Ameryki po raz drugi w roku 1933, by zbadać i nanieść na mapę nowe terytorium. Między marcem i sierpniem 1933 roku spędził też pięć miesięcy samotnie w chacie na stacji meteorologicznej Bolling Advance Base, odległej o około 200 kilometrów od Małej Ameryki. Wytrzymał tu tak niskie temperatury jak minus 42 stopnie Celsjusza i kiedy w końcu go wyratowano, cierpiał na odmrożenia i zatrucie tlenkiem węgla, przez które omal nie stracił życia. Książka *Alone* szczegółowo opisuje te wydarzenia.

Choć ten wyczyn wymagał wielkiej odwagi, jeszcze dziwniejsze wydarzenia czekały tego nieustraszonego podróżnika po II wojnie światowej. Podczas działań wojennych Byrd otrzymał niezbyt eksponowane stanowisko członka dowództwa operacyjnego marynarki wojennej. Później w 1946 roku mianowano go kierownikiem programu nazwanego „Operacja Wysoki Skok”, rzekomo po to, by kontynuować tworzenie map biegunów. Jednak, jak przypuszcza Nigel Pennick, możliwe, iż poproszono go, aby sprawdził, czy naziści nie ukrywają się gdzieś w tych stronach. W lutym 1947 roku, przed odlotem do Arktyki, Byrd znów udzielił wywiadu prasie, zapoznając ją ze swymi

planami. Miał powiedzieć: „Chciałbym zobaczyć krainę poza biegunem [północnym]. Ten obszar jest centrum Wielkiego Nieznanego”.

Według oficjalnych źródeł amerykańskich, podczas późniejszego siedmiogodzinnego lotu przez Atlantyk Byrd „przeleciał 2735 kilometrów i wrócił z bardzo pożytecznymi danymi”. Dlaczego jednak nie ma dostępu do bardziej szczegółowych informacji o tym locie, który najwyraźniej był kolejnym kamieniem milowym w eksploracji stref polarnych?

I, co wydaje się jeszcze dziwniejsze, dlaczego Byrd, który wyruszył z tak wielkimi nadziejami na zobaczenie „centrum Wielkiego Nieznanego”, do końca życia nic nie powiedział o tej podróży?

Jeżeli uznamy za autentyczny egzemplarz dziennika pokładowego Byrda uzyskany przez Hollow Earth Society z Australii, okaże się, że sprawdziły się jego nadzieje zobaczenia krainy poza biegunem. Wprawdzie ten długi dokument zaopatrzonej jest w adnotacje, ale wyjątki, które przytaczam poniżej, napisane są w typowym dla Richarda Byrda stylu i języku. Czytelnik sam osądzi, czy są one autentyczne, czy też nie.

Dziennik lotu – Camp Arctic, 19 lutego 1947

W dole obrzymia przestrzeń śniegu i lodu. Zauważyłem żółtawe zabarwienie. Tworzy ono linearne wzory. Zmieniam kurs dla lepszego zbadania tych kolorowych wzorów. Jest też czerwonawopurpurowy kolor. Dwukrotnie okrążam ten obszar i wracam do poprzedniej pozycji wskazanej przez kompas. Znowu sprawdzam pozycję komunikując się z bazą. Przekazuję informacje o dziwnym zabarwieniu w lodzie i śniegu w dole(...)

Kompas magnetyczny i żyrokompas zaczynają wirować i kołysać się jak oszalałe. Nie możemy kierować się wskazaniem instrumentów. Ustalam pozycję według kompasu słonecznego, ale wszystko wydaje się w porządku. Stery zdają się reagować powoli, jakby niemrawo. Nic jednak nie wskazuje na oblodzenie(...)

W oddali widzę coś, co wygląda na góry. Minęło dwadzieścia dziewięć minut lotu, odkąd po raz pierwszy je zobaczyłem; nie, to nie złudzenie. To niewielki łańcuch górski, którego nigdy dotąd nie widziałem. Zniżam lot do 983 metrów(...)

Znowu napotykamy silną turbulencję. Przelatujemy nad nieznanymi górami nadal kierując się ku północy, o ile można to potwierdzić. Za górami dostrzegam coś podobnego do małej rzeki. To dolina, przez którą przepływa mała rzeka. Tutaj nie powinno być zielonej doliny. Tak, naprawdę jest tu coś nienaturalnego i nie w porządku(...)

Powinniśmy lecieć nad śniegiem i lodem. Z lewej burty widać wielkie lasy porastające zbocze góry. Instrumenty nadal wirują. Żyroskop oscyluje tam i z powrotem(...)

Zmieniam wysokość na 466 metrów i wykonuję ostry skręt w lewo, żeby lepiej się przyjrzeć dolinie w dole. Jest zielona albo od mchów, albo od niskiej, gęsto rosnącej trawy. Światło w tym miejscu wydaje się inne niż zwykle. Już nie widzę słońca(...)

Jeszcze raz skręcamy w lewo i dostrzegamy w dole jakieś duże zwierzę. Wygląda jak słoń. Nie, bardziej przypomina mamuta. To niewiarygodne, ale ono tam jest. Zni-

zam samolot do 333 metrów i biorę lornetkę, by lepiej przyjrzeć się zwierzęciu – rzeczywiście podobne jest do mamuta. Melduję o tym do obozu-bazy (...)

Napotykam więcej falistych zielonych wzgórz. Zewnętrzny termometr wskazuje 41 stopni Celsjusza. Kontynuujemy lot w tym samym kierunku. Instrumenty nawigacyjne wydają się teraz działać normalnie. Zaintrygowało mnie ich dziwne zachowanie. Próbuje skontaktować się z obozem-bazą. Radiostacja nie funkcjonuje. Okolice jest bardziej równa niż normalnie, jeśli mogę tu użyć tego słowa. Z przodu widzimy coś, co wygląda jak domy. To niemożliwe! Samolot wydaje się lekki i dziwnie elastyczny. Stery nie działają (...)

Znowu szarpnąłem stery. Nie zareagowały. Silniki naszego samolotu wyłączyły się i rozpoczyna się podchodzenie do lądowania. Zniżamy się powoli i lądujemy tylko z lekkim podskokiem. Pośpiesznie dokonuję ostatniego zapisu w dzienniku lotu. Nie wiem, co się teraz stanie (...)

Czy jest to prawdziwa relacja, czy tylko wersja przypisywana Byrdowi? Badacze Pustej Ziemi, którzy poddali dogłębnej analizie ten dziennik pokładowy, nie są zgodni. Jedni wierzą, że rzeczywiście jest to opowieść o podróży poza biegun i przez otwór na biegunie do Pustej Ziemi, do ukrytych we wnętrzu naszej planety gór, jezior, rzek, roślinności i różnych form życia, jak utrzymują starożytnie legendy. Inni jednak są bardziej podejrzliwi, ponieważ w dzienniku jest fragment mówiący o tym, że po wylądowaniu Byrd spotkał grupę wysokich blondynów, którzy mówili po angielsku „z lekkim skandynawskim lub niemieckim akcentem” i powitali go słowami: „Admirale, witaj w naszej krainie – jesteś tu bezpieczny”. Później podróżował w dziwnym pojeździe w kształcie dysku „ze znakami podobnymi do swastyki” i oprowadzono go po świecie wewnętrznym, gdzie zwiedził „świecące miasto, które wydawało się zbudowane z kryształu”. Później Byrdowi pozwolono wrócić do samolotu i polecono przekazać posłanie mieszkańcom powierzchni Ziemi o niebezpieczeństwach, jakie im zagrażają, jeśli będą kontynuować doświadczenia z bronią jądrową. Badacze, którzy znali opowieści o nazistach i o ich tajnych bazach na biegunach doszli do wniosku, że ten incydent za bardzo je przypomina, by był prawdziwy.

Dokument ten jednak zawiera jeszcze jeden zapis z 11 marca 1947, który, co wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, jest dziełem Byrda:

Właśnie złożyłem sprawozdanie i przekazałem mój dziennik pokładowy. Zatrzymano mnie na kilka godzin i przesłuchuje mnie zespół złożony z wojskowych i lekarzy. To była ciężka próba. Znalazłem się pod ścisłą kontrolą Federalnego Biura Śledczego. Rozkazano mi milczeć o wszystkim, co zobaczyłem. To niewiarygodne! Przypomniano mi, że jestem żołnierzem i że muszę słuchać rozkazów.

W 1955 roku Byrdowi znowu „rozkazano” powrócić na biegun południowy i kontynuować opracowywanie map tego obszaru. Pomimo restrykcji, jakie wobec niego zastosowano, kontradmirał przemówił do prasy przed wypłynięciem na Antarktydę

na lotniskowcu „Philippine Sea” w listopadzie 1955 roku. Powiedział wtedy: „To jest najważniejsza ekspedycja w historii świata”.

A przecież oficjalne oświadczenie o tym zadaniu ponownie było tak krótkie, że aż banalne: „Kontradmiral Byrd dokonał drugiego przelotu nad biegunem południowym i wziął udział w kilku innych lotach. Ogółem odkryto i naniesiono na mapę 703133 kilometry kwadratowych terytorium Antarktydy”.

Komunikat ten całkowicie ignoruje bardziej szczerze oświadczenie wydane z Małej Ameryki 14 stycznia 1956 roku i później wydrukowane w wielu gazetach w Stanach Zjednoczonych i na świecie: „13 stycznia członkowie ekspedycji amerykańskiej przelecieli 4344 kilometry z bazy na McMurdo Sound, która oddalona jest od bieguna południowego o 643 kilometry, i dotarli do obszaru rozciągającego się na 3700 kilometrów poza biegun południowy”.

Rzut oka na mapę świata natychmiast ujawni sprzeczność w tym raporcie. Antarktyda otoczona jest wodą i nie można przebyć 3700 kilometrów bez przelotu nad oceanem. Gdzie więc mogło znajdować się to terytorium, jak nie we wnętrzu Pustej Ziemi?

13 marca, po powrocie z bieguna południowego, Byrd, przynajmniej publicznie, zachowywał ostrożność, choć powitano go jako „największego polarnika na świecie”. Ostatnia ekspedycja, powiedział, „odkryła nowe, wielkie, terytorium” i dodał lirycznie o „zaczarowanym kontynencie w niebie, krainie wiecznej tajemnicy”.

Jednakże zainteresowanie odkryciami Byrda zmalało niemal równie szybko, jak się zrodziło, gdyż gazety, radio i kroniki filmowe zajęły się innymi sprawami, bliższymi Amerykanom. Jeżeli kontradmiral odkrył świat wewnętrzny, który mógłby na zawsze zmienić postrzeganie Ziemi przez ludzkość, media, jak się wydawało, znalazły ciekawsze tematy. Ale czy rzeczywiście? Doktor Raymond Bernard w swojej broszurze *The Hollow Earth* (Pusta Ziemia, 1969) uważa, że istnieje inne wyjaśnienie tej „obojętności”:

Odkrycie admirała Byrda jest dzisiaj największą międzynarodową tajemnicą i trwa to od roku 1947. Po nadaniu przez Byrda komunikatu radiowego z samolotu i po krótkiej kampanii prasowej, wszystkie późniejsze informacje na ten temat zostały starannie zatuszowane przez agencje rządowe. Wyjaśnienie jest oczywiste. Załóżmy, że admirał Byrd dokonał doniosłego odkrycia, bez wątpienia największego w historii, nowego, nieznanego, prawdopodobnie wielkiego lądu, nad którym jego ekspedycja przeleciała ponad 6436 kilometrów nad każdym z biegunów, i który jest prawdopodobnie równie szeroki jak długi. A ponieważ Byrd zawrócił przed dotarciem do końca tego lądu, jego powierzchnia zapewne przekracza 6436 kilometrów kwadratowych. Dlatego w interesie rządu amerykańskiego leży utrzymanie tego odkrycia w tajemnicy, by inne narody nie dowiedziały się o tym terytorium i nim nie zawładnęły.

Bez względu na to, czy kontradmiral Richard Evelyn Byrd był ofiarą teorii spiskowej, czy też nie, zakończył swoją karierę obwieszony medalami i nagrodzony pochwałami za wyprawy polarne i wzorową postawę. Kiedy umarł w Bostonie 11 marca 1957

roku, władze uczciły go jako bohatera narodowego i został pogrzebany na Arlington National Cemetery w Wirginii, ze wszystkimi honorami wojskowymi. Zabrał jednak ze sobą do grobu tajemnicę tego, co w istocie zobaczył przelatując nad biegunami. Ostatni fragment jego pamiętnika nie odpowiada na wszystkie te pytania, wskazuje jednak, że Byrd uważał, iż w Arktyce i na Antarktydzie jest coś więcej niż bezkres zamrożonego śniegu:

24 grudnia 1956. Ostatnie kilka lat od 1947 roku nie były dla mnie tak pomyślne. To ostatni zapis w tym szczególnym pamiętniku. Kończąc, muszę stwierdzić, że dotrzymałem słowa i dochowałem tajemnicy przez te wszystkie lata zgodnie z rozkazami. Było to całkowicie sprzeczne z moimi wartościami i zasadami moralnymi. Teraz wydaje mi się, że wyczuwam nadejście długiej nocy i że tajemnica ta nie umrze wraz ze mną, ale zatriumfuje, jak zawsze triumfuje prawda. To jest jedyna nadzieja dla ludzkości. Widziałem to i podniosło mnie na duchu i uczyniło mnie wolnym. Zadośćuczyniłem moim obowiązkom wobec monstrualnego kompleksu militarno-przemysłowego. Teraz długa noc Arktyki dobiega końca, jasne słońce prawdy znów zaświeci i ci, którzy służą ciemności, poniosą klęskę. Albowiem widziałem kraj poza biegunami, centrum Wielkiego Nieznanego.

Pod spodem widnieje nagryzmołony, dobrze znany podpis „Richard E. Byrd, marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych”.

Dziury w szczycie świata

Do najciekawszych dowodów w zagadce Pustej Ziemi zalicza się cztery zdjęcia bieguna północnego zrobione z Kosmosu. Ukazują one okrągły otwór tam, gdzie powinna znajdować się czapa lodowa. Trzy z nich zrobiły w latach 1967-1968 satelity na orbicie, a czwartą, z kwietnia 1972, astronauta Apollo 16 w drodze na Księżyc. Wszystkie one stały się przedmiotem zacieklej dyskusji i spekulacji – czy rzeczywiście ukazują wejście do świata wewnętrznego, czy też tylko kiepskie warunki atmosferyczne? Ponieważ mogą to być ważne dowody, odbitki dwóch najbardziej znaczących zdjęć zamieściłem we wkładce

Dwa pierwsze zdjęcia kamery satelitarnej zrobiły w styczniu i w listopadzie 1967 roku. 6 stycznia amerykański satelita meteorologiczny ESSA-3, zbliżając się do końca swojej „podróży służbowej”, gdyż zrobił ponad półtora miliona zdjęć, dostarczył ujęcie bieguna północnego na którym cały ten rejon, zamiast normalnej masy białych chmur, zasłania czarna, niewyraźna plama. 18 listopada tego samego roku kamera satelity ATS-III, z dogodnego punktu nad równikiem, sfilmowała coś, co wyglądało jak wielki, ciemny krater tam, gdzie normalnie powinno być widoczne Koło Arktyczne. Choć oba zdjęcia były ciekawe, nie wzbudziły zainteresowania urzędników ESSA (US Environmental Science Service, Amerykańskie Biuro Badań nad Środowiskiem) w Waszyngtonie, którzy „odłożyli je na półkę” wraz z milionami innych. Dopiero kiedy pojawiła się trzecia fotografia tego rejonu Arktyki, znacznie bardziej szczegółowa, zaczęto wierzyć, że wydarzyło się coś niezwykłego.

Trzecie zdjęcie było jednym z mnóstwa innych przesłanych drogą radiową z satelity ESSA-7 23 listopada 1968 roku, kiedy okrążył on Ziemię filmując zmieniające się warunki pogodowe (dane urzędowe wskazują, że podczas 481 dni spędzonych w Kosmosie, ESSA-7 ogółem zrobił 39953 zdjęcia Ziemi, zanim został wyłączony). Wszystkie inne fotografie ukazują zwyczajne, wirujące chmury nad wielkimi kontynentami i oceanami naszego świata. Ale ta anomalia, jak się uważa, to chwila, kiedy gruba zazwyczaj warstwa chmur nad biegunem północnym rozeszła się na krótko, by pozwolić podniebnej kamerze sfotografować legendarne wejście do Pustej Ziemi.

Przez dwa lata nikt nie zwrócił uwagi na tę niezwykłą fotografię, aż odkrył ją jakiś badacz i – dzięki polityce wolności informacji prowadzonej przez ESSA – opublikował. Nic więc dziwnego, że kiedy zdjęcie to po raz pierwszy pojawiło się w czerwcu 1970 roku w periodyku „Flying Saucers”, wzbudziło sensację. Było to mistrzowskie posunięcie wydawcy tego czasopisma, Raya Palmera, który od lat popierał pewną liczbę kontrowersyjnych tematów badań naukowych, łącznie z ingerencją kosmitów, UFO i Pustą Ziemią.

Palmera, który zmarł w 1977 roku, nadal uważa się za jedną z najważniejszych postaci końca lat 40., kiedy zaczęło się rozwijać zainteresowanie zjawiskiem popularnie nazywanym „latającymi talerzami”. Był to człowiek o niezachwianych przekonaniach, który nigdy nie bał się polemik, i zawsze bronił się zawzięcie, gdy, co zdarzyło się kilkakrotnie, oskarżano go, że sfabrykował dowody, by dobrze sprzedać swoje książki czy czasopisma. Pod wieloma względami ulepiony był z tej samej gliny, co obecna grupa osób piszących o nie wyjaśnionych zjawiskach, takich jak Eryk von Däniken, Charles Berlitz i Graham Hancock. Determinacja, z jaką Palmer bronił się przeciwko tym, którzy go atakowali lub wyszydali jego poglądy, jest tym bardziej godna pochwały, że był niski i miał słabe zdrowie.

Raymond Artur Palmer – zwany przez przyjaciół „Rapem” – urodził się w Milwaukee w stanie Winconsin 1 sierpnia 1910 roku i w dzieciństwie cierpiał na różne choroby oraz ulegał wypadkom. W wieku siedmiu lat przetrącił sobie krzyż w wypadku samochodowym, spadł z dachu, gdy miał dziesięć, a kiedy dorósł, mierzył zaledwie sto czterdzieści centymetrów. Przykuty do łóżka na kilka lat w wieku, gdy kształtuje się osobowość dziecka, Ray szukał ucieczki w fantastyce naukowej, karmiąc wyobraźnię książkami Juliusza Verne’a, H. G. Wellsa i Edgara Rice Burroughsa, jak również pierwszym czasopismem zaspokajającym rosnące potrzeby w tej dziedzinie, „Amazing Stories”. Pomysły i koncepcje, którymi nabił sobie głowę, bez wątpienia zdecydowały o jego przyszłości. W 1930 roku wydał pierwsze pismo SF w Ameryce, „Comet”, a potem zaczął pisywać do „Amazing Stories” i rywalizujących z nimi „Astounding Stories” oraz „Wonder Stories”. Szybko zyskał sobie reputację w tej dziedzinie i w lutym 1938 roku zaproponowano mu stanowisko redaktora „Amazing Stories” chicagowskiego periodyku, który zainspirował jego życiową fascynację fantastyką.

To właśnie jako redaktor tego pisma Ray Palmer miał zdobyć markę, po pierwsze nadal publikując opowiadania Edgara Rice Burroughsa, a po drugie, drukując *Toast*, debiut pisarski legendarnego Isaaca Asimova. Co więcej, fascynowały go wszystkie tajemnicze zjawiska i wydarzenia, które opisywały książki Charlesa Forta. Wykorzystał więc swoje stanowisko, by poszukać wyjaśnienia dla niektórych z najdziwniejszych przypadków. Na przykład wierząc, że Jesse James nadal żyje, wysłał wielkiego detektywa Johna Shelvina, by schwytał tego przestępcę; a kiedy pilot Kenneth Arnold ukuł termin „latające talerze”, by opisać niezidentyfikowane obiekty, które zobaczył na niebie, to Palmer w 1952 roku został współautorem fundamentalnej pracy na ten temat, *The Coming of the Saucers* (Przybycie latających talerzy). Stało się to zaledwie w dwa lata po upadku, który sparaliżował go od pasa w dół, a lekarze błędnie uznali ten stan za

ostateczny. Obrócił go na swoją korzyść opowiadając, że kiedy ludzie widzieli go po raz pierwszy, niemal zawsze wołali: „Och, pan naprawdę jest tym Marsjaninem!”

Wprawdzie rzecznik lotnictwa Stanów Zjednoczonych oskarżył kiedyś publicznie Palmera o sfabrykowanie całej zagadki UFO jako kampanii reklamowej, ale ten szybko odpowiedział, że sam nie wierzy w popularne wyobrażenia o latających talerzach. „Ja naprawdę w nie nie wierzę”, powiedział periodykowi „Saga” w roku 1965, „a przynajmniej nie w powszechne rozumienie tego terminu, który opinia publiczna interpretuje jako synonim pojazdu kosmicznego obcych istot. Ja wierzę, że poza tajemnicą latających talerzy kryje się jakaś rzeczywistość – ale obecnie jej nie znamy”.

W 1949 roku zrezygnował ze stanowiska redaktora „Amazing Stories” i wrócił do ojczystego Winconsin, by założyć własne wydawnictwo. Tam, w Amherst, przekształcił budynek dawnej szkoły w kwaterę główną grupy czasopism: „Fate” (który kontynuował poszukiwania rozpoczęte przez Charlesa Forta), „Search”, „Space World” i „Rocket World” (wszystkie trzy zajmowały się przyszłością podróży kosmicznych i możliwością istnienia życia w Kosmosie) oraz „Flying Saucers”, w którym walczył o umożliwienie cywilom badania zagadki latających talerzy i często złościł i irytował świat nauki swymi stwierdzeniami. Niewiele z tych tematów wzbudziło więcej polemik niż przypadek „Dziury na szczycie świata”.

Palmer nie mógł zaakceptować pozaziemskiego pochodzenia UFO i był skłonny wierzyć, że mogą one przybywać ze znacznie mniejszych odległości niż międzygwiazdne. W 1968 roku napisał artykuł wstępny do „Flying Saucers”. w którym wyraził swoje zdanie w takich oto słowach:

Im bardziej zastanawiamy się nad teorią ich pozaziemskiego pochodzenia, tym trudniej jest to udowodnić. UFO pojawiało się na niebie od czasów prehistorycznych, a dzisiaj wydaje się, że obserwujemy prawdziwy natłok przybywających skądś obiektów. Trudno mi pojąć, że nasza planeta jest jedyną, która wzbudziła zainteresowanie pozaziemskich form życia. Dlatego moje przypuszczenie, że latające talerze pochodzą z Ziemi i że może kierować nimi jakaś starsza od naszej ziemskiej rasa, przenosi dyskusję na właściwy teren. Oczywiście, z perspektywy geografii, nasza własna atmosfera znajduje się znacznie bliżej niż Alfa Centauri!

Palmerowi wydawało się, że może istnieć jakiś związek między UFO i starożytną legendą o Pustej Ziemi, na temat której przeczytał pewną ilość publikacji. W innym artykule w tym samym roku powiedział, w jaki sposób pracuje jego umysł:

Nie mogę zaprzeczyć możliwości istnienia podziemnych kultur. Wzmianki o nich znajdują się w najbardziej prymitywnych tradycjach ustnych i we współczesnych relacjach.

Jeżeli Raymond Palmer miał nadzieję na znalezienie dalszych dowodów na poparcie tezy o istnieniu jakiegoś świata pod powierzchnią Ziemi, nie mógł się spodziewać czegoś takiego, jak zdjęcie zrobione przez ESSA-7, które trafiło na jego biurko. Oczywiście nie wiedział, że satelita ten zrobił je w roku 1968, ale odnalezienie ciem-

nego, okrągłego obszaru na biegunie północnym i wysłanie odbitki do Palmera wymagało bystrego oka badacza UFO w Waszyngtonie. Korespondent ten dołączył również dla porównania zrobione tego samego dnia zdjęcie bieguna północnego przesłoniętego chmurami. Autor listu dodał, że ta wyjątkowa fotografia nie była retuszowana. Widoczną na niej siatkę równoleżników i południków wydrukował automatycznie komputer po zrobieniu zdjęcia. Tworzy ona jego integralną część, która umożliwiła pracownikom Environmental Science Service dokładną identyfikację sfotografowanego obszaru (zdjęcie przedstawia około 40 procent powierzchni Ziemi i ukazuje część Ameryki Północnej, Grenlandię oraz niektóre rejony Azji).

Potwierdziwszy w Waszyngtonie, że zdjęcie to jest autentyczne, Palmer bez zwłoki opublikował je na okładce czerwcowego wydania „Flying Saucers” z roku 1970. Wewnątrz, w artykule wstępnym, oświadczył, że bez zastrzeżeń wierzy w prawdziwość tego ujęcia:

W ubiegłych latach obiektem najbezwzględniejszej krytyki była nasza teoria o dziurach w biegunach i Pustej Ziemi. Koronnym argumentem naszych przeciwników było twierdzenie, że żadne zdjęcie satelitarne nie ukazuje takiego otworu. Wprawdzie z orbity zrobiono pół tuzina zdjęć ukazujących ciemny obszar w tym rejonie, ale nie sposób było uznać ich za ostateczne rozwiązanie takiego zjawiska jak dziura w Ziemi. A teraz mamy takie zdjęcie!

Palmer uprzedził wszelkie oskarżenia, że jego teza oparta tylko na jednej fotografii nie jest wiarygodna, gdyż mogła ona być rezultatem defektu w kamerze lub którejś z jej soczewek, zamieszczając zdjęcia zrobione przez ESSA-3 i ATS-III odkryte w międzyczasie przez jego korespondenta w Waszyngtonie. Poniżej tych fotografii, które, na nieszczęście, nie są równie wyraźne jak zdjęcie zrobione przez ESSA-7, stwierdził stanowczo:

Gdyby informacje o UFO znajdowały się w supertajnej teczce, dane o miejscu ich pochodzenia na pewno też by tam były! A oprócz latających talerzy, istnienie dziur na biegunach tym bardziej zaliczono by do informacji tajnych specjalnego znaczenia. Dla wojskowych miałyby to wielkie znaczenie – zwłaszcza jeśli wewnątrz Ziemi jest zamieszkane, może przez rasę znacznie przewyższającą nas poziomem rozwoju nauki i techniki! Bardziej współczesne koncepcje powstawania planet przyjmują teorię „wiru”. Twierdzi ona, że ciała kosmiczne powstają dzięki ruchowi wirowemu w eterze, który gromadzi materię w swym środku, stopniowo ją powiększając, aż stanie się słońcem, planetą, księżycem lub kometa. Ten półkulisty obiekt ma typowy kształt wiru, takiego, jaki widać w wodzie spływającej ze zlewu z „dziurą w środku zawierowania”. Dlatego według tej teorii, popieranej przez licznych astronomów i fizyków, wiele planet nadal ma w swoim środku dziurę w centrum wiru, który je ukształtował.

Opinie, którymi powitano publikacje tych fotografii i artykuł wstępny Palmera były, jak się należało spodziewać, krańcowo różne. Cynicy zapytali: dlaczego w czasie, gdy

kilka linii lotniczych reklamuje fakt, że ich samoloty codziennie przelatują nad biegunem północnym, nikt nie zobaczył wielokrotnie tej tzw. „dziury” (w rzeczywistości loty nad strefami polarnymi rzadko mają miejsce w odległości mniejszej niż 240 kilometrów od bieguna geograficznego z powodu możliwych zakłóceń w funkcjonowaniu instrumentów nawigacyjnych). Inni czytelnicy nie chcieli wierzyć, że pokrywa chmur jest tam stale tak gęsta, iż możliwe było zrobienie tylko kilku takich zdjęć wśród milionów innych, i zażądali więcej danych. Jednak dla miłośników tego, co nieznanne i niezwykłe, zwłaszcza takich jak szanowany brytyjski badacz UFO Brinsley Le Poer Trench, autor wielu książek na ten temat, zdjęcie zrobione przez satelitę ESSA-7 stało się głównym dowodem w zagadce Pustej Ziemi.

Le Poer Trench (1911-1995), który był ósmym earlem Clancarty i przewodniczącym międzypartyjnej UFO-Study Group w Izbie Lordów, sam badał możliwość ziemskiego pochodzenia tych obiektów, o czym świadczą jego książki *The Flying Saucer Story* (Historia latających talerzy, 1966) i *Operation Earth* (Operacja Ziemia, 1969). Bardzo podniecony zdjęciem ESSA-7, powiedział londyńskiej gazecie „The Sunday Times” w październiku 1974 roku: „Jest to jedno z najbardziej podniecających i godnych uwagi zdjęć, jakie kiedykolwiek zrobiono, wyraźnie ukazujące wejście na biegunie północnym, którego ludzkość szukała od niepamiętnych czasów”.

Niektórzy czytelnicy napisali do „Flying Saucers” mniej pochlebne listy. Jeden z nich twierdził, iż zdjęcie to jest „fotomontażem” (Palmer temu zaprzeczył, a ESSA potwierdziło jego autentyczność), natomiast inny, który nazwał siebie operatorem radiowym pracującym w Arktyce, napisał, że wielu specjalistów rządowych przewędrowało cały ten obszar wzdłuż i w szereg „nie natrafiwszy na żaden ślad tej dziury”. Palmer ponownie chwycił za pióro, zarówno w obronie rewelacyjnego zdjęcia, jak i dla przytoczenia nowych, poważnych argumentów:

Ostatnio najbardziej fascynującym odkryciem w kole podbiegunowym było stwierdzenie, że kiedy zbliżamy się do bieguna północnego powierzchnia oceanu zaczyna się nachylać ukośnie ku północy. Obecnie każdy student ze szkoły wyższej wie, że całkowicie niezawodnym sposobem znalezienia równej płaszczyzny i zbudowania czegoś na niej jest użycie w tym celu powierzchni wody, która nigdy się nie przechyla. A dlaczego w odległości 1287 kilometrów od bieguna woda nagle zaczyna się przechylać w tym kierunku? Najwidoczniej grawitacja ma coś z tym wspólnego. Albo siła ciężkości nie działa już bezpośrednio w kierunku środka Ziemi, albo środek masy się przesuwa (czy poprzez fakt zsuwania się pod coraz większym kątem w zagłębienie, którego powierzchnia znajduje się pod kątem prostym do tego przemieszczenia środka ciężkości naszej planety?). W strefach polarnych dzieje się wiele dziwnych rzeczy, jak opisywali to badacze i podróżnicy – na przykład, że odległość między horyzontem ze wschodu na zachód jest większa niż pomiędzy jego odpowiednikiem z północy na południe – co tak oszołomiło Nansena – i musiałbym napisać bardzo grubą księgę, gdybym chciał przedstawić wszystkie fakty niemożliwe do wyjaśnienia bez teorii o dziurze na biegunie czyli Pustej Ziemi.

Później Palmer rzucił wyzwanie: „Mam bardzo ważne powody do opublikowania tej fotografii w moim miesięczniku. Nikt na świecie, kto kiedykolwiek przeczytał któreś z moich wydawnictw, nie może powiedzieć, że oszukałem go lub wyprowadziłem w pole. Dałem czytelnikom szansę zobaczenia tego na własne oczy – samodzielnego podjęcia decyzji – i odrzucenie lub udzielenie mi poparcia, jeśli mogą to uczynić”.

Czwarta i najświeższa fotografia dziury na biegunie północnym jest bardziej problematyczna, choć potencjalnie daje możliwość najbardziej podniecającego potwierdzenia teorii Pustej Ziemi. Jej pochodzenie oraz data wykonania są mniej pewne niż zdjęć z roku 1967 i 1968, została jednak szeroko rozpowszechniona i dyskutowano o niej w Internecie w ostatnich kilku latach.

Najbardziej popularny pogląd głosi, że zdjęcie to zrobiono z pokładu Apollo 16, wkrótce po starcie 20 kwietnia 1972 roku. Ta misja księżycowa zakończyła się 27 kwietnia tegoż roku, kiedy statek kosmiczny wraz z załogą bezpiecznie wylądował na Pacyfiku. Ogromna ilość zdjęć zrobionych przez członków tej wyprawy została później udostępniona mediom, ale wymienioną wyżej fotografię odkryto dopiero po kilku latach. Ukazuje ona całą Ziemię z okrągłym otworem w powłoce chmur zasłaniających biegun północny.

Zdjęcie zostało wywołane w Goddard Flight Centre w Nowym Meksyku, ale udostępnione w NASA Photographic Library dopiero w połowie lat 70. Można się tylko domyślać powodów takiego opóźnienia. Ponieważ jednak wszystkie materiały NASA są udostępniane opinii publicznej, także i tę fotografię wydrukowano i omówiono w kilku mających niewielki zasięg amerykańskich i australijskich publikacjach kontynuujących popularyzowanie idei Charlesa Forta. Mimo to opinia publiczna właściwie nie wiedziała o istnieniu tego zdjęcia, dopóki w roku 1996 nie zostało zamieszczone w Internecie na stronie „Obrazy Kosmosu”.

Od tego czasu fotografia ta przyciągnęła uwagę wieluset ciekawskich „gości”, nie wspominając już o długotrwałej polemice na temat jej autentyczności. Na zdjęciu powiększono i wyostrzono z pomocą komputera okolice bieguna północnego, a zamieszczona w mojej książce odbitka jest powszechnie dostępna. Ukazuje ona coś, co wygląda na całkowicie wolny od śniegu ład tuż poza krawędzią dziury. Tylko częściowo zasłonięte przez chmury są, jak się wydaje, fale oceanu wpadające do otworu wejściowego. Jeden z amerykańskich badaczy Pustej Ziemi skomentował fakt, że dziura ta ma kształt prawie idealnego koła. Zadał też sobie pytanie, czy takie niezwykle rozejście się chmur ponad nią może wskazywać, że poniżej, tuż pod nimi, znajduje się ciepłe powietrze – co już często sugerowano.

Oczywiście wszyscy „goście” „Obrazów Kosmosu” chcą wiedzieć, czy ta fotografia rzeczywiście jest prawdziwa i dlaczego utrzymuje się w tajemnicy tak wielkie odkrycie? Jan Lamprecht, który napisał tysiące słów na temat Pustej Ziemi, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Od dawna uważam – i wielu znenawidzi mnie za to, co teraz powiedziałem – że ufologia schodzi na psy. Ludzie gnają niewłaściwą drogą, obserwując Obszar 51,

szukając gadów, wypatrując kęgów na polach zboża i usiłując schwytać tajemnicze istoty okaleczające bydło. Niewiele pozostaje do ukrycia, gdyż szukają oni niewłaściwych rzeczy w niewłaściwych miejscach. Na początku dziejów ufologii badacze i rząd Stanów Zjednoczonych mieli równe szanse, ale uwieńczona powodzeniem rządowa kampania uciszania niewygodnych osób sprawiła, że jest to dzisiaj coraz mniej potrzebne. Faktem jest, że Ziemia jest pusta w środku i że wysoko rozwinięta cywilizacja może się znajdować na naszym progu. Rząd naprawdę interesuje się tylko tymi nielicznymi, którzy ośmielają się iść pod prąd i wierzyć w to. Są to jedyni ludzie, którzy rzeczywiście mają szansę zdekonspirować ten spiszek. Nie mam wątpliwości, że jeśli bardziej zbliżymy się do prawdy, rząd amerykański nie będzie przebierał w środkach.

Wprawdzie nie mogę z całym przekonaniem podpisać się pod raczej alarmistycznymi poglądami Jana Lamprechta, ale wierzę, że istnieją dowody na poparcie jego tezy, iż UFO pochodzą z wnętrza Ziemi. Tego samego zdania jest grupa innych badaczy, łącznie z Rayem Palmerem i Brinsleyem Le Poer Trenchem. Zebrane przeze mnie spostrzeżenia z obu biegunów również prowadzą do takiego wniosku.

UFO z Pustej Ziemi: Antarktyda

Pierwszy z serii latających obiektów „w kształcie cygara” widziano w ostatnim tygodniu lipca 1909 roku. Obiekty te poruszały się z „wielką szybkością” i widywano je zarówno w dzień, jak i w nocy, kiedy, najprawdopodobniej, dzięki światłom bijącym z ich wnętrza, ujrzało je wiele dziesiątków ludzi na ziemi. Przez następne sześć tygodni, aż do ostatniego tygodnia września, obserwowano niemal codziennie te tajemnicze zjawiska, aż zniknęły równie nagle, jak się pojawiły. Jeden aspekt tych odwiedzin, jeśli nimi były, pozostawał niezmienny: wszystkie UFO nadlatywały z południa lub powracały tam, gdzie, jak wiedział każdy naoczny świadek, znajdowała się nie zbadana, tajemnicza Antarktyda.

Te niezwykle wydarzenia, które miały miejsce dziewięćdziesiąt lat temu nad South Island w Nowej Zelandii, zwłaszcza nad miastem Invercargill, godne są uwagi z trzech powodów. Po pierwsze, w tym czasie jedynymi latającymi maszynami na świecie były sterowce hrabiego Zeppelina, który wypuścił swój pierwszy balon w Niemczech w roku 1900, i braci Wright, którzy wzbili się w powietrze w Kitty Hawk trzy lata później. Chociaż w Europie używano statków powietrznych od roku 1909, ich zasięg był ściśle ograniczony i żaden nie mógłby dolecieć do Nowej Zelandii – a tym bardziej latać tak szybko i tak zręcznie manewrować jak tamte tajemnicze obiekty! Po drugie, w 1909 roku jeszcze nie ukuto terminów „UFO” i „latające talerze” i takie niezwykle widoki na niebie przeważnie wyjaśniano jako zjawiska atmosferyczne, miraży lub złudzenia optyczne. A po trzecie, jest to najwcześniejsza zarejestrowana relacja mająca znaczenie dla tezy, że UFO, które widywano na całym świecie, mogą nie pochodzić z Kosmosu, jak wolałoby wierzyć wielu ekspertów, ale z Pustej Ziemi, do której wlatują i którą opuszczają przez otwory na biegunach. W tym rozdziale zbadamy liczące niemal sto lat dowody uzyskane od ludzi żyjących najbliżej Antarktydy, co doda wiarygodności tej hipotezie. W następnym zajmiemy się Arktyką.

Invercargill, gdzie rozpoczyna się ta opowieść, znajduje się nad Zatoką Bluff w najdalej wysuniętym na południe krańcu South Island. Po drugiej stronie zatoki

leży Stewart Island, podobna w kształcie do grotu strzały skierowanego bezpośrednio w stronę bieguna południowego. Wymieniana bywa jako punkt orientacyjny w pewnej liczbie relacji o obiektach w kształcie cygara, które określano również jako podobne do „torped”, „dorszy” lub „łodzi”. Kilka z nich widziano w innym miejscu nad South Island, a garść nawet nad North Island. Zgromadzone przez nowozelandzką prasę opowieści dziesiątków świadków potwierdzały te same podstawowe fakty. Tajemnicze „widma” zachowywały się bardzo różnie: jedne wisiały w powietrzu, inne zaś mknęły po niebie z olbrzymią szybkością. Wszystkie wyglądały majestatycznie, unosząc się i opadając niczym ptaki, i manewrowały zataczając ciasne kręgi, czasami schodząc na wysokość 330 metrów nad ziemią.

We wrześniu 1909 roku, po ustaniu fali tajemniczych zjawisk, artykuł w „Christchurch Press” doniósł o wyjątkowym zdarzeniu w miasteczku Gore, oddalonym o niecałe 64 kilometry od Invercargill.

Dwaj mieszkańcy Gore poinformowali, że widzieli w nocy obiekt w kształcie łodzi niosący dwa duże wachlarze i posiadający trzy światła, które czasami zasłaniały te wachlarze. Dwaj inni mieszkańcy tej samej miejscowości (robotnicy pracujący na drodze) wczesnym rankiem ujrzeli obiekt podobny do łodzi z otwartą górną częścią, który zniżył lot we mgle. Robotnicy ci przysięgają, że mogli rozróżnić dwie postacie na pokładzie tego pojazdu. Kilkoro uczniów widziało podobny obiekt tego samego dnia w południe. Stwierdzili, że siedziała w nim podobna do człowieka postać. A kierownik pewnej firmy w Invercargill zobaczył obiekt w kształcie cygara, który leciał wzdłuż wybrzeża, w odległości 8 kilometrów od brzegu morza. Powiedział, że obserwował go przez kwadrans, zanim dziwny pojazd nie odleciał majestatycznie w stronę bieguna południowego.

Zrozumiałe, że te ciekawe incydenty nad South Island nadal przyciągają uwagę ufologów. Henk J. Hinfelaar, dyrektor nowozelandzkiej Scientific Space Research Centre i wydawca pisma „Spaceview”, stworzył własne akta tych wydarzeń i niedawno napisał: „Nie ma żadnych dowodów wskazujących na to, że w 1909 roku UFO lądowało w Nowej Zelandii. Jednakże dla większości świadków te trwające sześć tygodni zjawiska były dostatecznie przekonujące, by uznali, że na niebie nad Nową Zelandią pojawiły się nieznane obiekty latające kierowane przez obcą inteligencję”.

Okazało się, że te kierujące się w stronę Antarktydy UFO były tylko pierwszymi z licznych nieznanymi obiektów latających widzianych nie tylko nad Nową Zelandią, lecz także nad innymi krajami tej części świata.

Już trzy lata później, w 1912 roku, pewien mieszkaniec Dunedin, nadbrzeżnej miejscowości położonej w odległości kilku kilometrów na wschód od Invercargill, zobaczył inny tajemniczy obiekt. Relację pióra Isabelli Walmsley z pisma „Christchurch” przytoczył Harold T. Wilkins w swojej książce *Flying Saucers on the Moon* (Latające talerze na Księżycu, 1954). Kilka lat później pani Walmsley powołała się też na własne przeżycie tego rodzaju:

Oczywiście wszyscy pomyśleli, że ten człowiek z Dunedin jest trochę „stuknięty”, kiedy stwierdził, iż ujrzał na niebie dziwny obiekt lecący na południe wzdłuż wybrzeża. Ludzie powiedzieli, iż musiał zobaczyć meteor... Jeśli o mnie chodzi, mam lekką sen, pozostałość z dni, kiedy pracowałam jako pielęgniarka. Otóż pewnej nocy, gdy mieszkaliśmy w Timaru [również nadbrzeżna miejscowość, oddalona o 160 kilometrów od Dunedin], obudził mnie nagle głośny, ryczący, syczący dźwięk, który szybko przemieścił się nad naszym domem. Był to rok 1935, kiedy jeszcze nie pojawiły się latające w nocy samoloty. Po wybuchu II wojny światowej pomyślałam, że zapewne był to jakiś japoński samolot, ale nie przyszło mi do głowy zadać sobie pytanie, gdzie w takim razie znajdowała się jego baza. Przecież Nową Zelandię ze wszystkich stron otaczają tysiące kilometrów otwartego morza! Kilka dni później rozmawiałam z pewnym staruszkiem, mieszkającym w sąsiedztwie, który opowiedział mi, że obudził się tej samej nocy i że kiedy wyszedł na dwór, zobaczył „wielkie jak słońce światło lecące na południe nad paniusi domem!”

W kwietniu 1952 roku spędziłam tydzień w Dunedin i podobnie jak przed laty obudził mnie głośny szelest w górze, przesuwany się na południe. Wokół panował spokój i była czwarta rano. Dobrze to pamiętam! Hałas był słyszalny, a potem nagle ucichł! Nie wspominałam o tym ludziom, u których mieszkalam, gdyż wiedziałam, jak mogli zareagować na moją opowieść. Po kilku dniach nowozelandzkie i australijskie gazety pełne były relacji o latających talerzach.

W 1955 roku doniesiono o jeszcze trzech takich incydentach – a wszyscy naoczni świadkowie byli pilotami doskonale znającymi wszystkie typy normalnych samolotów przelatujących nad Nową Zelandią. Znowu UFO leciały na linii południe-północ z Antarktydy. 31 października kapitan samolotu National Airlines DC-3, lecącego z Wellington do Christchurch, zameldował, że widział „jasny, okrągły obiekt”, który leciał tuż nad nimi i ponad wybrzeżem South Island.

W następnym roku, w niedzielną noc z 10 na 11 czerwca, mechanik samolotowy, B. L. Lovelock, szedł drogą do Waikumete, kiedy zobaczył coś, co opisał jako „odwrócony do góry talerz z kopułą w kształcie dzwonu na szczycie”. UFO miało niebieskawobiałą barwę, oświadczył Lovelock, i obserwował je przez jakiś czas, aż skierowało się na południe w stronę horyzontu. Mechanik dodał, że „miał nieprzyjemne uczucie, iż latający talerz podniósł go do góry. Dało to początek spekulacjom, że mógł być ofiarą nieudanego porwania przez Obcych.

3 września tego samego roku dwaj piloci z 4 eskadry transportowej Royal New Zealand Air Force zameldowali o podobnym przypadku. Dowódca eskadry, major K. B. Smith, leciał na Hastingsie ponad South Island o 18.42, kiedy ujrzał „jarzący się obiekt”, który kierował się w stronę Dunedin. „Początkowo pomyślałem, że to odrzutowiec”, powiedział, „ale potem zdałem sobie sprawę, iż tak nie jest. To coś leciało poziomo z fantastyczną szybkością”. Smith dodał, że później dowiedział się, iż jeden z jego kolegów, major O. Staples, również widział to samo UFO.

5 kwietnia 1960 roku, według „Wellington Evening Post” „dziwny latający obiekt” złożył powtórny wizytę w Invercargill. Naoczni świadkowie zobaczyli ten okrągły

pojazd z błyskającymi światłami wtedy, gdy leciał nisko nad ujściem rzeki w stronę Zatoki Bluff i zniknął w kierunku Antarktydy, wywołując u starszych wiekiem mieszkańców miasta blade wspomnienia o wydarzeniach z roku 1909.

16 czerwca 1963 roku w Palmerston, położonym na wybrzeżu na północ od Dunedin, uczeń college'u, Harold Fulton, zauważył „dwa jaskrawe światła, które zniżały się zygzakując”. Obiekty te wisiały nieruchomo około 5 sekund, „po czym nagle pomknęły z ogromną prędkością początkowo poziomo przede mną, a potem strzeliły w niebo pod kątem około 45 stopni”. Po raz ostatni ujrzał je, gdy zniknęły na południu.

Bliższy w czasie, szeroko opisywany i omawiany incydent – pojawienie się nad Nową Zelandią UFO podążającego w stronę Antarktydy – miał miejsce w styczniu 1979 roku. Kapitan J. Startup, lecący na myśliwcu odrzutowym RNZAF Skyhawk, zobaczył jaskrawy, owalny obiekt kierujący się na południe ponad Cook Strait między South Island i North Island. „Żaden samolot nie byłby w stanie tak przyśpieszyć jak to coś”, stwierdził po powrocie na ziemię. Geoffrey Causer, kontroler lotów, zapisał w dzienniku urzędowym informację o tym UFO i pewnej liczbie innych, które pojawiły się w tym samym czasie. Skomentował to tak: „To nie były samoloty, lecz niezidentyfikowane obiekty latające. I jest to jedyna rzecz, którą mogę stwierdzić na pewno. W ciągu ponad dziesięciu dni UFO widziało sześciu pilotów latających na argosach, było też sporo obserwacji radarowych. Najwidoczniej wokół South Island mamy do czynienia z jakimś dziwnym zjawiskiem, które trzeba wyjaśnić”.

Podobne relacje o aktywności UFO w pobliżu bieguny południowego spotykamy również w Australii. Tu znów tradycja wyprzedza opowieści o „latających talerzach”, a jednym z najwcześniejszych naocznych świadków był sir Francis Chichester, słynny żeglarz. Przed samotnym przepłynięciem Atlantyku Chichester znany był dobrze ze swoich odważnych lotów na „Tiger Moth”. 10 czerwca 1931 roku wystartował z Nowej Południowej Walii, by dolecieć do Nowej Zelandii. Z otwartej kabiny pilota miał wspaniały widok na bezchmurne niebo i morze. Nagle od strony Antarktydy ujrzał coś, co wyglądało jak zbliżający się matowy, szarobiały statek powietrzny. „Był podobny do owalnej perły”, powiedział później reporterowi periodyku „The Unknown”, „błyskał jaskrawym światłem, zniknął cyklicznie, pojawiał się ponownie, przyśpieszał i wreszcie przepadł w tej samej stronie, z której przybył”. I Chichester kontynuował: „Zmrużyłem oczy, nie chcąc im wierzyć, i wykonałem kilka skrętów samolotem w tę i w tamtą stronę, sądząc, że obiekt ten musi znajdować się w miejscu, którego nie mogę dojrzeć. Oślepiające błyski docierały z czterech lub pięciu różnych stron, ale nadal nie mogłem dostrzec żadnych samolotów. Później z chmur z prawej wyleciał inny statek powietrzny, a może ten sam. Obserwowałem go uważnie, zdecydowany nie odwrócić oczu nawet na sekundę. Zbliżył się do mnie i ujrzałem matowy blask światła na jego przodzie i z tyłu. Leciał dalej, lecz zamiast rosnać, zmniejszał się w miarę zbliżania. Kiedy był już całkiem blisko, nagle zamienił się we własne widmo – w jednej sekundzie mogłem widzieć przez niego, a w następnej zniknął. Cokolwiek wtedy zobaczyłem, wydaje się, że musiało być bardzo podobne do tego, co ludzie od lat nazywają latającymi talerzami”.

Dwadzieścia lat później, inny zrównoważony pilot cywilny, kapitan B. L. Jones, pracujący w Australian Northern Airlines, wieczorem 17 maja 1953 roku zauważył równie zdumiewający obiekt nad wybrzeżem Queensland w pobliżu Brisbane. „Wyglądał jakby miał jaskrawo oświetloną szklaną kopułę i jarzył się osłepiającym blaskiem. Poruszał się bezdźwięcznie, manewrował wokół mojego samolotu i dwukrotnie przeleciał mi drogę. Wieża kontrolna lotniska sprawdziła i nie znalazła w pobliżu żadnego innego samolotu. Dziewięć godzin później pewien radiooperator zobaczył go nad Pacyfikiem, wznoszącego się w górę z wielką szybkością i mknącego w kierunku bieguna południowego”.

W 1954 roku wiele relacji o „latających talerzach” pojawiło się w australijskich mediach; większość z nich obserwowano nad najdalej wysuniętym na południe stanem Victoria, zwłaszcza wokół Melbourne. Na przykład 1 stycznia tysiące miłośników wyścigów konnych ujrzały „okrągły, srebrzysty dysk wiszący nieruchomo i bezdźwięcznie na niebie przez dwie minuty, który potem zawrócił i zniknął na południu”. Co jeszcze dziwniejsze, tego samego dnia plażowicze na Hampton Beach zobaczyli, że „jasny obiekt w kształcie talerza, który wydawał się wykonany z plastiku, przemknął przez niebo”. Natomiast w wielu innych miejscach tego stanu widziano „wielki srebrny obiekt niewiadomego pochodzenia ciągnący za sobą smugę czerwono-niebieskiego płomienia”, który mknął ze zdumiewającą szybkością na południe. 6 stycznia, po dwudziestu takich obserwacjach nad stanem Victoria, w tym sześciu w Melbourne, superintendent kontroli lotów w Department of Civil Aviation poprosił rodaków o meldunki o UFO. „To nie jest żart”, stwierdził (prawdopodobnie nie rozbawiło go, kiedy 14 stycznia otrzymał list od pewnego, nie wymienionego z nazwiska francuskiego profesora, który twierdził, że „latające talerze będą walczyć po obu stronach w następnej wojnie światowej: czarnych Jupiterian z jednej i czerwonych Marsjan z drugiej, a nasza stara planeta będzie dla nich piłką nożną”).

19 maja 1957 roku wydarzyło się to, co nadal nazywane jest „jedną z najbardziej autentycznych obserwacji UFO w Australii”, gdy „srebrzysty obiekt pozostawiający za sobą biały ślad z pary wodnej przemknął ponad stanem Victoria z szybkością 3218 kilometrów na godzinę, kierując się na południe”. Łącznice telefoniczne biura meteorologicznego, głównej komendy policji, lotniska i redakcji gazet zostały zablokowane telefonami od 17.45 do 20.00, kiedy doniesiono o dwóch tysiącach trzystu obserwacjach UFO z miejsc odległych o setki kilometrów. Wśród relacji naocznych świadków jedna szczególnie zasługuje na uwagę: załóg kilku kutrów rybackich na Morzu Tasmana. Opisali oni lecący wysoko srebrzysty obiekt jako „podobny do ryby” i kierujący się „prosto do bieguna południowego”. Tamtej nocy postawiono w stan gotowości dwa myśliwce typu Meteor na wypadek, gdyby UFO powróciły.

Rok 1960 przyniósł inne ciekawe doniesienie pasujące do poprzednich. 3 października zaobserwowano nad Tasmanią „sześć latających spodków i «statek matkę»”. Pewien anglikański pastor z Tasmanii stwierdził, że po raz pierwszy widział tajemniczy pojazd prawie tydzień wcześniej, ale zameldował o nim dopiero wtedy, gdy inni mieszkańcy tego samego rejonu opowiedzieli identyczną historię. Wszyscy zgodzali się, że obiekty pojawiły się i zniknęły na południu. Jacques Vallée w swojej

książce *Anatomie d'un Phénomène* (Anatomia fenomenu, 1965) przytacza szczegółowo podobną relację o statku matce i niewielkich obiektach, które widziano nad wybrzeżem południowej Australii w 1961 roku. Zaobserwowano przybycie grupy okrągłych, srebrzystych obiektów opuszczających większy, a potem powracających do niego. Ten w końcu zebrał je wszystkie i odleciał z wielką prędkością na południe nad Wielką Zatoką Australijską.

Nowym, rekordowym rokiem obserwacji UFO w Australii był 1965. 25 lipca grupa dzieci w Melbourne ujrzała świecący, srebrzysty obiekt, który manewrował w niebie nad nimi, uniósł się pionowo w górę, błyskał jaskrawym światłem, a potem zniknął w morzu. W listopadzie na Macquerie Island, najdalej wysuniętym na południe skrawku Australii, widziano metaliczny dysk mknący na południe, w stronę horyzontu. Lecz najbardziej niezwykły incydent, o którym wieść dotarła z Australii, miał miejsce nad Cieśniną Bass między Melbourne a Tasmanią 21 października 1978 roku, kiedy pewien pilot zaginął w zdarzeniu, które uznano za porwanie dokonane przez UFO. Wczesnym wieczorem dwudziestoletni Frederick Valentich wyruszył na swojej jednosilnikowej Cessnie 182 w krótki, samotny lot z Melbourne do King Island. Znajdował się w odległości około 153 kilometrów na południowy zachód od Melbourne, kiedy zameldował wieży kontrolnej na kontynencie, że leci za nim „bardzo szybki obiekt z zielonymi światłami”. Poproszony przez kontrolera lotów, by zidentyfikował obiekt, gdyż w pobliżu nie było żadnego samolotu, Valentich oświadczył, że to nie jest samolot. Po krótkiej przerwie w łączności pilot znów pojawił się w eterze: „Teraz zbliża się do mnie. Orbituję [obracam się] i to coś również orbituje nade mną... ma zielone światło i rodzaj metalicznego blasku na zewnątrz”. W tym momencie usłyszano głośny metaliczny odgłos i Valentich oraz jego samolot zniknęły bez śladu.

Dwa inne niewielkie samoloty również zaginęły w tajemniczych okolicznościach podczas przelotu nad Cieśniną Bass. W grudniu 1969 roku jednosilnikowy samolot typu Fuji tylko z jednym pilotem na pokładzie zniknął podczas lotu do King Island; a we wrześniu 1972, Tiger Moth z dwiema osobami na pokładzie zaginął podczas podobnej podróży z kontynentu australijskiego. Po szeroko zakrojonych i bezowocnych poszukiwaniach wydany przez władze oficjalny komunikat głosił, że wszyscy trzej piloci prawdopodobnie pomylili tamte światła z planetą Wenus... która świeci bardzo jasno o tej porze”. Stwierdzenie to powitano ze zrozumiałym sceptycyzmem, a nawet z szyderstwem. Lecz nikt nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego we wszystkich tych przypadkach widziane po raz pierwszy UFO przybywało z południa.

Znalazłem też dowody na to, że UFO, które zaobserwowano w Kraju Przylądkowym w Afryce Południowej i w Argentynie (doniósł o tym „Flying Saucers Review”) mogą pochodzić z bieguna południowego.

Prawdopodobnie najwcześniejszy meldunek o UFO w Afryce Południowej otrzymano w maju 1953 roku, kiedy okrągły obiekt, świecąc jasno, przeleciał nad tym krajem z północy na południe. Po raz ostatni widziano go nad najdalej na południe wysuniętym skrawkiem Afryki Południowej, Cape Agulhas, lecącego „z szybkością 1600 kilometrów na godzinę”. W Upington, również w Kraju Przylądkowym, 7 grud-

nia następnego roku pewien meteorolog zameldował, że śledzi „półkulisty obiekt” poruszający się z przerażającą szybkością”, który potem zniknął nad Oceanem Indyjskim. „Tajemniczy czerwono-pomarańczowy obiekt w kształcie jo-jo”, przeleciał nad Durbanem w marcu 1956 roku, a potem przepadł w morzu. Widziały go cztery osoby. Miał średnicę około 15 metrów i okna „z których bił czerwonawy blask”.

Jeszcze dalej na południe wzdłuż wybrzeża Afryki Południowej, w East London w lipcu 1956 roku naoczni świadkowie dostrzegli na niebie „szkarłatną kulę ognistą”. W. Whyte znajdował się na Tapson Street wraz ze swoją rodziną i patrzył, jak „to oślepiające światło stopniowo gasło, jednocześnie przemieszczając się na dość niskim pułapie z północy na południe”. W następnym roku, 1 listopada 1957 roku, dwa myśliwce odrzutowe typu Sabre z South African Air Force wysłano, by zbadały dziesiątki doniesień o dwóch cylindrycznych obiektach, które nadleciały znad wybrzeży Natalu, przemknęły nad Pretorią i Johannesburgiem „z olbrzymią szybkością”, a potem skierowały się na południe. Pilot jednego z myśliwców zameldował przez radio, że wzniósł się na maksymalną wysokość ponad 15 tysięcy metrów, a oba obiekty znajdują się o kilkaset metrów powyżej niego „i zdążają w kierunku Antarktydy”. Pewien oficer z wywiadu lotniczego powiedział prasie, że „obiekty te to jakaś forma zjawisk fizycznych, których, jak na razie, nie umiemy wyjaśnić”.

Raport o „latającym talerzu” wiszącym przez ponad cztery godziny w pobliżu Fort Beaufort na Eastern Cape w czerwcu 1972 roku to jedna z najbardziej godnych uwagi relacji z Afryki Południowej i równie znacząca dla naszej hipotezy o pochodzeniu UFO. 27 czerwca Bernie Smith zobaczył nad swoim gospodarstwem, Braeside Farm, „owalny obiekt barwy oksydowanego metalu, który jarzył się i często zmieniał kolor z zielonego na żółty, a potem na biały”. Przez większą część poranka Smith i kilku jego afrykańskich robotników obserwowali obiekt „przecinający niebo, jakby nas badał”, jak powiedział później farmer, gdy oddział policji przybył na miejsce, by przeprowadzić śledztwo. Do tego czasu jednak tajemniczy obiekt odleciał „ze straszliwą prędkością na południe”.

Podobne meldunki pochodzące z tego samego okresu dotarły z Argentyny. Znowu znaczna ich część stwierdza, że UFO odlatywały na południe. W listopadzie 1954 roku pewien meteorolog pracujący nad Zatoką Brande w pobliżu południowego krańca tego kraju zauważył przez lornetkę „dwa wiszące, świecące obiekty”, które przeleciały nad Falklandami, zdążając w kierunku bieguna południowego. Trzy lata później, w lipcu 1957 roku, grupa miejscowych dygnitarzy w Comodoro Rivadavia nad Zatoką San Jorge ujrziała przelotnie „byszczący obiekt” lecący ku nim znad morza. Doktor Hugo Zamit i prawnik Manuel Altuna jechali wówczas samochodem i zaobserwowali, że UFO kilkakrotnie zmieniło kurs, zanim zniknęło „szybciej niż jakikolwiek ziemski wyrób”. Dwa dni później burmistrz Comodoro Rivadavia i kilku radnych zameldowali, iż widzieli identyczny obiekt wiszący w powietrzu nad wybrzeżem, zanim odleciał szybko w stronę południowego Atlantyku.

Wiosną 1962 roku nadeszła kolej argentyńskiej marynarki wojennej na obserwacje dziwnych obiektów na niebie. Według „El Mundo”, dziennika z Buenos Aires, cztery obserwacje zrobiono na morzu, dwie poczynili piloci samolotów marynarki wojennej

i dwie – oficerowie marynarki. Później to samo czasopismo doniosło, że w nocy 15 czerwca w Mar del Plata pewna liczba osób zauważyła „niezwykłe jasny obiekt lecący wysoko na niebie”, natomiast w pobliskiej nadbrzeżnej miejscowości Miramar o 21.30 widziano obiekt w kształcie cygara nadlatujący od strony bieguna południowego. „Cały ten pojazd był jaskrawo oświetlony (napisał „El Mundo”) i miał trzy bardzo jasne światła – czerwone w środku, żółte z prawej i zielone z lewej. „Potop tych kosmicznych obserwacji wywarł głęboki emocjonalny wpływ na wielu naocznych świadków”, dodała gazeta, „i może być początkiem nowej ery w odniesieniu do problemu UFO [sic]”.

Dwa następne wydarzenia w Argentynie również zwróciły uwagę mediów i zostały przez nie skomentowane. 17 lipca 1965 roku okrągły obiekt, który „odbijał promienie słoneczne od metalicznej, wypolerowanej powierzchni”, zawisł nad plażą w pobliżu River Plata, gdzie widziały go setki plażowiczów. Skłoniło to gazetę „La Nation” do wypowiedzenia następnego dnia znamiennej opinii: „Nie wierzymy, że można dłużej ukrywać prawdziwe wyjaśnienie takich zdarzeń”.

To samo czasopismo – wraz pewną liczbą innych w Ameryce Południowej – opisało jeszcze bardziej sensacyjną historię o kierowcy ciężarówki Vincente Bordoli z Mar del Plata i o tym, co mu się przytrafiło 12 sierpnia 1982 roku, kiedy wraz ze swym synem Hugonem jechał autostradą nr 3 na południe. Droga ta ciągnie się skrajem południowoatlantyckiego wybrzeża Argentyny. W pewnym momencie Bardoli dostrzegł dziwaczny, świecący pojazd unoszący się nad morzem. Zjechał na pobocze drogi, po czym obaj uważnie obserwowali tajemniczy obiekt.

„Słyszałem wszystko o latających talerzach”, powiedział później prasie Bordoli. „I jestem pewien, że to był jeden z nich. Pozostał nieruchomo w powietrzu przez kilka minut, zanim zanurkował w dół w stronę horyzontu. Jestem całkowicie pewny, że te latające spodki mają swoją bazę gdzieś w głębinach morza”.

Jednym z pierwszych ufologów, który zwrócił uwagę na znaczenie wszystkich tych obserwacji w sąsiedztwie bieguna południowego był Brinsley Le Poer Trench w artykule *Does Antarctica Hold the Key?* (Czy Antarktyda jest kluczem [do tajemnicy UFO]?), „Flying Saucer Review” z maja-czerwca 1956 roku:

Na nic się zda próba oceny latających talerzy i ich załóg na podstawie naszej obecnej wiedzy. Czy wobec tego „wyjściem” będzie rozwinięcie teorii o tym, że środek Ziemi jest pusty z wielkimi otworami w strefach polarnych i że UFO mogą stamtąd pochodzić? Oczywiście [latające] talerze widziano w wielu krajach świata, ale szczególnie często w strefach podbiegunowych. Wydaje się, że zarówno nad Ameryką Południową, Australią, Nową Zelandią, jak i nad Afryką Południową zaobserwowano wyjątkową aktywność UFO. Czy klucz do tej tajemnicy kryje się w lodowych przestworzach kontynentu otaczającego biegun południowy?

Seria artykułów w popularnym brazylijskim periodyku „O Cruzeiro” w tym samym czasie ujawniła, że inni też myśleli podobnie. W tym wypadku ich autorem był

Paulo Strauss, były komandor brazylijskiej marynarki wojennej, którego artykuł na temat latających talerzy ze świata podziemnego opublikowano w lutowym numerze z roku 1956:

Hipoteza o pozaziemskim pochodzeniu latających talerzy wydaje się nie do przyjęcia. Inna możliwość głosi, że są one wojskowymi statkami powietrznymi należącymi do jakiegoś narodu na Ziemi, ale nikt nie dysponuje taką techniką. Wobec tego musimy rozważyć najświeższą i najbardziej interesującą teorię, którą wysunięto dla wyjaśnienia pochodzenia latających talerzy: istnienie wielkiego podziemnego świata z, czego nie sposób wykluczyć, niezliczonymi miastami, zamieszkanymi przez ludzi, którzy osiągnęli bardzo wysoki poziom cywilizacji, organizacji ekonomicznej oraz rozwoju społecznego, kulturalnego i duchowego, tak że w porównaniu z nimi ludzkość żyjąca na powierzchni Ziemi może być uważana za rasę barbarzyńców.

Inna grupa badaczy z Ameryki, International Flying Saucer Bureau z bazą w Connecticut, bardziej skłania się ku tezie, że Antarktyda prawdopodobnie jest czymś w rodzaju bazy, jak zauważył Le Poer Trench w swoim artykule z roku 1956:

Pytają, czy możliwe jest, że przybysze z Kosmosu są już tutaj i że założyli bazę na Antarktydzie? Kontynent ten jest nieznan, nie zbadany i niezaludniony. To idealne miejsce dla kosmicznych latających talerzy, by zaaklimatyzować się w naszej atmosferze... miejsce, gdzie nikt nie będzie obserwował ich przez większość czasu, choć nie zawsze. Wysunięto też przypuszczenie, że innym czynnikiem mającym związek z biegunem południowym może być fakt, iż latające talerze są napędzane jakimś rodzajem pola siłowego wywierającego bezpośredni wpływ na grawitację. Magnetyczny biegun południowy może być idealnym miejscem do ładowania się taką mocą.

Le Poer Trench zakończył swój przełomowy artykuł przytaczając dwie poświadczone obserwacje, które, jak uważał, są dowodami potwierdzającymi jego teorię. W marcu 1950 roku, podczas pobytu na wodach wokół Antarktydy, pewien oficer chilijskiej marynarki wojennej, kapitan Augusto Vars Orrego, zameldował: „W nocy, a są one bardzo jasne w tych stronach, widzieliśmy latające talerze, jeden nad drugim, zawracające z olbrzymimi prędkościami. Mamy fotografie na potwierdzenie tego, co zobaczyliśmy”. Niestety, dowództwo chilijskiej marynarki wojennej nigdy nie opublikowało tych zdjęć, pomimo powtarzanych próśb. Sześć lat później, w styczniu 1956 roku, grupa naukowców, która leciała na wyspę Robertson na Morzu Weddella, by zbadać jej budowę geologiczną, zauważyła „dwa metaliczne obiekty w kształcie cygara, połyskujące w promieniach słońca”. Pojazdy te wykonały z wielką szybkością szereg ewolucji, zmieniając kierunek lotu pod ostrym kątem, co sprawiło, że naoczni świadkowie uznali, iż śledzi je jakaś inteligencja, która z jakiegoś powodu wolała pozostać anonimowa”. UFO zniknęły za horyzontem równie nagle, jak się pojawiły.

W ciągu lat, które upłynęły od opublikowania artykułu Le Poer Trencha, na biegunie południowym przeprowadzono jeszcze kilka obserwacji, które dodały wiarygodności jego wnioskowi. W roku 1958, podczas Międzynarodowego Roku Geofizycznego, kiedy uczeni z jedenastu krajów zbudowali dziesiątki stacji badawczych i obozów na Antarktydzie, by prowadzić tam badania, dziwne zdarzenia następowały jedno po drugim. Opisał to Peter Kolosimo w książce *Not of this World* (Nie z tego świata, 1970):

Od osób pracujących wokół argentyńskich stacji badawczych dotarło co najmniej tuzin relacji o niezidentyfikowanych obiektach zaobserwowanych na niebie lub na lodzie, a większość z nich miała owalne kształty. Różni rosyjscy i amerykańscy badacze przelecieli nad rejonami pełnymi struktur tak dziwnych, że przypominały im otwarte przestrzenie z gigantycznymi murami i budynkami ukrytymi w ciężkich blokach lodu. Niektórzy, związani z sowieckimi bazami (prawdopodobnie Wostok 1, Wostok 2 lub Sowietskaja) oświadczyli, że widzieli struktury „zbyt geometryczne”, by można je było przypisać żywiłom; a nawet „poruszające się stwory”, łącznie z krępa, ciemną, pełną masą nie wiadomo czego i białym kształtem podobnym do niedźwiedzia lub do człowieka.

Kolosimo podjął temat tam, gdzie pozostawił go Le Poer Trench, by ponownie podkreślić, jak często widywano UFO na Antarktydzie. Zwrócił szczególnie uwagę na pewien incydent z lipca 1965 roku, który był tak niezwykły, że wydano po nim oficjalne oświadczenie. Historia ta pochodzi z brazylijskiej gazety „O Estado de São Paulo”, z wydania z 8 lipca:

Pierwszy raz w historii rząd opublikował oficjalny komunikat o latających talerzach. Jest to dokument wydany przez argentyńską marynarkę wojenną, oparty na relacjach wielu argentyńskich, chilijskich i brytyjskich marynarzy stacjonujących w bazie na Antarktydzie. Komunikat brzmi następująco: „Argentyński garnizon w argentyńskim rejonie (Wyspa Deception) zauważył w nocy z 3 na 4 lipca o godz. 19. 14 (czasu miejscowego) olbrzymi latający obiekt w kształcie soczewki; wydawał się on być ciałem stałym, głównie koloru czerwono-zielonkawego, czasami jednak zmieniał go na żółty, niebieski, biały lub pomarańczowy odcień. Wprawdzie obiekt ten przemieszczał się zygzakami na wschód, ale kilkakrotnie zmieniał kurs na zachodni i północny z różną szybkością, całkowicie cicho, przelatując pod kątem 45 stopni nad horyzontem w odległości od 10 do 15 kilometrów od bazy. Podczas manewrów wykonywanych przez ten obiekt naoczni świadkowie mogli wyrobić sobie pojęcie o jego olbrzymiej szybkości i nie tylko, gdyż przez około kwadrans wisiał nieruchomo w powietrzu na wysokości mniej więcej 5000 metrów”.

Sekretariat floty argentyńskiej stwierdza również w tym komunikacie, że wydalenie to obserwowali naukowcy z trzech baz marynarki wojennej, a opisane przez nich fakty całkowicie się zgadzają. Rozumie się, że zdjęcia zrobione przez fotografa jednej z tych baz zostaną udostępnione opinii publicznej po przeanalizowaniu ich przez naukowców [zamiar ten nigdy nie został zrealizowany].

Od tamtej pory meldunki o niezidentyfikowanych obiektach nadal napływały z tej olbrzymiej lodowej pustyni. Na przykład w marcu 1971 roku załoga lodołamacza znajdującego się w Zatoce Admiralicji ujrzała w górze „różnokolorowy obiekt podobny do ognistej kuli”; natomiast w czerwcu 1983 roku nadeszła kolej na kilku meteorologów pracujących w Zatoce Prydz. Zauważyli oni podobny do dysku, połyskujący w słońcu obiekt, który mknął w głąb lądu. Całkiem niedawno, w lipcu 1993 roku, widziano żółto-białe dyski przelatujące z ogromną szybkością nad Przylądkiem Hallett. Według późniejszego raportu: „Kiedy ostatni z tych obiektów zbliżył się do horyzontu [11 lipca], zniknął w blasku zorzy”.

Oczywiście samo znaczenie tej relacji powinno nasunąć tylko jeden wniosek, jak Pierre Deville napisał w periodyku „Aurora” w marcu 1980 roku:

Tam w dole jest coś, na co warto popatrzeć! Ale co? Może fantastyczny port gwiazdny, utrzymywany od niezliczonych tysiącleci na niegdyś wspaniałym kontynencie, który teraz jest lodowym pustkowiem? Przypomnijmy sobie, że całe wieki przed odkryciem Antarktydy nieznaną liczbą awanturników, nawigatorów i marzycieli podążała na południe szukając „południowego raju” zwanego czasami „Tęczowym Miastem”, które miało zostać zbudowane przed Potopem z budulca w kolorach tęczy. Oni nie chcieli urzeczywistnienia jakiegoś swojego fantastycznego pomysłu, lecz kierowali się zapiskami o micie istniejącym od setek tysięcy lat!

Niedługo po tym artykule, w roku 1983, pewien szanowany amerykański naukowiec potwierdził, że coś jest na biegunie południowym – gigantyczny krater. Lecz według profesora Johna G. Weihaupta z Indiana University dziura ta nie jest dziełem natury, lecz rezultatem uderzenia olbrzymiego meteorytu. Powiedział, że choć nadal go nie odkryto, krater ten jest głęboki na mniej więcej 800 metrów, szeroki zaś na 241 kilometrów i leży ukryty pod lodami na północy Antarktydy. Zgodnie z jego szacunkami dziurę tę wybił meteoryt ważący około 13 miliardów ton, o szerokości od 4 do 6 kilometrów, który zderzył się z Ziemią od 600 do 700 tysięcy lat temu z szybkością 70 tysięcy kilometrów na godzinę. Jednakże krater tej wielkości byłby ponad czterokrotnie większy od wszystkich innych dziur wybitych w Ziemi przez meteoryty i taka siła uderzeniowa mogłaby zmienić nachylenie osi ziemskiej lub szybkość obrotu naszej planety. Znacznie prostsze wyjaśnienie „dziury” profesora Weihaupta brzmi: możliwe, iż jest to wejście do świata wewnętrznego. Wymiary, jak czytelnik zechce zauważyć, są niezwykle podobne.

Na krótko przed śmiercią w 1995 roku, Brinsley Le Poer Trench, który był inicjatorem tak wielu spekulacji o pochodzeniu UFO z bieguna południowego, zaryzykował i wysunął przypuszczenie, gdzie może znajdować się wejście używane przez latające talerze do opuszczania i powrotu do świata wewnętrznego. We „Flying Saucer Review” stwierdził:

Jestem przekonany, że otwór w biegunie południowym znajduje się w rejonie nazywanym na mapie Antarktydy „Niedostępnym Obszarem”. Wprawdzie jest to bardzo

duży, nierówny teren, ale nazwano go tak z powodu kłopotów z nawigacją. Kompas magnetyczny na nic się tam nie zda, a inercyjny system nawigacyjny również nie funkcjonuje. Można dotrzeć do geograficznego bieguna południowego z pomocą systemu inercyjnego, ale nie do otworu w „Niedostępnym Obszarze”. Wejście to znajduje się w pewnej odległości od bieguna, od 960 do 2896 kilometrów. Ma podobne wymiary jak dziura poza tzw. biegunem północnym – to znaczy nie więcej niż 458,5 kilometra średnicy i nie mniej niż 80. Właśnie tam kryje się wyjaśnienie jednej z największych odwiecznych tajemnic.

W następnym rozdziale przyjrzymy się relacjom o równie częstych obserwacjach UFO w Arktyce. Przede wszystkim zaś zbadamy opowieść o tajemniczej katastrofie jednego z tych obiektów. Jest ona bowiem, na swój sposób, równie dziwnym i ważnym wydarzeniem jak słynny „Incydent z Roswell”, który miał miejsce w Nowym Meksyku w 1947 roku.

UFO z Pustej Ziemi: Arktyka

Istnieje znaczące podobieństwo między meldunkami o UFO lecącymi w stronę bieguna północnego a tymi, które zaobserwowano w pobliżu Antarktydy. Tutaj, w najdalej na północ wysuniętej części świata, od ponad pół wieku obserwacje naocznych świadków wskazują na równie wielką liczbę dziwnych obiektów przemierzających Arktykę i, czyniąc to, dodają wagi hipotezie, że latające talerze pochodzą z wnętrza Ziemi.

Biegun północny otacza pewna liczba terytoriów – Kanada, Alaska, Rosja, Skandynawia i Grenlandia – i zanim rozważymy implikacje tego, co może kryć się w ich głębi pod strefą polarną, musimy przejrzeć najważniejsze meldunki o UFO. Nie są to relacje wszystkich naocznych świadków, które zebrałem prowadząc te badania, lecz najbardziej typowe i pochodzące z najdalej od siebie położonych miejscowości.

Ameryka Północna jest doskonałym punktem wyjścia, gdyż i tutaj widywano UFO, zanim wymyślono popularne obecnie określenie – „latające talerze”. W najwcześniejszym znanym przypadku, w nocy z 9 na 10 lutego 1913 roku, obiekty, które przeleciały w poprzek kontynentu, przybrały postać „procesji dziwnych, kluczających świateł”. Później profesor John Chant z Toronto zebrał relacje naocznych świadków i napisał w „Journal of the Royal Astronomical Society of Canada” w październiku tego samego roku:

Zauważono dziwne zjawisko, które przemknęło w poprzek Kanady (nad Saskatchewan i Ontario), Stanów Zjednoczonych (Nowy Jork) i dalej nad Oceanem Atlantyckim, kierując się ku północy. Widziano świecące ciało z doczepionym długim ogonem. Ciało to szybko się powiększyło. Świadkowie różnili się w opisach co do tego, czy było to jedno ciało, czy składało się z trzech lub czterech części, każda z własnym ogonem. Grupa ta lub skomplikowana struktura poruszała się ze szczególną, majestatyczną powściągliwością. [por. meldunek z Invercargill z rozdziału 9].

Inni obserwatorzy, których relacje zebrał profesor Chant, powiedzieli, że te „niesamowite ciała” poruszały się w grupach „jak flota okrętów wojennych, którym towarzyszyły krążowniki i niszczyciele”. Jeden ze świadków, W. F. Denning, nowojorski

astrolog, widział UFO kierujące się na północ z krańca Long Island. Stwierdził, iż leciały one wzdłuż krzywizny Ziemi, „co jest niemożliwe w przypadku meteorytu”. Dodał też: „Niekktórzy moi znajomi powiedzieli, że wyglądały one jak przelatujące nad miastem statki powietrzne, ale ja sam przez wszystkie lata badań nieba nigdy nie widziałem czegoś podobnego”. Inny autor listu do „Journalu” sądził, że prawdopodobnie było tam razem około trzydziestu obiektów. „I tak wspaniale leciały, że można by pomyśleć, iż są to manewry floty powietrznej”.

Zaledwie osiemnaście lat później zaobserwowano pojedyncze, „jaskrawe światło” poruszające się po podobnej trajektorii przez niebo Kanady. UFO to zauważyła najpierw rankiem 1 stycznia 1931 roku grupa ludzi w Cobden, w prowincji Ontario. Obiekt „zabłyśnął” mknąc przez niebo po wielkiej krzywej, kierując się na północ nad Zatoką Hudsona. Jeden z naocznych świadków powiedział „Ottawa Journal”, że „wyglądało to jak coś z książek Juliusza Verne’a lub H. G. Wellsa!”

Pod koniec lat 40. i w latach 50. Goose Bay na Labradorze stała się centrum całej serii obserwacji „latających talerzy”, które wszystkie, jak zauważono, podążały ku Arktyce. 31 października 1948 roku radar wykrył „dziwny obiekt” lecący z szybkością ponad 965 kilometrów na godzinę, który, według ówczesnego raportu, należał do typu oznaczonego przez władze jako „anioł” czyli pochodzący z niewielkiej wysokości sygnał odbity od jakiegoś niewidzialnego przedmiotu. „Nie kosmicznego”, dodał znacząco autor.

19 czerwca 1952 roku nad Goose Bay ujrzano „czerwonawy obiekt” przelatujący przez nocne niebo z wielką prędkością. Bardzo podobne zjawisko podążające na północ pojawiło się 15 grudnia tegoż roku, chociaż tym razem „podczas manewrów zmieniło kolor na biały”. Prawdopodobnie najbardziej frapujące spotkanie w tym rejonie zdarzyło się 30 czerwca 1954 roku, kiedy załoga i pasażerowie samolotu Canadian Airlines przelatującego nad Goose Bay ujrzeli „duże UFO wraz z kilkoma mniejszymi towarzyszącymi mu obiektami”. Obserwowali je przez kilka minut, a potem cała grupa wleciała do góry i pomknęła w stronę Arktyki.

W latach 50. doniesiono o kilku obserwacjach UFO z Nowej Fundlandii. Wszystkie obiekty leciały na północ. Dwie najciekawsze relacje pochodzą od świadków, z których jeden znajdował się na ziemi, a drugi w powietrzu. 1 lutego 1950 roku w St. John, Pat Walsh, elektryk pracujący dla kompanii telefonicznej, zameldował, że dostrzegł „podobny w kształcie do łyżki obiekt jarzący się tak jaskrawo, jak fluoryzujące światło”, który przemknął nad miastem i skierował się w stronę morza. Dodał, że obserwował go przez co najmniej 12 sekund i zdawał się on „zakreślać podczas lotu wielki łuk” z wyjątkową szybkością. Wśród tych, którzy zobaczyli to samo UFO, była niejaka C. Vaughan, która oświadczyła gazecie „The Newfoundland Evening Telegram”, że kiedy obiekt ten przelatował nad miastem, wydało się jej, iż widzi kopułę na jego szczycie. Sześć lat później, w czerwcu 1956 roku, pilot samolotu marynarki wojennej zameldował, że kiedy leciał nad Ganderem, „dotrzymywał mu kroku” duży pojazd w kształcie dysku.

W ciągu następných dwunastu miesięcy dokonano tak wielu obserwacji niezidentyfikowanych obiektów nad Kanadą, że 22 lipca 1957 roku kanadyjskie radio

wydało specjalny biuletyn informacyjny donoszący, iż „naziemny obserwator z Royal Canadian Air Force śledził UFO na niebie nad Ontario przez ubiegły miesiąc. Główny obserwator w rejonie Don Mills, Toronto, Herbert Harrison, opisał te obiekty jako małe ogniste kulki lecące z północy na wschód, ze wschodu na zachód, a potem z zachodu na północ, zanim znikwały za horyzontem. Dodał, że władze lotnicze nie mają pojęcia, co to takiego, ale nadal będą uważnie obserwować te tajemnicze światła”.

W latach 70. i 80. znacząca liczba obserwacji UFO w Kanadzie pochodziła z okolic North Bay, gdzie znów dosłownie wszystkie pojawiały się lub znikwały lecąc na północ. RCAF jeszcze raz przeprowadziło obserwacje tych „pomarańczowych/czerwonych dysków”, które „latały wyjątkowo wysoko, zygzakowały i wykonywały skomplikowane manewry z bardzo wielką prędkością”.

Amerykańskie lotnictwo również zainteresowało się tymi wydarzeniami, zwłaszcza że część z nich miała miejsce w pobliżu Alaski, „oddzielnego” stanu USA. Przeprowadzone tam poszukiwania relacji naocznych świadków wykazały, że od pół wieku widywano UFO nad Alaską, a większość pochodziła z Arktyki.

Historie o niezidentyfikowanych obiektach nad Alaską zaczęły krążyć w ostatnim roku II wojny światowej. W 1945 roku, w pobliżu Aleutów, czternastu mężczyzn na transportowcu wojennym USAT „Delarof” zameldowało, że ujrzeli ciemny, kulisty obiekt, który pojawił się nad północnym horyzontem, okrążył okręt, a potem odleciał w tę samą stronę. Kilku członków załogi było najwyraźniej przekonanych, że w rzeczywistości to UFO wynurzyło się z morza. Do Waszyngtonu wysłano oficjalny raport o tym incydencie, ale opinii publicznej nie udostępniono żadnych dalszych szczegółów.

Oślonięty mgłą tajemnicy jest również inny incydent, który wydarzył się pod koniec lat 40. W maju 1948 kilku Inuitów opowiedziało pewnemu kamerzyście filmowemu pracującemu dla rządu na Alasce, o „dziwnych dyskach na niebie”, które, ich zdaniem, przybyły „z wielkiej ziemi na północy”. Później kamerzysta zrobił kilka zdjęć tajemniczych światła, ale kiedy wrócił do Stanów, jego pracodawca – rząd Stanów Zjednoczonych – przejął film i złożył w jakiejś piwnicy w Los Angeles, gdzie pozostaje po dziś dzień.

2 grudnia 1950 roku, kiedy C. G. Kelley, pilot Reeves Airway, zbliżał się do lotniska i znajdował się w odległości około 13 kilometrów na południowy zachód od Anchorage, nagle zauważył w górze jakiś obiekt przemieszczający się z wielką szybkością. Obiekt świecił coraz jaśniej, aż w końcu nie sposób było nań patrzeć. „Potem zobaczyłem coś w rodzaju wybuchu”, powiedział później Kelly dziennikarzom w Fairbanks „i obiekt ten zniknął na północnym wschodzie”. Zameldowano też o zaobserwowaniu tego samego UFO na obszarze między Kodiak a Fairbanks, a zwłaszcza nad Seward, Portage, Skwentna i Anchorage, „gdzie baterie przeciwlotnicze otworzyły do niego ogień, gdy przelatywał nad nimi”, jak twierdzi jedna z relacji.

Dwa lata później, 22 stycznia 1952 roku, radar wykrył inny dziwny obiekt nad północną Alaską. W rezultacie wysłano trzy samoloty myśliwskie przechwytyjące F-94 dla zbadania sprawy, a 14 lutego tegoż roku grupa pracowników lotniska w Nome

ujrzała srebrzysty, podobny do rakiety obiekt z pomarańczowym, ognistym ogonem, manewrujący tak, „jakby za jego sterami siedziały i kontrolowały go istoty rozumne”. Tego samego dnia w Unalakleet również widziano podobny obiekt, który leciał szybko na północny zachód i pozostawiał za sobą widoczną smugę.

Jeszcze bardziej niezwykła historia przedostała się do prasy w lutym 1969 roku. 19 lutego Lee R. Munsic, były dyrektor NICAP, powiedział „New York Daily News”, że w ostatnich dwóch tygodniach widziano UFO „lądujące i manewrujące nad północną Alaską i okolicami bieguna północnego. Na Alasce grupa traperów w odległości około 320 kilometrów na wschód od Umiat zaobserwowała pojedynczy pojazd w kształcie dysku”, oświadczył Munsic. „Traperzy twierdzą, że UFO oddalone było o jakieś 3,5 kilometra, kiedy zauważyli je po raz pierwszy. Pojazd ten kilkakrotnie uniósł się, a potem zniżył lot na wysokość kilkudziesięciu centymetrów, po czym powoli zatoczył niewielki krąg i zniknął. Dodali też, iż miał czerwoną barwę”. Munsic dodał, że dwóch norweskich żołnierzy widziało to samo zjawisko w okolicy Morza McKinleya. „Dostrzegli obiekt w kształcie talerza, który zdawał się przybywać z nad bieguna północnego i odlatywać w stronę Grenlandii. Obiekt poruszał się z wielką prędkością. Jednemu z żołnierzy wydało się, że później widział go powracającego w stronę bieguna”.

Jednakże najśłynniejszy raport o UFO nad Alaską pochodzi z listopada 1986, kiedy japoński pilot cywilny, kapitan Kenjyu Terauchi, opisał, co zobaczył wraz z załogą lecąc jumbo jetem JAL 747 na wysokości 12 kilometrów nad alaskańską tundra w drodze z Islandii do Anchorage. Kenjyu powiedział, że nagle spostrzegli „o jakieś 600 metrów poniżej i na lewo od nich dwa jasne światła poruszające się od czasu do czasu jak bawiące się niedźwiadki”. Później jaskrawe światło zaświeciło prosto do kabiny pilota, a przed samolotem załoga zauważyła wyraźne kontury jakiegoś pojazdu. „Miał kształt zbliżony do kwadratu, leciał przed nami w odległości od 16 do 33 metrów, nieco wyżej niż my”, powiedział japoński kapitan. „Wielkością dorównywał odrzutowcowi DC-8 i miał liczne dysze wylotowe. Płomienie wydobywające się z dysz różniły się wielkością, może dla utrzymania równowagi. Od pojazdu oddzieliło się kilka małych, jaskrawych obiektów i leciało w szyku równoległym z nami”. Po minucie jaskrawe obiekty ponownie połączyły się ze statkiem-matką, który zniknął na północy. Podczas tego „bliskiego spotkania” interferencja uniemożliwiła pilotowi JAL kontakt z kontrolą lotów w Anchorage, ale kiedy UFO odleciało, powiedziano mu, że radar nic nie wykrył. Terauchi i jego załoga zrelacjonowali dokładnie przebieg wydarzeń władzom lotnictwa federalnego, które oświadczyły, iż wszyscy oni „zachowywali się racjonalnie, jak przystało na profesjonalistów”. Tajemnica lotu JAL 1628 nadal pozostaje nie rozwiązana.

Przez wiele lat żadne meldunki o UFO lub latających talerzach nie docierały z sąsiada Ameryki Północnej, byłego Związku Radzieckiego. Jednakże w brytyjskiej gazecie „The Sunday Times” z 5 marca 1961 roku w artykule pod wielkim tytułem *Russia Bars Talk of Flying Saucers* (Rosja zakazuje rozmów o latających talerzach), reporter Marvin Kalb napisał z Moskwy: „W rzeczywistości opowieści o nich zaczęły krążyć już w roku 1949, kiedy polarnik nazwiskiem Muraszow zro-

bił zdjęcie «dziwnego obiektu o niezwykłym kształcie», który wyglądał na «jakiś fantastyczny aparat latający»”.

Znamienne, że najwcześniejsze historie o latających talerzach początkowo docierały głównie z „dalekiej północy” Rosji i były wśród nich zarówno poważne meldunki pochodzące z Wyspy Bolszewickiej o „szybko lecących jaskrawych światłach” widzianych nad Oceanem Arktycznym, jak i wierutna bajka o „marsjańskich pigmejach lądujących na Syberii”. Jedna z tych historii mówiła nawet o przybyciu na daleką północ „zielonego stwora z Kosmosu”.

Kalb oświadczył, że plotki miały tak ogromny zasięg, iż organ partii komunistycznej, gazeta „Prawda”, zwrócił się do akademika L. A. Artsimowicza z Moskiewskiego Związku Rozprzestrzaniania Informacji Naukowej i Politycznej, aby potępił te pogłoski i rozpoczął krucjatę przeciwko „każdej takiej nienaukowej informacji”. Artsimowicz z entuzjazmem przystąpił do powierzonego mu zadania, oświadczając, że całą tę opowieść „zaczepnięto z amerykańskiej prasy sprzed czterestu lat”. Dodał, że ludzie, którzy mówią o UFO to „szarlatani winni samookłamywania się, pełni pychy, świadomi fałszerze, którzy powinni zostać ukarani”.

Na szczęście zmiany polityczne w Rosji w ostatnich latach pozwoliły ufologom zderzyć zasłonę z latających talerzy za dawną „żelazną kurtyną”. Relacje, które później wyszły na jaw, sugerują, że nie tylko obserwowano tam UFO równie regularnie jak na Zachodzie, lecz także obiekty te wyglądały prawie tak samo i zachowywały się podobnie – podążały na północ. Również i w Rosji naoczniymi świadkami byli różni ludzie, poczynając od takich wykształconych obserwatorów, jak piloci, do zwyczajnych mężczyzn i kobiet. Wszyscy oni byli jednakowo przekonani o tym, co widzieli – bez względu na linię partii.

Niestety, nie udało się poznać losów polarnej fotografii Muraszowa ani więcej szczegółów o tym, co zobaczył, lecz przytaczam kopię innego raportu z tego samego miejsca z 1956 roku. Napisał go dobrze znany i szanowany sowiecki pilot Walentyn Akkuchatow, który wówczas był głównym nawigatorem bazy lotniczej na biegunie północnym. Cytuję z niedawno przetłumaczonej wersji, którą udostępniło ufologom pismo „New Worlds”:

Prowadziliśmy rekonesans nad strategicznym, pokrytym lodem obszarem w pobliżu Grenlandii, kiedy wylecieliśmy z chmur na czyste niebo i nagle ujrzeliśmy z lewej strony nieznany obiekt lecący równoległe z nami. Wyglądał jak duża konstrukcja w kształcie gruszki lub soczewka z pulsującymi krańcami. Sądząc, że widzimy nieznany amerykański statek powietrzny, z powrotem wskoczyliśmy w chmury, by uniknąć konfrontacji. Po dalszych czterdziestu minutach lotu znowu natknęliśmy się na przerwę w chmurach i z lewej ponownie zobaczyliśmy ten sam dziwny obiekt. Nie miał skrzydeł, anten ani okien i nie pozostawiał żadnych śladów dymu. Postanowiliśmy przyjrzeć mu się z bliska, dlatego odpowiednio zmienilem kurs. Kiedy jednak to robiliśmy, tajemniczy obiekt również poszedł w nasze ślady i pozostał w tej samej odległości od naszej maszyny. Po piętnastu minutach niezwykle pojazd skierował się w dół, w stronę lodu, i zniknął. Leciał z prędkością, która wydawała się nam niemożliwa do osiągnięcia.

Raport Akkuchatowa jest interesujący, ponieważ jako jeden z pierwszych wspomina o UFO zniżającym lot, może zamierzającym wylądować. W późniejszych lotach radziecki pilot widział inne dziwne obiekty zarówno w Arktyce, jak również w nadbałtyckich rejonach Murmańska oraz nad Charkowem i Gorkim. Wszystkie jego własne obserwacje o UFO wskazują, że cel ich lotów znajdował się gdzieś w okolicy bieguna północnego.

Dwa lata po pierwszej obserwacji Akkuchatowa, 30 maja 1958 roku zameldowano o innym intrygującym spotkaniu nad Kazachstanem. Raport ten zawiera ważne szczegóły. Opublikowano go w popularnym tygodniku „Smiena” jakieś trzy miesiące później.

Między godziną 21.20 a 21.30 czasu moskiewskiego, kilka osób na małym lotnisku na Uralu ujrzalo jakiś dziwny obiekt lecący na północ. Świecił jak gwiazda, ale nie mrugał. Widoczny był w gwiazdozbiorze Kassjopei, choć nie wyżej niż 350 metrów, i miał szybkość 280 kilometrów na godzinę. Obiekt skręcił w prawo i przyspieszył do 740 kilometrów na godzinę (szybkości samolotu turboodrutowego) bezdźwięcznie przelatując nad lotniskiem. Potem nagle znieruchomiał w powietrzu na jakieś dziesięć sekund. Bijące zeń światło miało teraz kulisty kształt i nie widziano już snopów promieni. Było czerwone jak zmarznięty nos. Następnie „światło” znów ruszyło pod kątem 45 stopni w kierunku północno-zachodnim, przez kilka sekund mknąc z prędkością od 185 do 220 kilometrów na godzinę. Później nagle zatrzymało się pod kątem 45 stopni ponad horyzontem i zaczęło pulsować. Czy potem zleciało w dół po spirali? Prawdopodobnie tak. Pod kątem 80 stopni nad horyzontem zaczęło się obracać jak satelita wokół (niewidocznej) osi. Kiedy obiekt znacznie się oddalił, świadkom wydało się, iż zbliżyło się doń drugie światło o barwie czerwonych gwiazd. Oba punkty świetlne przez długi czas krążyły wokół siebie i w końcu zniknęły lecąc na północ.

Według kilku zachodnich źródeł, w roku 1959 kwaterę główną rosyjskiego programu kosmicznego w Swierdłowsku przez dwadzieścia cztery godziny odwiedzały UFO w kształcie talerzy. Kiedy wykrył je radar, nadlatywały z północy i „wznieciły nieco paniki”. W lipcu 1964 roku grupa ludzi na pokładzie TU 104 lecącego między Leningradem i Moskwą również ujrzała „duży, błyszczący, metalowy dysk” prześlizgujący się pod samolotem. Dysk zniknął w kierunku Arktyki.

W latach 70. Syberia stała się centrum pewnej liczby meldunków o UFO, składanych przede wszystkim przez mieszkańców osady Polarnaja na wybrzeżu Morza Czukockiego na północnym wschodzie Syberii. Byli oni naocznymi świadkami całych serii tych zjawisk nad obszarem wokół bieguna północnego. A później, w marcu 1985 roku, to załoga jednego z samolotów Aeroflotu przeżyła zdarzenie podobne do tego, które stało się udziałem kapitana Terauchi. Szczegóły tego wydarzenia, o dziwo, ukazały się w gazecie „Trud”, organie związków zawodowych. Była to pierwsza relacja z Rosji, oparta na obserwacjach powietrznych i naziemnych, którą oficjalnie skomentowała Radziecka Akademia Nauk. Według tego

oświadczenia załoga lotu nr 8852 z Tbilisi do Tallina rzeczywiście spotkała „coś, co nazywamy UFO”. Najwidoczniej sytuacja bardzo się zmieniła od czasów akademika Artsimowicza.

Samolot ten znajdował się w odległości około 120 kilometrów od Mińska, kiedy drugi pilot zauważył „wielki, jaskrawożółty obiekt, z którego strzelał cienki promień światła”. Nagle promień ten rozszerzył się w oślepiający stożek, a potem pojawiły się jeszcze dwa takie stożki. Pasażerowie z zaskoczeniem ujrzeli ziemię w dole skąpaną w jaskrawym świetle i zaniepokoiли się nie na żarty, kiedy ten „reflektor poszukiwawczy” skierował się na ich samolot. Jednakże po kilku chwilach tajemnicze światło znikło, pozostawiając zielonkawą chmurę, która zaczęła się zniżać z niezwykłą szybkością.

„Chmura” ta później zajęła pozycję za odrzutowcem. Pilot uprzedził kontrolę naziemną, która odnalazła UFO lecące za samolotem na wysokości 10 tysięcy metrów z szybkością 480 kilometrów na godzinę. „Chmura” zmieniła kształt na śliwkowy, a potem kwadratowy [patrz spotkanie JAL z UFO] i w końcu „zmaterializowała się” jako gigantyczny statek powietrzny o nosie ostrym jak igła, bez skrzydeł, z dziwnym, podobnym do zwierzęcego ogonem oświetlonym przez zielone i żółte światła.

Ten „samolot-chmura” przeleciał w ślad za samolotem komunikacyjnym Aerołotu nad Rygą i Wilnem i w obu miastach kontrola naziemna zauważyła lecące jeden za drugim pojazdy na ekranach radarów tam, gdzie powinien być tylko jeden. Kiedy UFO w końcu się oddaliło, po raz ostatni widziano je, gdy mknęło na północ nad Tallinem.

Po drugiej stronie Zatoki Ryskiej leży Skandynawia, gdzie w Norwegii i w Szwecji również zdarzały się „odwiedziny” UFO. Wspomnę tylko trzy istotne raporty jako reprezentatywne dla znacznie większej liczby. Pierwsza obserwacja pochodzi z 30 czerwca 1954 roku, kiedy trzy skandynawskie samoloty komunikacyjne przewoziły grupę pięćdziesięciu zaproszonych naukowców i astronomów, którzy mieli obserwować zaćmienie słońca. Nagle nad Telemarkiem zauważono dwa błyszczące dyski podążające ku północnemu horyzontowi. Jeden z uczonych, Bjorn Bjronulf, powiedział później: „W tym całym zamieszaniu zdaliśmy sobie sprawę, że obserwujemy coś, w co nikt z nas nie wierzył – tak zwane «latające talerze». Lecz dowód widzieliśmy na własne oczy”. Nieco bardziej przyziemne przeżycie stało się udziałem dekoratora Trygve Jansena w kwietniu 1965 roku, kiedy wracał do domu z pracy w Oslo. Jadąc samochodem obok wąskiego jeziora Gjersjoen, zobaczył na niebie światło w kształcie kręgu, lecące niesamowicie szybko i wysoko. „Podążało na północ i nigdy nie zboczyło ani w jedną, ani w drugą stronę. I chociaż pomyślałem, że na pewno nie pochodzi z Ziemi, w sposobie, w jaki leciało, dostrzegłem coś, co przekonało mnie, iż dokądś zmierza. Nie mam jednak pojęcia dokąd”.

W sierpniu 1976 roku, po drugiej stronie granicy, w Szwecji, policjant Ernst Akerberg zetknął się z tajemnicą całkowicie odmienną od wszystkich, z którymi miał do czynienia przez długie lata pracy na stanowisku oficera śledczego w Visby, na bałtyckiej wyspie Gotlandii. Jego historię opublikowano w „Prediction”:

Pojechałem z żoną do naszej chaty rybackiej w Lergravsviken w odległości około 53 kilometrów od Visby. Właśnie wyszliśmy z chaty na wieczorną przechadzkę przy pełni księżyca, kiedy moja żona wykrzyknęła: «Spójrz na morze i zobacz, co się zbliża!» Ujrzałem obiekt w kształcie talerza nadlatujący z północnego wschodu prosto na nas. Jego kontury były raczej zamazane. Nie zmienił kursu aż do chwili, gdy prawie dotarł do wybrzeża. Przez chwilę myślałem, że zderzy się z górami, ale nagle poderwał się do góry i wrócił tam, skąd przybył. Widziałem to UFO po raz ostatni, kiedy zniknęło nad północno-wschodnią częścią wyspy Fitudden.

Typowa dla Akerberga skrupulatność w szczegółach uczniłyby zeń idealnego badacza, który rozwiązałby jeszcze bardziej niezwykłą zagadkę. Chodzi tu o wydarzenia, które miały miejsce w roku 1952 na wyspie Spitsbergen, położonej między Norwegią i Grenlandią – nadal oficjalnie utrzymywane w tajemnicy. Tajemnica ta mogłaby pomóc w znalezieniu odpowiedzi na pytanie, czy UFO rzeczywiście pochodzą z Pustej Ziemi, gdyż w tym właśnie roku jakiś niezidentyfikowany obiekt rozbił się na Spitsbergenie, a przed katastrofą leciał kursem, który, jak zaobserwowano, zaprowadziłby go prosto na biegun północny.

Spitsbergen leży w Arktyce, w odległości około 1126 kilometrów od bieguna. W rzeczywistości jest to archipelag złożony z pięciu dużych wysp i jego mieszkańcy znajdują się w ciekawym położeniu, gdyż muszą patrzeć na południe, by ujrzeć *auroora borealis*. W istocie, gdyby nie Prąd Zatokowy, który przebywa odległość 8045 kilometrów od Florydy do Spitsbergenu, żegluga do tego najdalej na świecie wysuniętego na północ zamieszkanego lądu, gdzie nie widzi się słońca od 26 października do 14 lutego, byłaby niemożliwa.

Tajemnicze wydarzenia na Spitsbergenie miały miejsce wiosną 1952 roku, kiedy kilka europejskich agencji informacyjnych doniosło, że norweski pilot cywilny dostrzegł rozbite szczątki statku powietrznego. Wygląda na to, że kilku wyspiarzy ujrzało „jaskrawe, okrągłe światło” przelatujące nad ich głowami w stronę Ziemi Franciszka Józefa. Nagle światło to zanurkowało w jakiś zakątek głównej wyspy. Po meldunku tego pilota ekipy ratownicze poleciały do miejsca katastrofy, szczątki zabrano do Oslo... i zaczęły się długoletni spór.

Pomimo powtarzanych przez media próśb, minęły prawie trzy lata, zanim wydano oficjalny komunikat w sprawie tej katastrofy. 4 września 1955 roku pułkownik Gernod Darnbyl, oficer, który kierował komisją śledczą powołaną przez norweski sztab generalny, udzielił wywiadu „Stuttgarter Tageblatt”. Tym razem w mętnej i często kontrowersyjnej historii UFO jego słowa nie były kolejnym kłamstwem, powiedział bowiem otwarcie i szczerze:

Obiekt, który rozbił się na Spitsbergenie, nie był samolotem, lecz tym, co potocznie nazywa się latającym talerzem. Został poważnie uszkodzony i zaproszono ekspertów z Wielkiej Brytanii i z Ameryki, by przyłączyli się do naszego śledztwa. Obiekt ten nadal jest dokładnie badany. Chociaż nasz obecny poziom wiedzy nie pozwala na rozwiązanie wszystkich zagadek UFO, jestem pewny, iż znalezione szczątki okażą się

niezmiernie ważne w tej materii. Jakiś czas temu doszło do nieporozumienia, gdy ktoś powiedział, że dysk ten przypuszczalnie pochodzi ze Związku Radzieckiego. Obiekt ten – i chcemy stwierdzić to z naciskiem – nie został zbudowany w żadnym kraju na Ziemi. Wszyscy eksperci, którzy uczestniczyli w badaniach, w ogóle nie znają materiałów użytych do jego budowy. Komisja śledcza nie ogłosi obszernego raportu, dopóki pewne sensacyjne fakty nie zostaną przedyskutowane z amerykańskimi i brytyjskimi ekspertami.

Po dziś dzień nie wydano innego oświadczenia na temat tajemnicy „dysku” ze Spitzbergenu. Na wszystkie prośby skierowane do władz Norwegii otrzymuje się uprzejmą odpowiedź, iż nie zamierzają one komentować tej sprawy. Niedawno pułkownik O. B. Engvik, attaché lotniczy w ambasadzie norweskiej w Stanach Zjednoczonych powiedział ufologowi Robertowi Loftinowi: „Materiały o UFO będące w posiadaniu naszego lotnictwa przeważnie zaliczane są do dokumentów o różnym stopniu tajności, dlatego nie można ich oddać do dyspozycji opinii publicznej”. Innymi słowy, są zastrzeżone. Moje własne poszukiwania w ambasadzie norweskiej w Londynie spotkały się z podobną odpowiedzią i z sugestią, że może zechciałbym skontaktować się z jedną z grup ufologów w Norwegii, która badała tę historię. To sprawiło, że wróciłem do punktu wyjścia, do źródła, które pierwsze dostarczyło mi tę informację.

Jednak niezupełnie. Pewna osoba z Oslo przysłała mi kopię oświadczenia złożonego przez dwóch norweskich oficerów, którzy służyli w tym rejonie Arktyki po wydarzeniach na Spitsbergenie. Podporucznik Brobs i podporucznik Tyllensen zgodnie twierdzą, że widzieli UFO nad Arktyką. Utrzymują też, że są pewni, iż lądowały one w pobliżu bieguna północnego. Podporucznik Tyllensen powiedział:

Myślę, że Arktyka służy za rodzaj bazy tym nieznanym [istotom], zwłaszcza podczas burz śniegowych, kiedy my musimy schronić się w naszych bazach. Wkrótce po takim załamaniu pogody widziałem trzy razy, jak lądowały i startowały. Zauważyłem też, że po wylądowaniu dyski te szybko wirują. Jaskrawe światło, którego natężenie zależy od szybkości lądowania i startu, uniemożliwia obserwację tego, co się dzieje za tą świetlną zasłoną lub wewnątrz samego dysku.

Inny z moich informatorów, który dobrze zna Arktykę, twierdzi, że jedno UFO leży pogrzebane w pobliżu najdalej wysuniętego na północ krańca wyspy Ellesmere, po przeciwnej do Spitzbergenu stronie Grenlandii. Ono również miało się rozbić podczas lotu na biegun północny. Wprawdzie nie próbowano prowadzić wykopalisk w tym miejscu, ale dowody świadczące o obecności „latającego talerza” są tak przekonujące, że doktor John M. DeLaurier z Dominion of Canada Obserwatory w Ottawie zajął się układaniem programu badawczego. Ma on nadzieję, że któregoś dnia będzie mógł odwiedzić jedno z najbardziej niegościnnych, lecz fascynujących miejsc na Ziemi.

Czy obie te historie są fantastycznymi wymysłami, czy też dalszymi dowodami na to, że UFO pojawiające się na niebie mogą rzeczywiście pochodzić ze świata pod naszymi stopami? Niech czytelnicy osądzą sami. Jednakże nie jest to jeszcze koniec poszukiwań rozwiązania zagadki Pustej Ziemi. Pozostały bowiem dwa ważniejsze problemy. Po pierwsze (zajmiemy się tym w następnym rozdziale) musimy odpowiedzieć na następujące pytanie: Jeśli ten świat wewnętrzny jest zamieszkały, to kogo możemy tam zastać?

Śródziemcy

Reinhold Schmidt był spokojnym, raczej skromnym człowiekiem, który mieszkał w czynszowej kamienicy na Franklin Avenue w dzielnicy Hollywood Flats w Los Angeles. W 1958 roku jego nazwisko pojawiło się w nagłówkach gazet z powodu historii tak zaskakującej, że nie mógłby jej wymyślić żaden autor scenariusza filmowego. Schmidt bowiem powiedział prasie, radiu i telewizji, że został wzięty na pokład UFO, które zawiozło go do Arktyki. Spotkał tam grupę mężczyzn i kobiet, którzy mieszkali, według jego sformułowania, gdzieś pod biegunem północnym.

Kilku wczesnych teoretyków Pustej Ziemi, łącznie z Halleyem, Matherem i Symmesem, uważało, że świat wewnętrzny jest niezamieszany i proponowali ludzkości nęcącą perspektywę nowych wielkich terenów do skolonizowania. Inni natomiast twierdzili, że są one zajęte i że ich mieszkańcy – Śródziemcy – mogą równie dobrze przebywać tam od wieków. O. C. Hugenin w artykule *The Subterranean World* (Świat podziemny), opublikowanym w roku 1965 w czerwcowym wydaniu miesięcznika „Fate” napisał: „Sama myśl o istnieniu «świata podziemnego» zaszokuje wielu ludzi. Innym wyda się to niemożliwe, gdyż «na pewno», powiedzą, «gdyby istniał, już dawno by został odkryty». Ale wcale tak nie musi być. Istnieje wiele ważnych powodów, dla których jakaś przedpotopowa rasa pochodząca z zatopionych kontynentów Lemurii lub Atlantydy, która rozwinęła cywilizację znacznie przewyższającą naszą, chciałaby utrzymać swoje istnienie w tajemnicy”.

Dlatego „kontakt” Reinholda Schmidta jest dla nas szczególnie interesujący, gdyż miał miejsce stosunkowo niedawno i dostarcza dalszych informacji o pochodzeniu UFO. Schmidt po raz pierwszy opowiedział dziennikarzowi z pewnej gazety z Los Angeles o swojej podróży w sierpniu 1958 roku, a następnie powtórzył tę historię reszcie mediów i ufologom, którzy przybyli, by z nim porozmawiać. Reinhold Schmidt nigdy nie odmawiał udzielenia wywiadu i każdy, kto z nim rozawiał, wierzył w jego szczerość. Reporter Charles Longcroft z „Los Angeles Examiner”, napisał później: „Po raz pierwszy w życiu znalazłem się twarzą w twarz z kimś, kto twierdzi, że nawiązał kontakt z kosmitami lub że był w latającym talerzu... Odniosłem wrażenie, że

ten człowiek rzeczywiście coś zobaczył i że nie wymyślił całej tej historii dla zyskania rozgłosu”.

Reihold Schmidt urodził się w 1920 roku w Hamburgu, z którego jego rodzice uciekli po dojściu Hitlera do władzy. Cała rodzina przybyła do Kalifornii i otrzymała obywatelstwo amerykańskie. Reinhold zdobył wykształcenie w Los Angeles i tak jak jego ojciec prowadził niewielką firmę dostawczą w tym mieście. Powiedział, że zainteresował się latającymi talerzami po przeczytaniu przełomowej książki Franka Scully'ego *Behind the Flying Saucers* (Zagadka latających talerzy) w roku 1950, nigdy jednak nie oczekiwał, iż sam zobaczy jeden z nich. Wszystko w jego życiu zmieniło się w ciągu kilku dni w sierpniu 1958, jak powiedział dziennikarzowi „UFO Report”:

Pomyślałem, że miałem sen, w którym polecono mi, bym udał się do pewnego kamieniołomu w Bakersfield. W rzeczywistości, jak się później dowiedziałem, było to posłanie od kosmitów. 14 sierpnia pojechałem moim „buickiem” do tego kamieniołomu i po spędzeniu tam kilku godzin ujrzałem lądujący okrągły, srebrzysty pojazd kosmiczny. Wydawał się zrobiony z czegoś w rodzaju aluminium i wchodziło się do niego przez rozsuwane drzwi i po rampie, którą opuszczono na ziemię. W drzwiach pojawiła się jakaś postać trzymająca w ręku coś w rodzaju latarki elektrycznej. Błysnęła nią w moim kierunku i na minutę lub dwie sparaliżowała mi ruchy, nie przeszkadzając jednak ani w mówieniu, ani w myśleniu. Do postaci z latarką dołączyły później dwie inne. Zeszły po rampie i nagle spostrzegłem, że mogę się poruszać. Odprowadzili mnie do swojego pojazdu. Zamiast zostawić mój samochód w kamieniołomie, jedna z tych osób dała mi znak, że mogę go zabrać do maszyny; został więc przeniesiony na rampę, a potem na pokład. Później wystartowaliśmy i poleciliśmy na północ w stronę Alaski, a następnie do Arktyki i nad strefami polarnymi.

Schmidt stwierdził, że załoga latającego talerza składała się z czterech mężczyzn i dwóch kobiet. Wszyscy byli wysocy, mieli szlachetne rysy twarzy i nosili szare, obcisłe, jednoczęściowe kombinezony. Zwłaszcza kobiety były niezwykle piękne, miały klasyczną urodę, którą Schmidt zawsze łączył z obrazami przedstawiającymi starożytnych Greków i Rzymian. Mówili do siebie w języku, w którym rozpoznał *hoch Deutsch*, gdyż nauczyli go jego rodzice. Jednakże przez cały czas podróży zwracano się do niego w bardzo dobrej angielszczyźnie.

Godne uwagi w tym pojeździe kosmicznym było to, że od wewnątrz cały kadłub wydawał się przezroczysty i że można było widzieć wszystko oprócz sekcji zaciemnionych przez maszyny lub tablice kontrolne. Były tam leżanki, krzesła i stoliki i choć nie sprawiały wrażenia przymocowanych do podłogi, nie ruszały się z miejsca, kiedy latający talerz wykonywał najbardziej skomplikowane manewry z wielką szybkością. Przez cały czas widziałem tereny, nad którymi przelatywaliśmy, aż do Arktyki. Kiedy tam dotarliśmy, wydało mi się, że znaleźliśmy się pod Oceanem Arktycznym i że wlecieliśmy do jakiejś wielkiej dziury. Zobaczyłem, iż przelatujemy nad jakimś dziwnym krajobrazem, ale nigdzie nie wylądowaliśmy.

Reinhold Schmidt oświadczył, że jego „gospodarze” nigdy nie powiedzieli mu dokładnie, skąd przybyli, choć z każdą chwilą był coraz bardziej przekonany, iż ich ojczyzna musi się znajdować gdzieś w pobliżu bieguna północnego. Latający pojazd wskazywał, że ta cywilizacja jest w dużym stopniu zmechanizowana. Natomiast z ich zachowania Schmidt wywnioskował, iż prowadzą wygodne i spokojne życie. Czuł, że jeśli ich misja ma jakiś cel, to obserwowanie ludzkości i uniemożliwienie jej zniszczenia Ziemi.

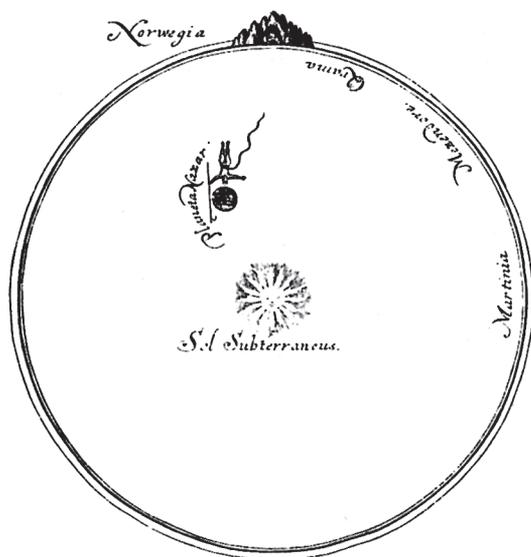
Podróż Schmidta trwała pięć dni, podczas których spał kilkakrotnie. Pamiętał, że miał wrażenie, iż widzi krainę podobną do Ziemi, oświetloną przez słońce dość różniące się od naszego. Dwukrotnie też wydało mu się, że przelatuje nad wielkim zakrzywieniem w oceanie, gdy horyzont przechylił się, obniżył, a potem znów wyprostował. 18 sierpnia odwieziono go do Kalifornii i ponownie znalazł się w kamieniołomach w Bakerfields obok swego buicka. Kiedy stał, odprowadzając wzrokiem znikający szybko w stronę północy statek kosmiczny, nagle uświadomił sobie, że ma nieoczekiwaną pamiątkę z tej niezwyklej podróży, która może pomóc mu przekonać ludzi o prawdziwości jego przeżyć. Zauważył bowiem, iż lakier na górnej części jego samochodu zaczął świecić.

Niektóre z najwcześniejszych legend o Pustej Ziemi twierdzą, że zamieszkują ją olbrzymy, demoniczne istoty, „mały ludek”, i mądra, pokojowo nastawiona humanoidalna rasa podobna do tej, której przedstawicieli spotkał Reinhold Schmidt. Jedni badacze uważają, że we wnętrzu naszej planety żyją ocalałe z katastrofy potomkowie Lemuryjczyków i Atlantów, którzy uciekli przed potopem zalewającym ich kontynenty. Drudzy zaś twierdzą, że Śródziemcy to ci sami „ludzie”, o których z lękiem i podziwem mówi część najstarszych mitologii. Przytaczają starożytne opowieści o pewnym plemieniu, przewodzonego przez podobne bogom istoty. Przede wszystkim zaś mówią o Grekach i Rzymianach, którzy rozwinęli całą teologię dotyczącą takich istot i którzy wierzyli, że „bogowie” i „boginie” w rzeczywistości są wysłannikami ze świata wewnętrznego. Historyk William F. Warren tak znacząco skomentował tę tezę w swojej książce *Paradise Found* (Raj odnaleziony, 1953): „W wielu starożytnych rękopisach i dokumentach są wzmianki mówiące o «dolnym świecie» jako o prawdziwej i rzeczywistej siedzibie. Jestem zdania, że religie mylą się nauczając o «piekle» w dole – ponieważ po wnikliwym zbadaniu tych tekstów okazuje się, iż opisują one raczej «raj» niż o ognistą otchłań”.

Autorem pierwszej pracy, w której snuł szczegółowe rozważania na temat tego, kim lub czym mogą być Śródziemcy, był pewien skandynawski intelektualista pracujący na uniwersytecie w Kopenhadze, profesor Ludvig Holberg (1684-1754). Jego napisana po łacinie i opublikowana w roku 1741 praca nosiła tytuł: *Nicolai Klimii iter Subterraneum. Novatelluris Theoriam as Historiam Quintae Monarchiae adhuc Nobis Incognitae* (Podróż Nielsa Klima do świata podziemnego). Holberg, który urodził się w Bergen w Norwegii, studiował w Danii, zanim został profesorem na tym samym uniwersytecie, najpierw filozofię i historię, a później metafizykę i retorykę

łacińską. Ten inteligentny i ciekawski uczoney napisał tę książkę, gdyż przez całe życie interesował się niezwykłymi legendami o świecie podziemnym krążącymi w jego rodzinnej Norwegii.

Dzieło Holberga opowiada historię pewnego mężczyzny, który, badając jakąś górę, przypadkowo trafia do Pustej Ziemi. Odkrywa tam centralne słońce, wokół którego krąży miniaturowa planeta, Nazar, a na wklęsłej powierzchni Ziemi żyje niezwykła rasa istot rozumnych. Jednakże Niels Klim dowiadyuje się, że w przeciwieństwie do świata, który właśnie opuścił, we wnętrzu Ziemi dominują kobiety. Pozostawiwszy mężczyznom najbardziej podstawowe zadania, stworzyły utopijny kraj pokoju i harmonii.



Pusta Ziemia według profesora Ludviga Holberga z uniwersytetu w Kopenhadze

Nikogo chyba nie zaskoczy, że Holberg wolał napisać swoją pracę po łacinie, ponieważ szybko została uznana w Danii za niebezpiecznie radykalną i – co prawdopodobnie zdarzyło się po raz pierwszy w dziejach teorii Pustej Ziemi – spróbowano wycofać ją z obiegu. Wprawdzie w następnym roku opublikowano jej angielski przekład, ale musiało upłynąć prawie pół wieku – i wiele lat od śmierci autora – zanim pojawiło się popularne duńskie wydanie.

Książka Holberga mogła zainspirować angielskiego prawnika, Roberta Paltocka (1698-1767) do zastanowienia się nad możliwością istnienia Pustej Ziemi i tożsamością jej mieszkańców. W każdym razie w 1751 roku Paltock opublikował swój własny wkład do tej teorii, dwutomową pracę *The Life and Adventures of Peter Wilkins, a Cornish Man*. Jej tytuł tak dokładnie wszystko wyjaśnia, że czytanie książki jest prawie niepotrzebne: „Życie i przygody Petera Wilkinsa, Kornwalijszczyka:

w szczególności dotyczą katastrofy jego statku w pobliżu bieguna południowego; jego zdumiewającego przejścia przez podziemną grotę do czegoś w rodzaju Nowego Świata; jego spotkaniu tam z Gawry czyli latającą kobietą, której życie ocalił i którą później poślubił, jego niezwykłej wędrówki do Kraju Glumów i Gawrys czyli latających mężczyzn i kobiet. Oprócz tego opis tej dziwnej krainy, z prawami, zwyczajami i sposobach zachowania jej mieszkańców, oraz relacja o niezwykłych transakcjach autora z nimi”.

Strona tytułowa w podobnym tonie wspomina o odlocie Wilkinsa ze świata wewnętrznego w latającej maszynie (kłania się UFO), uratowaniu go przez statek „Hector” i jego powrotnej podróży do Plymouth, gdzie, po opowiedzeniu swojej historii, zmarł w 1739 roku. Książkę ozdobił serią drzeworytów przedstawiających Gawries, które również rządzą tym narodem nie znającym wojen i wszelkiego zła świata zewnętrznego. Angielski poeta Samuel Taylor Coleridge nazwał tę książkę „niezwykle pięknym dziełem” i użył kilku pomysłów w swoim poemacie *Opowieść o starym żeglarzu*.

Prawdopodobnie ani Holberg, ani Paltock nie chcieli, by ich czytelnicy rzeczywiście uwierzyli w świat wewnętrzny pełen dominujących kobiet lub skrzydlatych ludzi (choć taki pomysł mógłby im się spodobać), ale ich książki pomogły w ponownym podjęciu dyskusji na temat tej legendy. O dziwo, zainteresował się nią Giacomo Casanova (1725-1798), włoski libertyn, który w 1788 roku napisał *Icosameron*, książkę wyróżniającą się realistycznym tonem i wspaniałymi rozważaniami naukowymi, gdzie przepowiedział m. in. odkrycie elektryczności... dzięki pomocy Śródziemców. Według niego w świecie podziemnym żyją Megamikrowie – duzi-mali – mały ludek, który jest wielki duchem. Zamieszkują swój podobny do rajy świat od niepamiętnych czasów i podobno są bez grzechu. Tutaj znów autor bez wątpienia zamierzał coś podkreślić, a nie wystąpić z poważną propozycją.

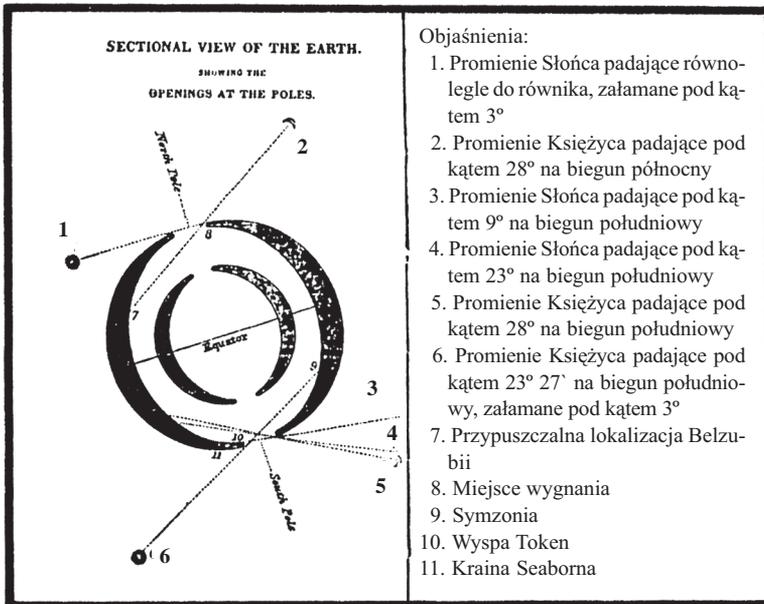
Niecałe pół wieku później kapitan John Cleves Symmes wysunął swoją teorię koncentrycznych sfer, ale uważał za niemożliwe, by ktoś już mieszkał we wnętrzu Ziemi. Według Paula Clarca (raport z „Atlantic Monthly”), jedyny ważny komentarz Symmesa w tej sprawie dotyczył przyszłości, kiedy ludzie będą mogli mieszkać w obu wymiarach:

Symmes oświadczył, że mieszkańcy powierzchni zewnętrznej będą się znajdowali na antypodach względem tych, którzy są tuż pod nimi, na powierzchni wewnętrznej, podobnie jak wobec mieszkańców przeciwległej strony Ziemi; natomiast mieszkańcy świata wewnętrznego znajdują się na antypodach tylko w porównaniu z tymi, którzy przebywają naprzeciwko nich po drugiej stronie, to znaczy, zewnętrzni mieszkańcy będą się znajdowali na antypodach względem dwóch rodzajów zamieszkujących Ziemię ludzi, natomiast ci ze świata wewnętrznego tylko jednego.

Jednakże pomysł Symmesa zainspirował książkę *Symzonia: A Voyage of Discovery* (Symzonia. Podróż odkrywca) pióra niejakiego kapitana Adama Seaborna,

opublikowaną w 1820 roku wraz z „Przekrojem Ziemi” ukazującym otwory na obu biegunach.

W swojej książce Seaborn opisuje wyprawę morską mającą odnaleźć wejście do Pustej Ziemi od strony bieguna północnego. Potężny prąd wsysa statek do wnętrza Ziemi i żeglarze odkrywają tam zaczarowany świat oświetlony przez dwa słońca i księżyc. Zamieszkuje go rasa o niezwykle białej skórze. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety ubierają się na biało dla okazania swojej czystości fizycznej i moralnej. Wydają się spokojni i łagodni, ale rozwinęli przerażający arsenał broni, którego najwidoczniej zamierzają użyć do ochrony swojego świata przed skalaniem go przez żyjących na powierzchni przedstawicieli *homo sapiens*. Kiedy marynarze odkryli, że w podziemnej krainie są wielkie złoża złota i zaczęli chciwie na nie zerkać, wszechwładny monarcha tego utopijnego świata bez ceregieli kazał im się wynosić.



Przekrój Ziemi, który pojawił się w książce *Symzonia* kapitana Adama Seaborna

Wysunięto przypuszczenie, że to sam Symmes mógł być „kapitanem Adamem Seabornem”, gdyż wiele wskazuje na to, że nazwisko pisarza jest wymyślone i nic o nim nie wiadomo. Jednakże ja sam i pewna liczba innych badaczy nie podzielamy tego poglądu z powodu dobrze znanej determinacji Symmesa, który pragnął, aby Ameryka zaanektowała Pustą Ziemię, miejsce, które, jak wierzył, będzie przyjazne, a nie wrogie ludziom. W eseju *The Authorship of Symzonia* (O autorstwie *Symzonia*) napisanym dla „New England Quarterly” Hans-Joachim Lang i Benjamin Lease

opowiedzieli się za kandydaturę Nathaniela Amesa, autora morskich opowieści; natomiast w egzemplarzu tej książki znajdującym się w Library of Congress w Waszyngtonie, jej autorstwo przypisuje się niejakiemu Jaredowi Sparksowi.

Trzydzieści lat po opublikowaniu *Symzonii* dwóm prawdziwym marynarzom przypisano dowodzenie wyprawami mającymi odnaleźć wejście do świata Symmesa. Notatka w grudniowym numerze miesięcznika „Izis” z roku 1941 stwierdza:

Pewien Anglik, kapitan Wiggins, przeczytał swoją rozprawę w „Society of Arts” na John Street o podróży do świata podziemnego. Podróżnik ten, po przebyciu 80 stopnia szerokości geograficznej północnej, ujrzał zalesioną krainę obfitującą w dziką zwierzynę; jej mieszkańcy mówili po hebrajsku i mieli wysoką kulturę. Może są oni potomkami zaginionych plemion Izraela, które powędrowały na północ od Eufratu, by zamieszkać w kraju, gdzie nigdy przedtem nie było ludzi? Mniej więcej w tym samym czasie kapitan Tuttle, stary amerykański dowódca wielorybnika, odwiedził „Symzonię”: ta relacja podobna jest do poprzedniej, z tą jednak różnicą, iż stwierdza, że w świecie podziemnym co czwarta zima jest łagodna i że można tam dotrzeć parowcem.

Willis George Emerson, który w 1908 roku opisał podróż Olafa Jensena do świata wewnętrznego, oświadczył, że stary rybak powiedział mu tuż przed śmiercią, iż miejsce to zamieszkuje rasa jasnoskórych olbrzymów. Mężczyźni są wysocy na 4 metry, a kobiety niższe o kilkadziesiąt centymetrów. Obie płcie noszą haftowane tuniki i sandały. Mają łagodne charaktery i żyją ponad pięćset lat. Według Jansena olbrzymi ci dysponują tajemniczą mocą potężniejszą od elektryczności, którą napędzają swoje maszyny i wyposażenie (przypomina mi to raczej moc zwaną *Vril*, którą omówiłem w mojej poprzedniej książce *Zaginiony świat Agharti*).

Brazylijski komandor Paulo Strauss ma podobne zdanie i własną teorię na temat historii jednego z najbardziej znanych zniknięć w tym stuleciu:

Ci podziemni ludzie mają budowę ciała podobną do mieszkańców powierzchni Ziemi, są jednak bardziej od nas zaawansowani. Są wśród nich tacy, którzy przybyli z zewnętrznej powierzchni naszej planety i postanowili tam pozostać, łącznie z pułkownikiem Percym Fawcettem, angielskim badaczem, który zniknął w 1925 roku podczas wyprawy badawczej, i jego synem Jackiem. Nie zostali oni zabici przez Indian w Matto Grosso, jak się powszechnie przypuszcza, ale znaleźli wejście do Pustego Świata, zeszli tam i zostali. Jeszcze po wielu latach żona Fawcetta twierdziła, że utrzymuje kontakt telepatyczny ze swoim mężem, który przebywa w jakimś podziemnym świecie.

Raymond Palmer w 1945 roku opublikował w „Amazing Stories” szereg opowiadań, które miały być oparte na „pamięci rasowej”. Twierdził w nich, że w Pustej Ziemi żyje nie jedna, lecz dwie rasy. W tych relacjach, „spisanych” przez Richarda S. Shavera (1907-1975), pensylwańskie medium, [pierwsza, wydana w marcu 1945 roku, nosiła tytuł *I remember Lemuria* (Pamiętam Lemurię)], mówi się, że

wnętrze naszej planety zamieszkują resztki imigrantów z jej powierzchni, zmuszonych szukać schronienia pod ziemią ponad 12 000 lat temu. Tam uciekinierzy podzielili się na dwie grupy. Jedna z nich, tak zwani „abandoneros” (skrótowe do „deros”) są wysoko rozwinięci technicznie, lecz mają złe zamiary. Posiadają latające maszyny (znów UFO) i różne złowieszcze przyrządy, których można użyć do obudzenia „żądzy mordy” w nic nie podejrzewających ofiarach. To właśnie deros, zdaniem Shavera, są odpowiedzialni za większość zła w naszym świecie – za wojny, wypadki, morderstwa i samobójstwa. Jednak ich najgorsze plany czasami krzyżuje malejąca liczba członków bardzo inteligentnej i pokojowo nastawionej pierwotnej rasy znanej jako „teros”.

Nic więc dziwnego, że doszło do wielkiej debaty nad tymi opowieściami – często nazywanymi „Tajemnicą Shavera” – i określonymi przez periodyk „Life” jako „najsłynniejsza awantura, która wstrząsnęła światem fantastyki naukowej”. Lecz przez całe życie Richard Shaver twierdził, że wierzy bez zastrzeżeń w to, co napisał. „Nie jestem naukowcem”, oświadczył broniąc swoich opowieści, „ale przeczytałem wszystkie książki naukowe, które zdołałem zdobyć – i w rezultacie jeszcze mocniej uwierzyłem, że przypominałem sobie prawdę”.

Może jeszcze bardziej interesująca jest relacja naoczego świadka, amerykańskiego geologa, który należał do grupy pracującej na Antarktydzie podczas Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Mężczyzna ten wraz z kolegą przeprowadzał eksperymenty na wybrzeżu Knox, kiedy nagle świat przesłonił im „silny biały wir”, który, jak zdawali sobie sprawę, nie mógł być zjawiskiem meteorologicznym. Wiedząc na pewno, że w sąsiedztwie nie ma nikogo, obaj mężczyźni ruszyli w stronę niezwyklej trąby powietrznej i odkryli, iż nie wywołał jej śnieg, lecz rodzaj gorącej białej pary wodnej o ostrym zapachu, którego nie umieli określić. W środku z białej chmury, kiedy się rozwinęła, ujrzeli konstrukcję w kształcie kopuły, wysoką na około dwa metry, o średnicy mniej więcej dziesięciu metrów. Lśniła jak szkło.

Mimo że nie wątpię w kwalifikacje i uczciwość obu wymienionych w tej relacji uczonych, poproszono mnie, abym nie podawał ich nazwisk. Przytaczam jednak tutaj historię opowiedzianą własnymi słowami przez jednego z nich.

Najpierw uznałem, że jest to coś nieznanego znajdującego się pod ziemią, może pochodzenia wulkanicznego. Jednocześnie zafascynowany i przerażony, pobiegłem w stronę kopuły. Początkowo, gdy ujrzałem dwie poruszające się postacie, pomyślałem, że ktoś dotarł tam przede mną. Lecz potem zmroziło mi krew w żyłach, kiedy zobaczyłem, że nie są to ludzie, lecz okrągłe „stwory”, żółtawe, nie wyższe niż metr, podobne do balonów, lecz niezdarnie poruszające się po lodzie i tylko w połowie napompowane, kołyszące i obracające się wokoło. W pobliżu nich lub na nich znajdowało się światło przypominające mi blask palnika acetylenowotlenowego. Mała kula jakby wybuchła przede mną, rozrzucając wokół niebieskie iskry. Wpadłem w panikę i rzuciłem się do ucieczki. „Uciekaj!”, zawołałem do mojego przyjaciela, który pozostał z tyłu. „Uciekaj, szybko!” Odwróciliśmy się, by spojrzeć za siebie dopiero

wtedy, gdy znaleźliśmy się w naszym bezpiecznym pojeździe. Przez kilka chwil widzieliśmy odbicia kopuły, a potem ujrzeliśmy inny biały wir. Widać też było odbicie na niebie, ale ledwo dostrzegalne, potem zaś, kiedy chmura zniknęła, na lodzie nie było.

Nie ma zgodności na temat tego, co właściwie ujrzeli uczeni. Relacja sugeruje, że natknęli się na UFO, które wylądowało na lodzie, może tuż przed lotem do południowego wejścia do Pustej Ziemi. Lecz jeśli tak było, wygląd „stworów” w dziwnym pojeździe nasuwa przypuszczenie, iż jej mieszkańcami raczej są kosmici niż humanoidzi.

Jeszcze jeden raport doprowadza tę niezwykłą opowieść do naszych czasów. Według artykułu zamieszczonego w „The National Enquirer” z 25 lutego 1992 roku, duński uczony i podróżnik, Edmund Bork, niedawno wrócił z międzynarodowej wyprawy, która ubiegłego lata wyruszyła na poszukiwanie otworu na biegunie północnym. (Bork dowodził tą ekspedycją). Wygląda na to, że znalazł on tę szeroką na 2252,6 kilometra dziurę, dzięki zdjęciu zrobionemu przez satelitę ESSA-7. Duńczyk powiedział reporterowi:

Na biegunie północnym jest dziura, która prowadzi do tropikalnego rajy znajdującego się w środku Ziemi. Ma on własne słońce, płytkie, ciepłe morza i bujną, tropikalną roślinność. Co więcej, tamtejszy kontynent zamieszkuje wysoko zaawansowana i bardzo pokojowo nastawiona ludzka rasa. Normalnie nie widać tej dziury z powietrza z powodu grubej powłoki chmur nad biegunem północnym. Jest niewidoczna również dlatego, że mieszkańcy Pustej Ziemi zasłaniają ją elektronicznymi „kurtynami świetlnymi”. Kurtyny te dają złudzenie wielkich, zaśnieżonych pól lodowych dzięki poddaniu manipulacji holograficznej śniegu i lodu otaczającego dziurę na biegunie. Ponieważ jest ona tak duża, ma bardzo mały spadek i dlatego polarnicy nawet nie zdają sobie sprawy, że wchodzi do innego świata.

„National Enquire” dodał w postaci przypisu:

Niektórzy ludzie twierdzą, że weszli do dziury na biegunie północnym. Jest wśród nich William Shavers, amerykański pilot wojskowy, który rozbił się na biegunie północnym podczas II wojny światowej. W roku 1956 pewne wędrownie eskimoskie plemię również powiadziło kanadyjskiemu reporterowi, że znalazło „zieloną krainę na szczycie świata”.

To ostatnie zdanie zasługuje na więcej uwagi, ponieważ część badaczy i podróżników wierzy, że Inuici są blisko związani z Pustą Ziemią i może nawet stamtąd pochodzą. Na pewno pozostają jednym z najbardziej tajemniczych ludów na Ziemi, żyją w najbardziej wrogim dla człowieka środowisku i niewiele wiadomo o ich pochodzeniu. Pewne autorytety uważają, że Inuici są najstarszymi mieszkańcami półkuli północnej. Zamieszkują obszar, którego natura nie przeznaczyła dla ludzi, i na który dotarli przypadkiem.

Norweski polarnik Nansen w książce *In northern Mists* (W północnych mgłach, 1911) napisał o swoich kontaktach z Eskimosami, czyli Inuitami i w pewnym miejscu stwierdził:

Kiedy przypomnimy sobie, że gdy Eskimosi próbują nam powiedzieć, skąd przybyli, wskazują na północ i opisują kraj, gdzie przez cały czas świeci słońce, łatwo jest zrozumieć, iż Norwegowie, którzy kojarzą strefy polarne z końcem świata, zastanawiają się nad tymi osobliwymi słowami. Nic więc dziwnego, że uważamy ich za niezwykły, może nawet nadprzyrodzony lud, który równie dobrze mógł przybyć z wnętrza Ziemi.

W 1909 roku, kiedy kontradmirał Robert Peary badał biegun północny, z zaskoczeniem dowiedział się, że jego eskimoscy przewodnicy wierzyli, iż „wyruszył on, by znaleźć «wielki lud» na północy, z którego się wywodzą”. Peary rozumiał, że mieli na myśli jakiś raj, którego mieszkańcy władali wielkimi mocami. Sądząc po tym, co zdołał wywnioskować o ich religii, Eskimosi wierzyli, iż po śmierci „zejdą pod ziemię, gdzie słońce nigdy nie zachodzi i wody nigdy nie zamarzają”.

Charles Berlitz w książce *World of Strange Phenomena* opowiada historię dwóch archeologów, Magnusa Marksa i Froelicha Raineya, którzy w czerwcu 1940 roku prowadzili wykopaliska w Ipiutak. Odkryli tam starożytne ruiny, które byli w stanie opisać tylko jako „Arktyczne Megalopolis”. Rzędy pogrzebanych pod lodem i śniegiem kamieni i wyszukane eskimoskie rzeźby wskazywały, że było tam co najmniej osiemset domostw rozciągniętych wzdłuż wybrzeża na ponad 1,5 kilometra. Mieszkało w nich około czterech tysięcy osób.

Według Raineya było to niewiarygodnie dużo jak na wioskę eskimoskich myśliwych, dlatego wysunął następujące przypuszczenie: „Mieszkańcy tego Arktycznego Megalopolis przynieśli swój kunszt z jakiegoś zaawansowanego kulturalnie ośrodka”.

W swojej pracy *Not of this World* Peter Kolosimo stwierdza również znacząco: „Eskimosi wierzą, że deportowano ich w «wielkich metalowych ptakach» [znowu UFO!] z rejonów, które dzisiaj leżą w tropikach. Inna eskimoska legenda, również znana jak ta, mówi, że niekórzy ich proajcowie, teraz martwi lub «zabrani do nieba», później wrócili obdarzeni magicznymi mocami, których nigdy przedtem nie mieli”.

William Reed i Marshall B. Gardner, którzy, pisząc swoje książki, pełnymi garściami czerpali z relacji Nansena i Peary’ego, doszli do takiego samego wniosku w sprawie pochodzenia Eskimosów. Jak zauważył Theodore Fitch w *Our Paradise Inside the Earth*: „Zarówno Reed, jak i Gardner oświadczyli, że po drugiej stronie gigantycznej lodowej zapory musi istnieć jakaś rajska kraina. Obaj uważali, że żyje we wnętrzu Ziemi rasa małych, brązowoskórych ludzi. Możliwe, iż Eskimosi wywodzą się z tego ludu”.

I rzeczywiście tak jest. Całkiem niedawno, 26 kwietnia 1998 roku, londyńskie czasopismo „The Sunday Times” doniosło: „Na skraju pól lodowych na biegunie

północnym odkryto zaginione plemię ciemnoskórych Eskimosów”. Uczni mają nadzieję, że będą mogli przeprowadzić badania nad tymi mężczyznami i kobietami, ich stylem życia, kulturą i tradycjami, oraz wszelkimi różnicami między nimi a ich bledszymi bliźniami. Czas pokaże, czy badania te staną się wielkim krokiem naprzód na drodze do odkrycia innej tajemnicy Pustej Ziemi: kim są jej mieszkańcy (jeśli w ogóle jest zamieszкана)?

Wszechświat pustych światów?

Podczas „naukowych odwiedzin” w kwaterze głównej NASA w Waszyngtonie miałem okazję obejrzeć niektóre ze wspaniałych zdjęć planet i księżyców z naszego systemu słonecznego zrobionych przez amerykańskie sondy międzyplanetarne. Te zapierające dech w piersi barwne fotografie, zrobione z bliska przez różne przelatujące obok sondy ujawniają, że Księżyc, Mars, Wenus, Jowisz, Saturn i inne ciała niebieskie nie są tylko punkcikami w ogromie przestrzeni kosmicznej, lecz naprawdę zdumiewającymi światami. Szczegóły są tak wyraźne, że patrzącemu wydaje się, iż prawie dotyka miejsc, które od wieków rozpałały ludzką wyobraźnię.

Kiedy patrzyłem na szczególnie piękne, kolorowe zdjęcie Kallisto, jednego z księżyców Jowisza, przyszła mi do głowy zaskakująca myśl. Zdjęcie to zrobił Voyager 2 w lipcu 1979 roku. Ukazywało ono powierzchnię tego niewielkiego księżyca – jednego z czterech wielkich i dwunastu mniejszych, które krążą wokół największej planety naszego układu słonecznego – iskrzącą się od światła, które zdawały się świecić przez dziury w jego powierzchni. Praktycznie rzecz biorąc, wyglądał on jak gigantyczny glob oświetlony od wewnątrz. Ta myśl mnie zelektryzowała. Czy i Kallisto może być pustym światem? Zastanawiałem się nad tym, jeszcze uważniej przyglądając się zdjęciu. A jeśli jest to prawdziwe w przypadku Kallisto, czy mogą istnieć inne puste światy i czy Ziemia nie jest tylko jednym z wielu takich światów w naszej galaktyce?

Od tamtej pory odkryłem, że i innym badaczom przyszły do głowy podobne myśli. Doszli oni do wniosku, iż możemy żyć we Wszechświecie złożonym z pustych światów. To, co miało miejsce przy narodzinach jednej planety, na pewno może powtórzyć się przy innych.

Szukając faktów dla udowodnienia tej hipotezy, wróciłem znów do Symmesa, który użył planety Saturn jako jednego z argumentów. Oczywiście Paul Clark, który notował odczyt kapitana Symmesa, nie pominął tego ważnego stwierdzenia, choć na nieszczęście tylko je streścił. Cytuję za „Atlantic Monthly”: „Kapitan Symmes utrzymywał, że inne planety, podobnie jak Ziemia, są złożone z koncentrycznych sfer; nie

mam jednak dość miejsca, aby opisać widoki z teleskopu, które przytoczył na poparcie swojej teorii”.

Źródła sugerują, że Americus, syn Symmesa, podjął pałeczkę w tym miejscu, gdyż zgodnie z esejem Williama Mariona Millera „Teoria Koncentrycznych Sfer”, zamieszczonym w „Izis” (grudzień 1941 roku): „młodszy Symmes później uporządkował i szczegółowo opracował w zasadzie te same fakty na poparcie teorii swego ojca – że pierścienie Saturna to dowód na istnienie koncentryczności w naturze, tak jak rogi Wenus i pas Jupitera”.

Kiedy Marshall B. Gardner napisał swoją książkę *A Journey to the Earth Interior* (Podróż do wnętrza ziemi) na początku naszego wieku, zapuścił się w głębokie rozumowanie dla udowodnienia tej tezy.

Kiedy mówimy, że Ziemia jest pustym w środku ciałem z otworami na biegunach i wewnętrznym słońcem, popieramy to stwierdzenie odwołując się do mgławic w różnych stadiach ich rozwoju. I na każdym z tych etapów wyraźnie widać stopniowe kształtowanie się zewnętrznej skorupy przyszłej planety i wewnętrznego słońca, a nawet zaczątki otworów na biegunach. Później zwracamy uwagę na obecną strukturę planety, Marsa, Wenus i Merkurego, i wyjaśniamy, jak wyglądają te otwory polarne. Podkreślamy, że na biegunach tych planet znajduje się coś więcej poza czapami lodowymi, ponieważ widziano bijące z nich światło. A później na zakończenie udowadniamy, iż Ziemia, podobnie jak Mars i inne planety, też ma otwory na biegunach.

O dziwo, miało upłynąć następne pięćdziesiąt lat, zanim jakikolwiek badacz Pustej Ziemi spojrział na niebo w poszukiwaniu dowodów na poparcie tej koncepcji. A kiedy to zrobił, rezultatem był wyrok sądowy i poniżenie autora hipotezy o Pustym Słońcu. Martin Gardner podaje te fakty w swojej doskonałej pracy *Pseudonauka i pseudouczeni* z 1957 roku:

W 1952 roku pewien zachodniemiecki prawnik pracujący dla urzędu patentowego, Godfried Bueren, zaofiarował 25 tysięcy marek każdemu, kto obali jego teorię Pustego Słońca. Według Buerena, zewnętrzna płomienna skorupa Słońca otacza chłodną wewnętrzną sferę. To pokryte roślinnością ciemne jądro można dostrzec przelotnie poprzez plamy słoneczne, które są czasowymi rozdarciami w rozjarzonej skorupie naszej gwiazdy dziennej. Niemieckie Towarzystwo Astronomiczne starannie obaliło tę tezę punkt po punkcie, a kiedy Bueren odmówił zapłacenia nagrody, wystąpiło na drogę sądową. Choć wydaje się to nie do wiary, sąd wydał wyrok na korzyść astronomów. Rozkazano Buerenowi zapłacić sumę, którą zaofiarował, a oprócz tego koszty procesu i odsetki.

Teorię tego Niemca na pewno trudno jest sobie wyobrazić. Bardziej prawdopodobna wydaje się teza, że to Księżyc mógłby być pusty w środku, jak po raz pierwszy zasugerowało w styczniu 1970 roku dwoje rosyjskich uczonych, Michaił i Aleksandra Szczerbakowowie z Radzieckiej Akademii Nauk. W artykule opublikowanym

w „Komsomolskiej Prawdzie” odrzucili trzy ogólnie przyjęte hipotezy o pochodzeniu Księżycyca:

1. Księżyc jest wydartą przez siłę ciężenia częścią Ziemi.
2. Księżyc powstał niezależnie od niej z tego samego obłoku gazu i pyłu.
3. Księżyc przywędrował z daleka do naszego Układu Słonecznego i że schwytała go ziemską grawitacja.

Zdaniem Szczerbakowów, niska w porównaniu z Ziemią gęstość Księżycyca pozwala przypuszczać, że w istocie nasz naturalny satelita jest kulą pustą w środku:

Wydaje się on składać z dwóch skorup między którymi znajduje się atmosfera: wewnętrznej, grubej na 30 kilometrów i złożonej z wyjątkowo twardego metalu, oraz zewnętrznej o grubości około 4 kilometrów, złożonej z chroniących przed zmianami temperatury, odpornych i nie utleniających się skał zawierających chrom, tytan i cyrkon. Większe kratery księżycowe, zdumiewająco płytkie, wybiły meteoryty uderzające w te metalowe „absorbery wstrząsów”. Wybuchaly one na boki, a nie w głąb, powodując powstanie rozległych płytkich dziur i rozrzucając wszędzie wokół swoje szczątki.

Najbardziej fascynującym elementem teorii rosyjskiego małżeństwa jest przekonanie, że Księżyc w rzeczywistości jest sztucznym satelitą, wystrzelonym niegdyś na geocentryczną orbitę wokół Ziemi przez niezwykle inteligentnych kosmitów, których cała cywilizacja miała bazę w olbrzymim statku kosmicznym:

W pustym wnętrzu Księżycyca znajdują się magazyny na napęd, narzędzia i materiały do napraw, instrumenty nawigacyjne i obserwacyjne. Niektóre skały księżycowe są odmienne i starsze od ziemskich. Nie dowodzi to, że Księżyc został zbudowany przed powstaniem Ziemi, ale bez wątplenia jest bardzo wiekowy. Satelita ten, obecnie prawdopodobnie niezamieszkały, zamienia się we wrak, jego stabilizatory już nie funkcjonują, bieguny się przemieściły, a odwrócona od Ziemi strona kołysze się mocno. Ciemne „maria”, czyli „suche morza”, wydają się być fragmentami metalowej wewnętrznej sfery obdartej z powłoki ochronnej, później załatanymi. Materiał, którym je naprawiono, i ekwipunek ukryty pod tymi miejscami wyjaśniają zagadkę „maskonów”, stref o zwiększonej grawitacji odkrytych z dziwacznych orbit naszych własnych księżycowych satelitów. Gazy czasami wydobywające się z kraterów nie są rezultatami aktywności wulkanicznej, lecz wyciekami wewnętrznej atmosfery Księżycyca przez pęknięcia w zewnętrznej kuli.

Choć początkowo teza ta musiała zaskoczyć wielu czytelników, niebawem przyciągnęła uwagę poważnych osób w Ameryce, a zwłaszcza pisarza SF Dona Wilsona, który opublikował serię esejów w periodyku „Fate”, dając różne przykłady, by wykazać, jakim dziwnym miejscem jest w istocie Księżyc. Przytoczył pewną liczbę ciekawych zjawisk, które zaobserwowali na powierzchni Księżycyca astronomowie z całego świata, łącznie z obłokami pary wodnej i tajemniczymi mrugającymi światłkami.

Zwrócił też uwagę na fakt, że przeciętna gęstość Księżyca jest taka sama jak lekkiego przecieź aluminium, i wydrukował nowe zdjęcie jednego z kraterów na biegunie południowym Księżyca, znacznie głębszego od pozostałych. Wysunął przypuszczenie, że może to być wejście do pustego wnętrza, bardzo podobne do dziur w arktycznych i antarktycznych strefach na Ziemi. Dodał dalej:

Dane sejsmiczne z Księżyca również wywierają wyjątkowe wrażenie. Naukowcy dosłownie omal nie spadli z krzesel, kiedy po raz pierwszy je odebrano. Analiza przeprowadzona przez uczonych z NASA w roku 1962 zdawała się prowadzić tylko do jednego wniosku – że Księżyc musi być pusty w środku! W astronomii masę oblicza się na podstawie mas względnych innych ciał niebieskich. Jeżeli tak się rzeczy mają, jeśli Księżyc jest pusty w środku, podobną budowę może mieć również Ziemia i inne planety oraz ich księżyce, ponieważ grawitacja opiera się na masach – masach względnych i na odległościach. W takim razie, gdyby tylko jedno ciało było puste, bardzo by się różniło od wszystkich innych.

Później część badaczy Pustej Ziemi ułożyła listę planet i księżyców, które według wszelkiego prawdopodobieństwa mogą być puste w środku. Po Ziemi i Księżycu są to: Merkury, Wenus, Mars i jego księżyc Fobos, Jowisz i jego satelita Kallisto, Saturn i, choć to tylko możliwe, dwa bardzo niedawno odkryte księżyce Urana.

MERKURY jest planetą najbliższą Słońcu i uważa się, że ma on najbardziej wrogie życie środowisko ze wszystkich światów w naszym układzie słonecznym. Podobny jest do Księżyca, ma wiele wyraźnie widocznych kraterów i, co znamienne, wnętrze, które „bardzo przypomina ziemskie”, jak stwierdził pewien uczony z NASA po przelocie obok Merkurego sondy „Mariner” 10 w 1974 roku. Dziwnie słabe pole magnetyczne Merkurego sprawia, że ma on niezwykłą oś obrotu. Właśnie na podstawie tego faktu po raz pierwszy zaczęto się zastanawiać, czy planeta ta może być pusta w środku.

W przeszłości astronomowie kilkakrotnie zauważyli maleńką, jasną plamkę na powierzchni Merkurego podczas jego zaćmienia. Dało to Raymondowi Palmerowi powód do zadania w artykule opublikowanym w periodyku „The Hidden World” następującego pytania: „Czyż nie jest prawdziwe, że w tej właśnie chwili otwór polarny Merkurego, utworzony jak w innych ciałach niebieskich w rezultacie ruchu wirowego, ustawia się w dokładnie takiej pozycji, by można było go obserwować?” Dalszą dyskusję podjął po raporcie na ten sam temat zamieszczonym w kwietniowym numerze „Final Frontier” z 1992 roku: „Pomimo temperatur, które mogą dochodzić do ponad 444 stopni Celsjusza, badacze w kalifornijskim Institute of Technology w Pasadena zidentyfikowali, jak sądzą, lodową czapę (z zamrożonej wody) o średnicy ponad 290 kilometrów na biegunie północnym Merkurego”.

WENUS często nazywa się „Siostrzaną Planetą Ziemi”, ponieważ jest naszą najbliższą sąsiadką odległą tylko o 41,8 miliona kilometrów. Sondy badawcze, zarówno z Rosji, jak i ze Stanów Zjednoczonych przeniknęły przez grubą pokrywę żółtawych

chmur, które zasłaniają tę planetę. Okazało się, że w prawie 95 procentach składają się one z dwutlenku węgla – z niewielką domieszką dwutlenku siarki, który nadaje im zabarwienie – zauważono jednak ślady pary wodnej. Powierzchnia Wenus to wielkie, faliste równiny i cztery ogromne wyżyny usiane aktywnymi wulkanami. Roczniki astronomiczne mówią nam, że dwukrotnie, w roku 1686 i w 1833 zauważono na biegunach Wenus „jasne światła”. Potem w 1978 roku Pionier 12 orbitujący wokół tej planety odkrył „dziury” w jej atmosferze tuż nad biegunami. Dziesięć lat później natrafiono na jeszcze ważniejszy dowód, kiedy Laboratorium Napędu Odrzutowego NASA wypuściło serię radarowych zdjęć Wenus, a jedno z nich wyraźnie ukazywało otwór na biegunie północnym. Fotografia wywarła tak wielkie wrażenie na społeczności uczonych, że opublikowano ją na okładce kwietniowego wydania miesięcznika „Discovery” z roku 1989.

MARS, „Czerwona Planeta”, prawdopodobnie wzbudził większe zainteresowanie niż jakikolwiek inny świat w naszym układzie słonecznym, i na pewno szeroko rozpowszechnione są spekulacje o możliwości istnienia na nim życia. Historie o tak zwanych „kanałach” są częścią folkloru naukowego, a książki takie jak *Wojna światów* H. G. Wellsa (1898) zapewniły mu wyjątkowe miejsce w fantastyce naukowej. Z powodu jego nierównych ruchów, czap lodu na biegunach i ciemnych, niebiesko-zielonych formacji, które ciągle się zmieniają, uważa się, że prawdopodobieństwo, iż ma puste wnętrza, jest bardzo wysokie. Mars ma dzień niemal tak długi jak Ziemia, choć jego atmosfera jest znacznie rzadsza i składa się głównie z dwutlenku węgla. Panujące na nim temperatury nie pozwalają na dłuższe istnienie wody w stanie płynnym, dlatego bezpośrednio z pary wodnej zamienia się ona w lód i odwrotnie.

Amerykański astronom Percival Lowell (1855-1916) pierwszy wysunął przypuszczenie, że na Marsie może istnieć życie po zaobserwowaniu przecinających się linii, które uznał za „kanały”. Pierwszy też snuł rozważania teoretyczne o tym, że Mars może być pusty w środku. Dostrzegł przez teleskop „ciemne, koliste pasy”, które pojawiły się wokół biegunów podczas pewnego marsjańskiego lata, a następnej wiosny zauważył coś jeszcze dziwniejszego. „Kiedy obserwowałem tę planetę, ujrzałem nagle dwa podobne do gwiazd punkty, które rozblęły pośrodku lodowej czapy na biegunie północnym. Gwiazdy, oślepiając białe na tle bardziej matowego białego śnieżnego tła, świeciły jasno przez kilka chwil, a potem powoli zniknęły”. Czy mogły to być promienie światła z centralnego słońca wewnątrz Marsa? Współczesny pisarz SF, Martin Caidin, poinformował też, że w ostatnich latach kilku amerykańskich i rosyjskich astronomów zauważyło bardzo jasne błyski na biegunach Marsa. Ernest L. Norman, amerykański badacz zjawisk paranormalnych, twierdzi w swojej książce *The Truth About Mars* (Prawda o Marsie, 1998), że planeta nie tylko jest pusta w środku, lecz także zamieszkała przez wysoce inteligentną, humanoidalną rasę.

Na Marsie wszystkie miasta znajdują się pod powierzchnią planety. Ponieważ temperatura na zewnątrz jest bardzo niska a zawartość tlenu w atmosferze niewielka, w coraz mniejszym stopniu zależne są od tego źródła powietrza. Przed tysiącami lat

Marsjanie nauczyli się otrzymywać powietrze z wody poprzez elektrolizę... Są spokojnym, pokojowo nastawionym ludem, który wyemigrował na Marsa w statku kosmicznym z jakiejś umierającej planety i osiedlił się pod wrogą życiu powierzchnią.

FOBOS znajduje się bliżej Marsa niż drugi księżyc, w odległości około 9380 kilometrów, i wiele wskazuje na to, że również on jest pusty w środku. Ten mały satelita o średnicy mniej więcej 32 kilometrów, porusza się wyjątkowo szybko, gdyż okrąża Marsa w ciągu ponad siedmiu godzin, co oznacza, że robi to dwukrotnie podczas marsjańskiego dnia. Na powierzchni tego księżycyca znajdują się liczne bruzdy szerokie na około 200 metrów i kilka kraterów, z których największy nazwano Stickney. Zdjęcia Fobosa zrobione przez sondę Viking pod koniec lat 70. nadają mu dziwaczny wygląd statku międzygwiazdowego krążącego wiecznie po orbicie wokół Marsa.

JOWISZ jest największą planetą w systemie słonecznym – w jego bryle mogłoby się zmieścić ponad tysiąc trzysta światów wielkości Ziemi – i pierwszą z czterech planet poza pasem asteroidów, która wraz z Saturnem, Uranem i Neptunem tworzy tzw. „Grupę Jowiszową”. Znany jest ze słynnej „Wielkiej Czerwonej Plamy”, dziwnego zjawiska tak olbrzymiego, że pomieściłoby dwie Ziemie. Ten tajemniczy świat od pokoleń fascynował astronomów. Jednakże ku ogólnemu zdumieniu, w roku 1979, kiedy Voyager 1 przeleciał obok Jowisza, okazało się, że ta plama w rzeczywistości jest wirem przeszywającym trzy odrębne warstwy wody, wodorosiarczku amonu i amoniaku aż do powierzchni planety! Dało to początek rozważaniom, że Jowisz mógłby być pusty w środku, z przynajmniej jednym wejściem, znacznie lepiej widocznym niż jego odpowiedniki na Ziemi lub na innych planetach. Voyager 1 potwierdził też, że Jowisz prawdopodobnie powstał z wirującej chmury pyłu i gazów i obecnie można go porównać do gigantycznego „wora” z gazów, głównie wodoru i helu, w wielkich „skorupach” grubych na tysiące kilometrów. Ale to, co znajduje się w ich środku stanowi prawdziwą zagadkę Jowisza.

KALLISTO, księżyc Jowisza, który pierwszy wzbudził moje zainteresowanie ewentualnością istnienia innych pustych światów, może być, według uczonych z NASA, jedynym miejscem w systemie Jowisza, na którym ludzie w przyszłości będą w stanie łatwo wylądować. Ten najbardziej oddalony z czterech największych księżyców Jowisza, nazwany tak przez Galileusza, który odkrył je w roku 1610 (trzy pozostałe to Io, Europa i Ganimedes) ma około 4827 kilometrów średnicy i, jak się uważa, cienki lodowy płaszcz i grubą lodową skorupę. Na powierzchni Kallisto znajduje się więcej kraterów niż na jakimkolwiek innym księżycu lub planecie w układzie słonecznym, ponieważ od początku jego istnienia bombardują go meteoryty. Najciekawszym widokiem jest szeroki na 608 kilometrów krater w samym środku szeregu koncentrycznych pierścieni rozciągających się na co najmniej 1000 kilometrów we wszystkie strony. Czy może to być otwór prowadzący do jego wnętrza?

SATURN jest jednym z cudów systemu słonecznego ze swymi charakterystycznymi pierścieniami. Wisi na niebie jak wielka, świecąca kula z gromadą księżyców, leniwie okrążając Słońce raz na dwadzieścia dziewięć ziemskich lat. Przez dłuższy czas mylnie sądzono, że Saturn to trzy planety i dopiero w 1659 roku duński astronom Christian Huygens określił go jako pojedynczy świat „otoczony cienkim, płaskim pierścieniem, który nigdzie go nie dotyka”. To Voyager 1 dostarczył pierwszych zrobionych z bliska zdjęć tego romantycznego świata, ujawniając, że system pierścieni w rzeczywistości składa się z trzystu „pierścionków” z twardego lodu i skał. Cząstki te nie łączą się stopniowo, jak wynikałoby z konwencjonalnej teorii, ale są rozdzielone z powodu skomplikowanych oddziaływań grawitacyjnych między materiałem, z którego składa się pierścień, i sześcioma z piętnastu księżyców Saturna. Nie wiadomo, czy pierścienie powstały w tym samym czasie, co planeta, czy też może są pozostałościami jakiejś komety lub planetki, która przeleciała za blisko, została rozzerwana i rozsypała się na orbicie. Saturn obraca się w ciągu około dziesięciu ziemskich godzin i jest bardziej spłaszczony na biegunach niż większość planet w układzie słonecznym. Skomplikowana budowa pierścieni wywołała wiele spekulacji o prawdziwej naturze tej planety. Nie zapomniano przy tym o białych, owalnych plamach na powierzchni Saturna, które również sfotografowała sonda wysłana przez NASA. Pasma jaśniejszych i ciemniejszych chmur, wskazujące na istnienie odpowiedników ziemskich stref klimatycznych, równikowej i umiarkowanej, są równie intrygujące. Lecz to fakt, że planeta składa się z lodu, wodoru i helu z pewną domieszką płynnych skał dał początek rozważaniom, że ona również może być pusta w środku.

URAN, niebieskozielony dysk na odległym krańcu układu słonecznego, jest trzecim z kolei największym ciałem niebieskim w „Grupie Jowiszowej”. Przypomina wyglądem Jowisza i Saturna, ma średnicę czterokrotnie większą od Ziemi i gęstą, złożoną z wodoru atmosferę. Uran ma też wyjątkową orbitę, gdyż nachylenie jego równika do płaszczyzny orbity wynosi 98 stopni – co znaczy, że najpierw zwraca w stronę Słońca jeden, a potem drugi biegun podczas trwającego osiemdziesiąt cztery ziemskie lata obrotu wokół naszej gwiazdy dziennej. Oba bieguny są widocznie spłaszczone. Natomiast planeta ta obraca się bardzo szybko wokół swojej osi, co piętnaście ziemskich godzin. Oczywiście rezultatem są najdziwniejsze „pory roku”, z długimi okresami dnia i nocy. Na powierzchni Urana zauważono pewną liczbę ciemnych plam obok dość ciemnych biegunów. Dało to początek spekulacjom, że jakieś zaburzenia mogą mieć miejsce wewnątrz tej planety.

Dwa małe, niedawno odkryte księżycy, oba dość oddalone od Urana i jeszcze nie nazwane, zwiększyły tylko tajemniczość tej planety. Odkrył je w kwietniu 1998 roku zespół astronomów pod kierownictwem doktora Bretta Gladmana z University of Toronto, używając kamer zamontowanych na czterometrowym teleskopie w obserwatorium w Palomar. Parę tę dołączono do znanej wcześniej piątki księżyców – Oberona, Tytanii, Ariela, Umbriela i Mirandy. Podobno mają one średnicę odpowiednio 64,3 i 128,7 kilometra i niezwykłą, czerwoną barwę. Pierwsze obserwacje tych księżyców

przeprowadzone przez doktora Gladmana sugerują, że mogą one pochodzić spoza Układu Słonecznego i że zostały „schwyte” przez przyciąganie grawitacyjne Urana. Znowu podobieństwo tych dwóch interesujących księżyców do Fobosa i Kallisto doprowadziło do rozważań, że one również mogą być „wydrażone”.

Wydaje mi się teraz całkiem oczywiste, że im dalej sięgamy w Kosmos, tym bardziej rośnie prawdopodobieństwo, że Ziemia jest tylko jednym z wielu pustych światów. Przyznaję, iż większość uczonych i astronomów z dużą dozą sceptycyzmu patrzy na tę teorię. Jednak żaden z nich nie zdołał przytoczyć dostatecznie dużo faktów, które by ją całkowicie obaliły. Jest jeszcze jedna idea, która intryguje mnie tak samo, jak innych badaczy Pustej Ziemi. Chodzi o to, że poszukiwania życia rozumnego w naszej galaktyce – zwłaszcza zaś prowadzony przez NASA program SETI – jak dotąd zakończyły się niepowodzeniem mimo wielu eksperymentów naukowych, w tym wysłaniu daleko w Kosmos kilkunastu sond międzyplanetarnych. Mimo to wciąż jesteśmy przekonani, że nie jesteśmy, nie możemy być sami we Wszechświecie. A może po prostu patrzymy w niewłaściwe miejsce?

Czy możliwe, że Ziemia to jedyna planeta, na której życie istnieje na zewnątrz? Czy może gdzieś indziej w naszej galaktyce istoty rozumne wolały zamieszkać wewnątrz swoich światów, chronione przed nieprzyjaznym środowiskiem lub zagrażającym z przestrzeni kosmicznej niebezpieczeństwem w postaci meteorytów i komet, które mogą w wyniku zderzenia zniszczyć całe populacje? Nawet jeśli zamieszkujemy świat, pozwalający życiu kwitnąć na swojej powierzchni, czy możemy naprawdę być pewni, że jest to normą?

Wszyscy się zgadzają, że pierwszym warunkiem istnienia życia jest słońce i jeśli powstało ono we wnętrzu rodzącej się właśnie planety, problem ten będzie rozwiązany w połowie. A jeśli słońce to jest odpowiednio proporcjonalne do wielkości podziemnego świata, który ogrzewa i oświetla, i nie musi wysyłać swych promieni przez olbrzymią kosmiczną pustkę jak nasza gwiazda dzienna, czyż nie oznacza to usunięcia pozostałych trudności? Jak wykazałem w tej książce, koncepcja „raju” znajdującego się gdzieś we wnętrzu Ziemi była od niepamiętnych czasów integralną częścią mitów, folkloru i religii – i można to wszystko wyjaśnić w racjonalny sposób. Jednym z największych wyzwania, przed którymi stanie ludzkość, musi być ostateczne rozwiązanie zagadki: czy cały nowy świat czeka na nas od wieków, nie w dalekich przestworzach Kosmosu, lecz pod naszymi stopami?

Epilog

W czerwcu 1998 roku rozsiana na całym świecie grupa uczonych ogłosiła rozpoczęcie wspólnego projektu DEOS (*Deep Earth Observations from the Sea Floor* – Obserwacje głębin Ziemi z dna morskiego), by „przeniknąć głęboko pod powierzchnię naszej planety w poszukiwaniu nowych form życia i odpowiedzi na niektóre z najtrwalszych tajemnic geologicznych”.

W projekcie tym zostanie wykorzystana ogólnoswiatowa sieć satelitarna w połączeniu z szeregiem obserwatoriów i detektorów na dnie mórz i oceanów, które po raz pierwszy zajrzą pod skorupę ziemską. Zespół ten ma nadzieję, że z pomocą dźwięków i fal elektromagnetycznych, zdolnych przenikać naszą planetę, dowie się dokładnie, co znajduje się w głębi Ziemi. Jeden z kierowników tego zespołu, John Orcutt, profesor geofizyki na University of California, powiedział, że ma nadzieję, iż projekt DEOS zrobi dla geologów to, co teleskop Hubble’a właśnie czyni dla astronomów – da im bezprecedensową możliwość zajrzenia w nieodkryte dotąd rejony. „Od dawna potrzebowaliśmy systemu takiego jak teleskop Hubble’a”, powiedział Orcutt, „ale po to, by patrzeć w głąb, a nie na zewnątrz. Ta sieć będzie niezwykle ważna dla nauk o Ziemi i doprowadzi do nowych odkryć”.

Inny wybitny uczony, profesor Bob Detrick z Woods Hole Oceanographic Institution w Massachusetts, dodał jeszcze bardziej znacząco: „Projekt ten umożliwi nam wyobrażenie sobie wnętrza Ziemi z jeszcze większą precyzją i klarownością oraz poznanie jego wpływu na ruchy kontynentów, pochodzenie wulkanów i, na lokalną skalę, na procesy powodujące trzęsienia ziemi”.

Uczni mają nadzieję, że na jeszcze większej głębokości DEOS da dokładny obraz środka Ziemi. „Jest to coś, nad czym ludzie zastanawiali się od wieków”, dodał Jeremy Bloxham, profesor geofizyki na Harvard University i inny ważny członek tego zespołu. „Myślę, że obserwatoria na dnie mórz pomogą nam w rozwiązaniu tego skomplikowanego problemu”.

Czy licząca sobie 2 000 lat przepowiednia z Ameryki Południowej niebawem się sprawdzi?

Bibliografia

- Berlitz Charles, *Trójkąt bermudzki*, Łódź 1993
- Berlitz Charles, *Worlds of Strange Phenomena*, Wynwood Press 1990
- Bernard Raymond, *The Hollow Earth*, Health Research 1960
- Brennan J. H., *Occult Reich*, Futura Publications 1974
- Byrd Richard E., *Little America*, Putnam 1931
- Charroux Robert, *Dziedzictwo bogów*, Łódź 1994
- Charroux Robert, *Księga jego ksiąg*, Amber, Warszawa 1998
- Charroux Robert, *Księga zdradzonych tajemnic*, Łódź 1994
- Charroux Robert, *Sto tysięcy lat nieznaney historii człowieka*, Łódź 1994
- Drake W. Raymond, *Gods and Spacemen in the Ancient West*, Sphere Books 1974
- Drake W. Raymond, *Gods and Spacemen in Greece and Rome*, Sphere Books 1976
- Fitch Theodore, *Our Paradise Inside the Earth*, wyd. przez autora 1987
- Gardner Marshall B., *A Journey to the Earth's Interior*, Aurora 1913
- Gardner Martin, *Pseudonauka i pseudouczeni*, Warszawa 1966
- Giannini F. A., *World Beyond the Poles*, Health Research 1959
- King Francis, *Satan and the Svastika*, Mayflower Books 1976
- Kolosimo Peter, *Not of this World*, Souvenir Press 1970
- Michell John i Rickard Robert J., *Phenomena*, Thames & Hudson 1977
- Nansen Firdtjod, *In Northern Mists*, Constable & Co 1911
- Norman Ernest L., *The Truth About Mars*, Unarius 1998
- Norman Eric, *This Hollow Earth*, Lancer Books 1972
- Norman Eric, *Gods, Demons and Space Chariots*, Lancer Books 1970
- Pauwels Louis i Bergier Jacques, *The Morning of the Magicians*, Gibbs & Phillips 1963
- Pennick Nigel, *Hitler's Secret Sciences*, Neville Spearman 1981
- Reed William, *The Phantom of the Poles*, Walter S. Rockey Co. 1906

- Sanderson Ivan T., *Invisible Residents*, World Publishing Co. 1970
Sayce A. M., *Records of the Past*, Doubleday 1923
Steiger Brad, *Worlds Before Our Own*, Star Books 1980
Tarde Gabriel, *Underground Man*, Duckworth & Co. 1905
Trench Brinsley Le Poer, *Operation Earth*, Neville Spearman 1969
Trench Brinsley Le Poer, *The Eternal Subject*, Souvenir Press 1973
Trench Brinsley Le Poer, *Secret of the Ages*, Souvenir Press 1974
Vallée Jacques, *Anatomy of a Phenomenon*, Neville Spearman 1966
Verne Juliusz, *Podróż do wnętrza Ziemi*, Poznań 1990
Warren William F., *Paradise Found*, New Worlds 1953
Wilkins Harold T., *Flying Saucers on the Moon*, Peter Owen 1954
Wright S. Fowler, *The World Below*, Books for Today 1929